



JÓZEF NUSBAUM-HILAROWICZ

PAMIĘTNIKI PRZYRODNIKA

AUTOBIOGRAFJA

H. Altenberg. Księgarnia Wydawnicza
we Lwowie

WYDAWALNIA WILKOWICZ

RAMIENI PRZYRODNIKA

WYDAWALNIA WILKOWICZ



11826

Księgarnia Wydawnicza

Drakarnia Udziałowa, Lwów, Kopernika 26.

[1821]

D63/64
rcin.org.pl

20

Wstęp

Wspomnienia z życia ludzi, którzy dążyli do jakichś wznioślejszych ideałów, znajdując zawsze chętnych czytelników, mogą nierzadko być bardzo pożyteczne.

Wspomnienia takie, to wszak uchylenie rąbka najskrytszych tajemników duszy autora, a uważny czytelnik zawsze może w nich znaleźć coś, co go nie tylko zainteresować zdoła, lecz co także da mu sposobność do wysnucia niejednej dobrej myśli.

Życie fizjologiczne każdej istoty, a więc i ustroju ludzkiego, to bezustanna reakcja organizmu na bodźce świata zewnętrznego, to wypadkowa wewnętrznych, z organizacją cielesną związanych właściwości ustroju i wpływów otoczenia. Życie psychiczne człowieka jest również bezustannym oddziaływaniem duszy na czynniki zewnętrzne, jest wypadkową wszystkich tych oddziaływań i wewnętrznych, duchowych właściwości osobnika. Moje życie, to jedyne niemal pasmo dążeń w pewnym określonym kierunku, którym towarzyszyły warunki zewnętrzne trudne i okoliczności nie zawsze sprzyjające. Dlatego też, pomimo szczerzej i gorącej chęci służenia swemu ideałowi — tym było nadewszystko pragnienie pracy dla postępu nauki, szczególnie dla nauki ojczyznej — tylko w pewnym stopniu, sądzę, zdołałem uczynić zadość pragnieniom i dążeniom swoim, w stopniu, którego nigdy nie uważałem za wystarczający.

Lata dzieciństwa Dom rodzicielski

Urodziłem się 11 grudnia r. 1859 w Warszawie, z ojca (Hilarego¹⁾) i matki Ewy.

Rodzice moi zajmowali lokal na parterze od frontu w dużym murowanym domu przy ul. Dzielnej. Przypominam sobie, że było to mieszkanie obszerne i jasne, że z dużego pokoju bawialnego oszklone drzwi prowadziły do miłego ogródka, oddzielonego tylko sztachetami drewnianymi od wielkiego, cienistego, pełnego drzew owocowych ogrodu właściciela domu.

Wspomnienia moje z lat dziecięcych są poczęści miłe, poczęści przykre. Jako najmłodszy z pięciorga rodzeństwa (dwóch sióstr: Bronisławy i Julji oraz dwóch braci: Henryka i Maksymiljana) byłem bardzo kochany i pieszczony przez nie, przez rodziców oraz zgrzybiałą babkę, matkę mojej matki.

Siostra moja Julja, uosobienie dobroci, szczególniejszą darzyła mnie miłością, kochałem ją też ogromnie.

W długie wieczory zimowe słuchałem, jako kilkoletnie dziecko, zajmujących opowiadań i bajek babuni, a że starszka pamiętała bardzo dawne czasy, a pamięć miała fenomenalną, przeto opowiadania jej interesowały bardzo żywo mnie i brata mojego Maksymiljana. Do dziś dnia pamiętam różne jej opowiadania o bogatym obywatelu ziemskim tatarszynie panu Buczackim, o pruskich czasach w Warszawie,

¹⁾ Ojciec urodził się w r. 1820, umarł w r. 1895, żył więc lat 85, matka dożyła lat 72. Ojciec był ciemnym szatynem, o bujnym obwisłym wąsie i małych bokobrodach, cerze czerstwej jakby ogorzalej, o postawie ciała wyniosłej. Według znanego czterowersza poety odziedziczyłem po ojcu „staturę“ i „życia powagę“, rysy twarzy odziedziczyłem głównie po matce.

o Napoleonie i Księciu Poniatowskim lub o tem, jak ludzie szli oglądać po raz pierwszy pociąg kolei żelaznej.

Na czas mego wczesnego dzieciństwa przypadł burzliwy bardzo okres w życiu narodu polskiego. Były to chwile powstania r. 63 i czas bezpośrednio po niem następujący, pełen zgrozy i niepokoju, na wrażliwą duszę mą dziecięcą bardzo silnie działający.

Przypominam sobie, kilkoletnie wówczas dziecko, bardzo przykre a dla wyobraźni mej okropne epizody i sceny. Pamiętam, jak pewnej nocy uprowadzono z domu do cytadeli rodziców moich, jak się później dowiedziałem, za popieranie ruchu powstańczego, zhieranie składek na cele tegoż, dostarczanie szarpi dla rannych powstańców i t. p.

Pamiętam też, jak w długie wieczory matka i siostry darły te szarpie ze starego płótna. Jak przez sen przypominam sobie jakieś tajemne posiedzenia i zebrania w domu rodziców; gorące i czynne opiekowanie się później ojca mego żonami i dziećmi zesłanych na Sybir przyjaciół i znajomych.

Pamiętam, że bramy wszystkich domów w Warszawie musiały być dniem i nocą na oścież otwarte, mieszkańcy ich, wychodząc wieczorami na ulicę musieli wszyscy nosić z sobą ręczne latarki, gdyż taki był rozkaz policji.

Często nie mogłem sypiać po nocach, słysząc patrole konne, przejeżdżające ulicą tuż pod oknami. W pamięć moją silnie i żywo wryły się sceny uliczne, aresztowania przez Kozaków całych grup ludzi, odgłosy biegnących żołnierzy, tentent koni, krzyki rozpaczliwe aresztowanych i bitych. Słyszając takie odgłosy i jęki ludzkie po nocach, drżałem z żalu i wzruszenia i nieraz już do rana usnąć nie mogłem.

Szczególnie przykre były dla mnie przeciągłe nawoływania się wzajemne po nocach tak zw. budników czyli strażników policyjnych, którzy zamieszkiwali specjalne budki drewniane w różnych dzielnicach miasta, zwłaszcza u zbiegu kilku większych ulic lub na placach. Głuche, przeciągłe wołania „karauł, karauł“, któremi się jedni budnicy do drugich odzywali wielokrotnie w ciągu nocy, budziły mnie często i niepokoiły.

Wszystko to, a także niepokój rodziców i rodzeństwa wpływało na mnie niekorzystnie. Sypiałem wówczas nie-

spokojnie, a sny nieprzyjemne trapiły mnie tak często, że udawanie się na spoczynek nocny uważałem zawsze za coś bardzo przykrego. Modliłem się wówczas szczerze przed każdym spoczynkiem nocnym, ażeby wyprosić sobie noc spokojną.

Owe sny przykre tak silnie wraziły się w pamięć moją, że niektóre dziś jeszcze żywo mam przed oczyma. Często np. śniło mi się, że wązkim korytarzem biegnie naprzeciw mnie galopem rozjuszony Kozak na koniu, a ja nie mam gdzie się schronić, usiłuję biec, lecz nogi mi się płaczą, dech w piersi zamiera i w tym niepokoju budzę się nagle. Nieraz także śniłem, że brodaci żołnierze bandyci napadają dom nasz, mordując w moich oczach członków rodziny, do dziś dnia przypominam sobie żywo odnośne sceny widziane we śnie. Wspominam o tych faktach dlatego, że wogóle człowiek zapomina sny bardzo szybko, jeżeli więc tak silnie utkwiły w mej pamięci, to świadczą one o niezwykłej mocy ówczesnych, nad wyraz bolesnych wrażeń.

Gdy byłem już nieco starszy, czasy się uspokoiły. Do szkoły jeszcze nie uczęszczałem; bawiłem się swobodnie w gronie licznych rówieśników i rówieśniczek. Dom w którym mieszkaliśmy miał — jak dawniej często się zdarzało — bardzo obszerne, niezabrukowane podwórze w znacznej części niezabudowane, przylegające do wielkiego cienistego ogrodu właściciela domu.

Na tem podwórzu, zacienionem drzewami z sąsiedniego ogrodu, bawiliśmy się całymi dniami wraz ze starszym bratem Maksymiljanem, nieraz także z najstarszym Henrykiem¹⁾, wówczas uczniem gimnazjalnym. Ponieważ w głębi podwórza znajdowały się parterowe magazyny towarów różnych, przeto zajeżdżały tam często ogromne, staroświeckie bryki, podobne do wózków zakopiańskich, lecz znacznie większe, zaprężone w sześć lub ośm koni, kryte płótnem rozpostartem na wielkich

¹⁾ Brat mój Maksymiljan, starszy odemnie o trzy lata, był stałe towarzyszem moich zabaw, ukończył on później Politechnikę w Rydze i do dziś mieszka w Warszawie, jako przemysłowiec. Najstarszy brat, Henryk, o lat dziesięć odemnie starszy, dopomagał mi często w naukach; obecnie jest wziętym bardzo lekarzem neuropatologiem w Warszawie oraz autorem wielu prac naukowych z dziedziny fizjologii filozofji i pedagogiki.

półobręczach. Bryki takie, w braku kolei, odbywały dawniej bardzo dalekie podróże, przewożąc ludzi i towary, a furmani żydzi, tak zw. „bałaguły“ ciekawe przedstawiali typy.

Nas, dzieci, zawsze interesowały te przyjeżdżające lub odjeżdżające ciężkie bryki wraz z ich mieszanymi pasażerami i różnemi towarami. Przywożono niemi do owych magazynów olbrzymie beczki cukru, mączki cukrowej, wory z korzeniami lukrecji, tak zw. drzewo brazylijskie, z którego sączył się czerwony sok, beczki smoły i t. d. Wszystko to zajmowało mnie bardzo i podsycało moją wyobraźnię, tak że nieraz miałem ochotę wybrać się w daleką podróż, gdzieś w głąb kraju, temi tajemniczymi pojazdami.

Towarzystwo naszych zabaw dzieciennych było mieszane, lecz bardzo zgodne. Należeli doń, oprócz mnie i braci moich, dwaj bracia Aleksander i Marjan oraz siostra ich Żaneta baronostwo Buszmanowie, Janek Bobakowski i jego siostra, dzieci urzędnika, sąsiada naszego, a prym trzymał Jędrrek, syn dozorczy domu; prócz nich, stałych członków towarzystwa, przyłączali się doń różni chłopcy przygodni. Zabawy te były pełne życia i humoru, lecz zawsze niewinne i uczciwe; kopaliśmy doły i napełnialiśmy je wodą, tworząc sztuczne stawki i budując na nich mosty; urządzaliśmy sztuczne jaskinie zbójckie, wymyślaliśmy różne kryjówki, do czego doskonale nadawały się składy rozmaitych towarów pod gołem niebem. Piłka i palant odgrywały też rolę niemłą w zabawach naszych.

Nie obeszło się i bez wypadków od czasu do czasu. Razu pewnego biegłem po olbrzymich stosach pali i pni drzewnych, ułożonych pod murem, a w tem pnie ruszyły, stos począł się walić, szyja moja uwięzła pomiędzy dwiema cienkimi kłodami, tak że zacząłem się dusić i tylko dzięki szczęśliwej pomocy towarzyszy, którzy usłyszeli wołania moje, zostałem uwolniony z tej opresji, którą łatwo mogłem przypłacić życiem.

Jako dziecko miałem nader bujną wyobraźnię, gdy zaś z oddali na nią spoglądam, rozumiem poniekąd lepiej wierzenia mitologiczne ludów pierwotnych. Tak np. od pierwszych chwil budzenia się inteligencji lubiłem bardzo zwierzęta i często też otrzymywałem w podarunku od starszych „menażerje“ czyli zbiory różnych zwierząt z blachy cynowej odpowiednio pomalowanej. Na ogół zabawki te dość wiernie

odtwarzały kształty i barwy zwierzęce. Otóż wyobrażałem sobie, że te zwierzęta naprawdę żyją, że są istotnie obdarzone pewnymi przynajmniej właściwościami żywych tworów. W związku z tem często stawiałem przed nimi jadło i napoje, a gdy później wracałem do nich byłem pewny, że z pozostawionych pokarmów coś ubyło. Zdawało mi się także, że zwierzęta te rosną i oczyma wyobraźni widziałem je coraz większemi.

Pierwszych początków nauk udzielała mi siostra moja Julja; ona nauczyła mię czytania, pisania i początku rachunków; później nieco uczyła mię matka, jej też zawdzięczam początki języków francuskiego i niemieckiego.

Nauka przychodziła mi łatwo. Gdy miałem około ośmiu lat, rodzice przyjęli mi nauczyciela, który miał mnie przygotować do gimnazjum. Był to pan Święcicki, z zawodu farmaceuta, człowiek inteligentny i dobry pedagog; uczył on mnie i brata mojego Maksymiljana przez kilka lat. Później przez pewien czas uczył mnie p. Feliks Kramsztyk, uczeń wyższych klas gimnazjalnych; obecnie znany adwokat w Warszawie.

Oprócz tych nauk obowiązkowych niejako, uczyłem się wiele i rozwijałem przez czytanie książek. Ogromnie lubiłem czytać, zwłaszcza przepadałem za opisami podróży; pochłaniałem „Robinsona Kruzoę“, „Robinsona Szwajcarskiego“, „Dzieci Kapitana Granta“, dzieła Juljusza Verne’a, Mayne-Reide’a, „Opowiadania i przygody“ Anczyca i t. d. i przejmowałem się tak żywo losami bohaterów powieściowych, iż przeżywałem nieomal wraz z nimi ich radości i smutki, niebezpieczeństwa i koleje życiowe.

Brat mój najstarszy, Henryk, zajmował się wiele, jako młodzieniec, naukami przyrodniczemi, średni brat Maksymiljan również lubiał bardzo te nauki, zwłaszcza interesowali się oni chemją i fizyką i wykonywali w domu wraz z kolegami różne doświadczenia chemiczne. Mogłem się przeto od nich niejednego dowiedzieć i nauczyć, zwłaszcza iż miałem zwyczaj ciągłego zapytywania o wszystko, co było dla mnie niejasne. Dzięki temu zwyczajowi rodzice i rodzeństwo nazywało mnie „znakiem zapytania“, chętnie jednak i skwapliwie zaspakajali moją ciekawość, przez co wiele korzystałem w ciągłym obcowaniu z nimi.

Z braćmi odbywaliśmy często wycieczki zamiejskie, które ogromnie lubiłem, a spędzając corocznie lato na wsi w okolicach Warszawy, za rogatką Mokotowską, w cienistych i pięknych ogrodach Szustra lub we Wierzbnie, miałem sposobność częstego stykania się tam z żywą przyrodą, którą od najwcześniejszych lat namiętnie ukochałem, zbierając rośliny, owady i inne zwierzęta, a także okazy minerałów. Szczególniejszy jednak pociąg miałem od najwcześniejszego dzieciństwa do świata zwierzęcego, a to zamiłowanie do nauk zoologicznych zostało we mnie przez całe życie.

Przed wstąpieniem do gimnazjum oraz w pierwszych latach gimnazjalnych hodowałem w terrariach i akwarjach różne zwierzęta żywe, gady, płazy, ryby, ślimaki i pilnie obserwowałem ich życie. Pewnego razu zauważyłem w akwarjum parzenie się ślimaków-błotwiarek, z czego jednak nie mogłem zdać sobie sprawy. Tak mię to zjawisko zaciekało, że sporządziłem odpowiednie szkice i przesłałem je wraz z opisem do redakcji „Wędrowca“, pisma przyrodniczo geograficznego, prosząc o wyjaśnienie, które otrzymałem, lecz z którego nie byłem zadowolony. Dowiedziawszy się pewnego razu o istnieniu w sąsiedztwie domu naszego składu „en gros“ pijawek lekarskich udałem się tamże, by przyjrzeć się masowej hodowli pijawek. Właściciel pokazał mi kadzie z pijawkami (sprowadzonymi z Węgier), a widząc moje zainteresowanie powiedział do mnie: „A teraz na zakończenie pokażę paniczowi króla pijawek“; wydobyl ze słoja pijawkę całkiem prawie białą i około ćwierć metra długą, istną olbrzymkę! Bardzo zaintrygowało mnie to zwierzę; zapytywałem później moich nauczycieli gimnazjalnych (przyrodników) i uniwersyteckich (zoologów), co to za istota być mogła? Nikt nie mógł dać wyjaśnienia, a tajemnicę owego „króla pijawek“ rozwiązał dopiero uczeń mój, pan M. Gedroyć, który w roku 1912 znalazł takie bezbarwne olbrzymie okazy pijawek w pewnym potoku w Bubniszczach w Galicji i uznał je za nowy rodzaj, nazwany *Blanchardia*. Prawdopodobnie ów widziany przezemnie w dzieciństwie „król pijawek“, który mnie przez tyle lat tak intrygował, był to, zabłąkany okaz pijawki *Blanchardia*, formy na ogół nader rzadkiej, żyjącej widocznie nietylko w Galicji, lecz i na Węgrzech.

Nader wczesne zamiłowanie do nauk przyrodniczych objawiało się u mnie nietylko w tem, że skrzętnie gromadziłem różne okazy naturalne, zwłaszcza owady lecz i wtem, że starałem się także poznać różne metody gromadzenia zbiorów. Znalazłem przypadkowo w antykwarni książkę Śledzińskiego o preparowaniu i urządzaniu zbiorów zoologicznych. Z jakim zapałem próbowałem sztuki suszenia gąsienic, zdejmowania skórek ze zwierząt, przygotowywania suchych preparatów z ciał, trąszek lub salamander, przepojonych według przepisów Śledzińskiego pewnemi utrwalającami żywicami i jakże cieszyły mnie okazy udatne! Prowadziłem także, jako uczeń gimnazjalny, spostrzeżenia meteorologiczne, zapisując skrzętnie w ciągu dnia temperaturę, kierunek wiatrów i stan nieba, mianowicie kształt i barwę chmur, jakoteż notując w przybliżeniu rodzaj i częstość opadów. Kilka grubych zeszytów, zawierających spostrzeżenia z szeregu lat, wielką sprawiły mi przyjemność, główną moją myślą było, czy uda się przepowiedzieć pogodę na podstawie stanu aury i nieba z dni poprzednich, kilkakrotne jednak spostrzeżenia nie doprowadziły mnie do żadnego pewnego wyniku i dlatego w wyższych klasach zarzuciłem tę pracę. Ostatecznie najwięcej lubiłem zoologję; bardzo często chodziłem do gabinetu zoologicznego, czytając jednocześnie opisy zwierząt w różnych dziełach i robiąc odpowiednie notatki oraz rysunki, pomimo wielu innych przymusowych zajęć związanych z uczęszczaniem do gimnazjum.

Zamiłowanie do nauk i zajęć poważnych wyniosłem niewątpliwie z domu rodzicielskiego, gdzie panowała zawsze atmosfera wysokiej kultury duchowej. Matka, kobieta wielkiej inteligencji, czytywała bardzo wiele i lubiła też z nami razem czytać. Interesowała się ona żywo współczesnym ruchem literackim i naukowym, a gdy w swoim czasie, około r. 1870—1875 zaczęto u nas wiele pisać o ewolucjonizmie, czytała z wielkiem zajęciem odnośne dzieła oraz pisma obce i polskie. Nie znając dostatecznie systematyki zoologicznej przestudjowała pilnie „Życie i obyczaje zwierząt“ B r e h m a w skróceniu polskiem, by nabrać pewnego pojęcia o tem, jak się dzieli świat zwierzęcy, co to są typy, gromady, rzędy, rodzaje i gatunki. To wykształcenie i zamiłowanie do nauk matka moja zawdzięczała również domowi, bo ojciec mej matki,

którego nie znałem, był człowiekiem bardzo świątym i autorem kilku dzieł literackich, brat zaś matki. Józef, którego również nie znałem, albowiem młodo umarł, lubował się w naukach przyrodniczych i posiadał wiele cennych dzieł, między innymi zoologiczne ilustrowane. Jeszcze jako dziecko otrzymałem te dzieła w podarunku, pilnie je też oglądałem: później, będąc starszym, studjowałem je z wielkim pożytkiem. Była to „Zoologia czyli Zwierzętopismo ogólne” J a r o c k i e g o oraz „Naturgeschichte des Tierreichs”, dzieło wydane przez bezimiennego autora w r. 1847.

Wpływ wychowawczy ojca męgo był również dla nas dzieci, bardzo dodatni. Ojciec mało zajmował się tak zw. „interesami”, nie umiał zbierać grosza, a mając jako tako zabezpieczony byt rodziny oddawał się wiele, poza zawodową pracą biurową, działalności społecznej, zwłaszcza zaś dobroczynności publicznej, był nader czynnym członkiem „Rady głównej opiekuńczej zakładów dobroczynnych w Warszawie”, „Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności”, prezesem „Domu przytułku dla starców i sierót”, prócz tego zajmował się wiele pracami literackimi, historycznymi i oświatowymi, pozostawił po sobie kilkanaście obszernych tomów dzieł, treści przeważnie historycznej.

W domu rodziców bywało wielu uczonych, szczególnie młodych, których ojciec wspierał radą i czynem. Jednego z nich zwłaszcza żywo sobie przypominam. Był to młody uczoney, orjentalista S. Dankowicz. Ja z bratem starszym przysłuchiwałem się z drugiego pokoju bardzo ożywionym dyskusjom na rozmaite tematy, których oczywiście nie rozumieliśmy, ale utkwiło mi w pamięci, iż p. D. w przerwach toczącej się rozmowy pocierał ręką wysokie swe czoło i mawiał przytem bardzo często: „tak, trzeba działać, trzeba działać...”

W ogóle atmosfera domu rodzicielskiego wpływała na nas bardzo dodatnio, albowiem rodzice byli obyczajów surowych, życie brali poważnie, gości i znajomych nie obmawiali, plotek i bezpotrzebnego gadulstwa nie znosili. Zebrania nasze rodzinne, gdy schodzili się w domu rodziców siostry i szwagrowie, a w późniejszych czasach także ich dzieci, czyli liczne grona wnuków i wnuczek, również zawsze tchnęły taką atmosferą podniosłą.

Zawsze byłem zdania, że wychowawcze znaczenie domu jest bez porównania większe, aniżeli szkoły. Żywy przykład rodziców i rodzeństwa¹⁾ oraz dobór towarzystwa bywającego w domu ma olbrzymią doniosłość wychowawczą. Dla tego jestem zdania, że wszelka reforma wychowania musi przedewszystkiem rozpocząć się od reformy w życiu samych wychowawców, głównie domu.

Gimnazjum

W r. 1870 wstąpiłem, po nauce domowej, do drugiej klasy gimnazjum II-go w Warszawie.

Gimnazjum to mieściło się przy ul. Nowolipki w obszernym jednopiętrowym budynku, poza którym ciągnęło się rozległe, miejscami ozdobione jeszcze resztkami starego ogrodu podwórze gimnazjalne gdzie uczniowie z przyjemnością i korzyścią dla zdrowia spędzali chwile wolne od lekcji, tak zw. „pauzy wielkie i małe”. Wielka półgodzinna pauza wypadała pomiędzy trzema pierwszymi rannemi godzinami nauki (od 9 do 12) a dwiema ostatniemi (od 12^{1/2} do 1^{1/2}); małe zaś pauzy kilkunastominutowe wypadały po każdej lekcji. Dyrektorem (zwanym wówczas inspektorem) tego gimnazjum był wtedy znany filolog Augustyn Szmurło, postać bardzo charakterystyczna. Smukły, z twarzą smagłą, wygoloną, podobną do twarzy rzymskiego patrycjusza, z perleryną zazwyczaj przez jedno ramię niby toga przerzucaną, budził on w uczniach wielkie poważanie. Był to człowiek dobry, sprawiedliwy i powszechnie szanowany. Taktownem i życzliwem, jakkolwiek nieco za surowem obejściem z młodzieżą, pozyskał sobie jej miłość. Miał on jednak i swoje dziwactwa, jak to często widzimy u starszych pedagogów, którzy nabierają ich, jak sądzę, wskutek ustawicznego naginania się do stosunków z młodzieżą, gdy tymczasem sta-

¹⁾ O braciach moich i jednej z siostr, Julji, wspomniałem już wyżej. Tutaj dodam jeszcze, że starsza siostra Bronisława odznaczała się wybitnem uzdolnieniem do muzyki oraz do języków; przełożyła kilka poważnych dziełek przyrodniczych na język polski i napisała podręcznik do wypracowań polskich, wydany przez Arcta w Warszawie, który niemałą miał wziętość i oddał znaczne usługi kilku pokoleniom młodzieży szkolnej.

rzejący się organizmu już takiego przystosowywania się nie znosi.

Zacząłem uczęszczać do gimnazjum wkrótce po wprowadzeniu doń języka rosyjskiego, jako wykładowego i urzędowego dla szkół w Królestwie. Inspektor szkolny Wiłujew o pociągłej twarzy, ze złotymi okularami na wystającym mocno nosie, wizytował bardzo często szkoły dla przekonania się, czy rusyfikacyjny system kuratora okręgu naukowego Wittego dobre wydaje owoce. Szmurle zależało na tem, ażeby przed władzą uchodzić za znawcę języka rosyjskiego i dlatego dobierał najwyszukańszych wyrazów w tej mowie, do czego dopomagał sobie słownikiem. Niektóre jego stałe wyrażenia rosyjskie, jak np. „étakaja triń trawa“ na-zaawsze pozostały dla nas zagadką. Zwłaszcza gdy w chwilach uroczystych, np. podczas rozdawania „cenzur“ (świadcstw) wchodził do klasy i świdrując sobie nerwowo małym palcem ręki otwór uszny przemawiał do uczniów, sypiąc przytem najbardziej wyszukanemi i niezrozumiałemi wyrazami rosyjskiemi; to też rozumieliśmy lepiej rodowitych Rosjan, niż inspektora Polaka, przemawiającego do nas po rosyjsku.

Pomocnikiem jego czyli „podinspektorem“ był Władysław Skłodowski, nauczyciel matematyki i nauk przyrodniczych, dobry pedagog, szanowany przez uczniów, dla swej niezwykłej tuszy i krępej budowy ciała zwany przez nich „antałem“. Był to ojciec znanej obecnie w nauce pani Curie Skłodowskiej, profesora fizyki w uniwersytecie paryskim.

Nauka w szkole szła mi dobrze. W niższych klasach byłem uczniem celującym, w ostatnich atoli trzech klasach nie należałem już do celujących, a to dla tego, że niestychanie poczęła mię nudzić filologia, wolałem zaś studja przyrodnicze; cały czas pozaszkolny poświęcałem gromadzeniu zbiorów i czytaniu dzieł, zwłaszcza biologicznych.

Marzyłem wówczas o tem, by być wolnym od nauki szkolnej i móc całkowicie oddać się przyrodoznawstwu. Przynosiłem nawet dzieła naukowe do klasy i na „godzinie“ je czytywałem. Raz przyniosłem „Dzieje utworzenia przyrody“ Haeckla i „pod ławką“ czytałem w zapamiętaniu tę słynną w swoim czasie książkę; zauważył to nauczyciel

matematyki i skonfiskował mi ją, ale że był to człowiek świątły, nie zrobił z tego żadnego użytku i po kilku dniach zwrócił mi to dzieło z uśmiechem na ustach, lecz z odpowiednią reprimendą.

Olśniony wprost, pod wpływem lektury, wiedzą przyrodniczą, zwłaszcza biologią i z niezwykłym pietyzmem odnosząc się do niej, nie miałem ochoty do tracenia drogiego czasu na zgłębienie suchych prawideł gramatycznych greki i łaciny oras języka starosłowiańskiego, którym nudzono nas nie do zniesienia. Począwszy też od klasy 6-tej nigdy nie odrabiałem w domu żadnych tłumaczeń łacińskich i greckich, lecz w szkole podczas „pauz“ uczyłem się tych przekładów przy pomocy tak zw. „Freunda“ czyli niemieckiego przekładu klasyków. Natomiast czytywałem w domu bardzo wiele i nader pilnie, wprost studjowałem książki przyrodnicze i robiłem z nich wyciągi, a mianowicie z dzieł *Drapera*, *Wundta*, *Lewes'a*, *Darwina*, *Huxley'a*, *Spencera*, *Vogta*, *Tyndalla*, *Faraday'a* i t. p.

Dni wolne od nauki szkolnej, kiedy mogłem spokojnie oddawać się w domu lekturze ulubionych dzieł lub chodzić do gabinetu zoologicznego albo na wycieczki przyrodnicze, stanowiły dla mnie najmiłsze chwile. W każdą niedzielę zachodziłem także do Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych, gdyż bardzo lubiłem malarstwo. Po powrocie do domu usiłowałem często namalować to, co mi się dnia tego szczególnie podobało na wystawie, ale najczęściej grubo niezadowolony z mych prób, darłem je na strzępy.

W owe czasy nauki przyrodnicze traktowano w gimnazjach po macoszemu; podręczniki po większej części były dość liche, wycieczek przyrodniczych z nauczycielami nie urządzano, a zbiory i pomoce naukowe były nader skąpe. Pomimo to dzięki osobistym zaletom nauczyciela historii naturalnej *Artura Popławskiego*, autora względnie najlepszych jeszcze na owe czasy podręczników szkolnych tych nauk, korzystałem dość wiele. *Popławski* był rozmiłowany w swym przedmiocie, żywo opowiadał, niejednokrotnie przynosił do klasy rośliny i rozdawał je uczniom, by pod lupą sami badali części składowe kwiatów. Będąc już w wyższych klasach, odwiedzałem często w domu szanownego profesora, przynosząc z sobą rozmaite zbiórki i okazy, na

których Popławski chętnie wyjaśniał mi różne rzeczy. Później uczył mnie historii naturalnej oraz fizyki wspomniany już Wł. Skłodowski, również sympatyczny i dobry nauczyciel.

Pewnego razu — a było to w klasie piątej — Skłodowski miał „na godzinie” wykładać o szkieletcie, ale nie miał ani okazji szkieletu, ani też tablic odpowiednich. Ponieważ zajmowałem się w domu dość dużo biologią i miałem niejaki wyobrażenie o budowie ciała ludzkiego przeto, widząc zakłopotanie profesora, zapytałem nieśmiało, czy pozwoli mi narysować na tablicy kośćec ludzki? Z wielkiem niedowierzaniem zgodził się na to. Wysunąłem się z ławki, stanąłem przed tablicą i w ciągu kilkunastu minut naszkicowałem dość dokładnie szkielet człowieka zaopatrując odpowiednie kości w nazwy łacińskie. Sprawilo to nie małe wrażenie na kolegach, a Skłodowski tak był tem zbudowany, że odtąd nie „wrywał” (to znaczy nie pytał) mnie przez cały rok z historii naturalnej, dając mi zawsze na świadectwie stopień celujący.

Z nauczycieli Polaków gimnazjum II-go, wielu z nich, prócz wspomnianych wyżej, zasłużyli sobie na naszą miłość i szacunek, a mianowicie M. Baraniecki, nauczyciel matematyki, późniejszy profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, A. A. Kryński, obecny profesor i dziekan uniwersytetu warszawskiego, Okołów filolog, Łapiński, doskonały nauczyciel geografji i historii powszechniej, Hertz matematyk. Kryński musiał nas uczyć polskiego po „rosyjsku”; słynne wypisy Dubrowskiego pełne błędów, pozbawione oczywiście wszystkiego, co mogłoby ducha polskiego w młodzieży rozwijać lub krzepić, były opatrzone na końcu słownikiem polsko-rosyjskim (sic!), ażeby uczniowie Polacy, niby nie rozumiejący mowy swej, mogli dopomagać sobie tym słownikiem, co było, rzecz prosta, istnem urągowiskiem. Literatury polskiej uczyć nie było wolno. Lecz Kryński potajemnie poświęcał na każdej godzinie z jakie dwadzieścia minut, dyktując nam po polsku przyciszonym głosem krótki zarys literatury ojczyściej, które mieliśmy spisane w osobnych notatkach, starannie ukrywanych przed okiem rosyjskich przełożonych.

Wspominałem już wyżej, że niektórzy nasi nauczyciele należeli do oryginałów dziwaków, jakich niestety nigdzie

nie brak pośród nauczycielstwa, zwłaszcza starszej generacji. Był nim np. Jan Macharzyński, nauczyciel języka niemieckiego, chudy, wysoki, nieco przygarbiony, o twarzy wyschłej i ostrych rysach, w złotych okularach na przydługim nosie. Gdy zjawiał się w klasie w swym wyszarzałym fraczku niebieskim — uniformie, który wszyscy nauczyciele gimnazjalni, a także uniwersyteccy musieli wówczas nosić w czasie pełnienia swych obowiązków — budził już samą swą osobą wesołość w uczniach.¹⁾ Ponadto miał on zwyczaj częstego bajania o różnych różnościach, n. p. o tem, jak dawniej karano i bito uczniów różgami namoczonymi w occie na „goło“ i używał przytem wyrazów tak nieprzyzwoitych, że nie kwalifikują się tu do powtórzenia. Zwłaszcza stróż szkolny Miecznikowski, który bił owemi różgami z octem, był, jak się zdaje, ideałem pedagoga w mniemaniu Macharzyńskiego, który nam o nim z zachwytem opowiadał i bardzo żałował, że owe błogie czasy już minęły. Muszę wszakże dodać, że kara cielesna, mianowicie bicie różgami, istniała jeszcze w czasie mego pobytu w niższych klasach gimnazjalnych. Egzekucji tej dokonywał w osobnym pokoiku stary tercjan p. Feliks i dlatego też inspektor Szmurło oraz podinspektor Skłodowski nazywali tę karę „pajdi k Feliksowi“ (pójdź do Feliksa). Macharzyński zaś żałował, że ustał zwyczaj maczania różgi w occie, co snąć uważał za szczególnie doniosły środek pedagogiczny.

Ponieważ wówczas od niedawna dopiero wprowadzono język rosyjski, jako wykładowy, do szkół średnich w Królestwie, a starsi nauczyciele Polacy nie zdołali wyuczyć się go, przeto smutne, ale zarazem i komiczne nieraz działy się z tego powodu sceny. Macharzyński należał właśnie do tych, którzy bardzo słabo władali rosyjskim, aż tu nagle zjawia się rozporządzenie kuratora okręgu naukowego Wittego, ażeby wykładać w tym języku. Otóż owe długie opowiadania różnych facecyj M. prowadził nadal po polsku, lecz głosem przyciszonym przy szczelnie zamkniętych drzwiach klasowych, na które wciąż bojaźliwie spoglądał, czy czasami pan

¹⁾ Uczniowie nosili długie niebieskie mundury ze srebrnymi guzikami (podobnie jak nauczyciele), a na głowach „kepi“ kroju francuskiego, później dopiero wprowadzono czapki okrągłe i płaskie, kroju niemiecko-rosyjskiego.

dyrektor lub jego pomocnik nie podsłuchuje, a dyrektorem po Szmurle był już wówczas rosyjanin S t e f a n o w i c z. Nie znając należycie języka rosyjskiego Macharzyński sam sobie stwarzał najdziwaczniejsze zwroty; tak np. chcąc zapytać ucznia po rosyjsku: „jaka to jest część mowy“ pytał „kudá eto stoit“, co właściwie nie miało sensu, albowiem to znaczy po polsku „dokąd to stoi“.

Gdy uczniowie tłumaczyli z niemieckiego na rosyjski, Macharzyński, nic nie rozumiejąc, zapytywał prymusa czyli najlepszego w klasie ucznia, czy przekład rosyjski jest wierny, prymus zaś zawsze potakiwał, podczas gdy tłumacz bardzo często wygłaszał stek najnieprzyzwoitszych wyrazów rosyjskich lub plótł różne androny, nie mające nic wspólnego z tekstem a budzące śmiech homeryczny w uczniach. W ten sposób czyniono zadość „prikazu“ wydanemu przez rosyjskie władze szkolne. Lecz smutny bardzo był koniec tej epepei.

Oto pewnego razu wszedł do naszej klasy podczas lekcji Macharzyńskiego inspektor szkolny, wizytator P o p o w. Było to w zimie. Pan inspektor wsunął się do klasy nagle, w czapie barankowej na głowie, w kaloszach na nogach, odziany w futro. Nic nie mówiąc doszedł do ostatniej ławki i usiadł na brzeżku. Twarz jego była nad wyraz przykra, kałmucka, ospowata, o małych, skośnych i świdrujących oczach. Przez chwilę przysłuchiwał się lekcji, podziwiając zapewne rosyjski język Macharzyńskiego, który drżał ze strachu. Wreszcie Popow zapytał profesora: „Czto wy prepadajotie?“ (czego pan uczy), na co Macharzyński nie rozumiejąc pytania odrzekł: „Iwan Macharzyński“. Na to Popow nie dosłyszawszy dobrze odpowiedzi mówi: „Wy nie otwiczajetie na moj wapros, a kak wasza familja?“ (nie odpowiada pan na moje pytanie, a jak nazwisko pańskie?). Macharzyński na to: „niemieckij jazyk“ z fałszywym akcentem na a. Popow o nic więcej nie pytał; przysłuchiwał się jeszcze przez chwilę lekcji i nic nie mówiąc, jak był w kaloszach, czapie i futrze opuścił klasę. Po kilkunastu dniach biedny Macharzyński otrzymał dymisję.

Z innych moich nauczycieli gimnazjalnych zasługiwali na uwagę: stary poczcuiwy P i o t r S k r z y p i ń s k i, zwany przez nas skrzypicielem, nauczyciel języka polskiego; L u-

Ło mir Szczerbowicz Wieczór, filolog klasyk, oryginał jakich mało; Ryszowski również filolog a z inspektorów rosjan Migulin i Mazinkiewicz.

Piotr Skrzypiński był autorem używanej w niższych klasach gramatyki polskiej, która zaczynała się taką mniej więcej sentencją filozoficzną: „Chociażbym o wszystkim wątpił, to jednak nie wątpię o tem, że wątpię. Wątpić jest to myśleć. A więc myślę. Czemże więc jestem ja, który myślę? Jestem z jednej strony śmiertelnem ciałem, z drugiej nieśmiertelną duszą.“ Wstęp ten zawsze bardzo nam imponował. Skrzypiński był to staruszek o rumianej twarzy, czarnym wąsie, na ogół niezmiernie sympatyczny, typ sędziwego pedagoga, nieco już zdziecinniałego w swym zawodzie. Na lekcję języka polskiego władza wyznaczyła ostatnią godzinę, gdy uczniowie byli już zmęczeni i głodni, a że Skrzypiński również na tej godzinie bywał bardzo zmęczony i śpiący, przeto nauka, zwłaszcza w lecie, nie szła sporo. Pewnego razu uczeń Jakubowicz miał czytać na lekcji „Ojca zadzumiionych“. Skrzypiński ziewał i znać było, że walczy z sennością; Jakubowicz czytał coraz ciszej i ciszej, cała klasa też cichutko się zachowywała i wreszcie uczeń czytanie przerwał, a staruszek począł chrapać, lecz wnet się zbudził i zawstydzony zawołał: „Ośle jeden... czego nie czytasz!“

Do dziś dnia pamiętam dziesiątki przykładów stale i stereotypowo powtarzanych przez Skrzypińskiego dla ilustracji składni języka polskiego. Lubił on też bardzo często opowiadać dykteryjki na lekcji, które słyszeliśmy z ust jego po kilkanaście razy, bo gdy zapytywał: „a czy opowiadałem wam już o tym studencie Polaku co to.....?“, uczniowie odpowiadali: „ach nie znamy tego panie profesorze, prosimy nam to opowiedzieć“ — i staruszek po raz niepamiętny con amore z najdrobniejszymi szczegółami jął opowiadać to, co już wszyscy umieli na pamięć.

Ludomir Szczerbowicz-Wieczór, wysokiego bardzo wzrostu, wyprostowany jak topola, chudy, zasuszony, z tak zwaną kozią bródką i czupryną do góry podczesaną, a w tyle z rosyjska równo ściętą, w złotych okularach na długim kształtnym nosie, z nogami długimi i szeroko na boki podczas chodu rozstawianymi, był to oryginał

w każdym cału, lecz filolog zapalony i nauczyciel dobry.¹⁾ „*Mathematica et lingua latina — mawiał — sunt duo sorores*“, matematyka i łacina to dwie siostry i jedna bez drugiej istnieć nie może.“ Sentencji tej jednak nie usiłował nigdy udowodnić; kazał nam w nią wierzyć *in verba magistri*. Gdy deklamował Homera lub Wergiljusza, albo ody Horacego, wrzucał się pięknem tych utworów. Gdy u Homera natrafił na wiersze obfitujące w samogłoski n. p. „*Partenikai t'atalai' neopénteá timon echúsai*“, lub w ustępie o mękach Tantała: „*Stento de dipsaón pieéjn d'uk ej meneájon*“, rozrzewniał się i mawiał w zachwycie: „Ten język się leje, jak wino, jak oliwa, jak miód najśłodszy“, przyczem ruchami rąk swych długich i kościstych ilustrował to niby przelewanie się cieczy.

Oryginałem także był Ryszowski, filolog, niski, krępy, rudawy. Miał on swój oryginalny system kar. Gdy np. uczeń nie uważał na lekcji, Ryszowski mówił do pry-musa: „*piszi jewo na lio*“, co miało znaczyć, że uczeń ów musi w domu za karę napisać całą konjugację tego greckiego czasownika; gdy występek był większy, słyszano: „*piszi jewo na dwa lio*“ lub na „*tri lio*“ i biedak musiał dwa lub trzy razy napisać całą bardzo długą konjugację i nazajutrz przynieść nauczycielowi. Za jego dokuczliwość i nietakt, odpłacali mu też równą miarą uczniowie, wymyślając rozmaite złośliwe figle, często nawet niegodziwe. Raz np. skradziono mu na lekcji „*notes*“ ze „*stopniami*“ (klasami), niebacznie zostawiony na katedrze; wylewano mu na katedrę atrament, ustawiano nawet ostrza szpilek na krześle, nie mówiąc już o wpuszczaniu do klasy chrabąszczy z przyklejonemi do ich grzbietu ćwiartkami papieru, o przynoszeniu żab, które

¹⁾ Robiąc korektę niniejszych „Pamiętników“ ś. p. Meża mojego, przypominam sobie właśnie w tem miejscu, że raz w gronie pańien, którym udzielał zoologii i do których ja także należałam, opowiadał o oryginalne Szczerbowiczu i narysował jego sylwetkę dokładnie według powyższego opisu, używszy do tego leżącego na stole zeszytu do matematyki. Nieżyjący już obecnie Władysław Gosiewski, otworzył zeszyt i zobaczywszy zabawny, lecz do złudzenia wierny wizerunek znanego oryginała, uśmiechnął się i rzekł: „to panie tak pracują nad zoologią?“ Jakżeż żałuję, że ów zeszyt z zadaniami algebraicznymi, pomiędzy którymi znajdował się właśnie ów rysunek, zginął.

(Rozalja N. H.)

w czasie lekcji Ryszowskiego puszczano na środek izby klasowej, co wywoływało śmiechy i wrzaski nie do opisania. Na Ryszowskim sprawdzało się zdanie w znacznej części słuszne, że każdy nauczyciel otrzymuje to, na co zasługuje. Brak taktu i nieumiejętne obchodzenie się z młodzieżą, powodują u niej oddziaływania niepożądane, a że wchodzi tu także w grę psychologia tłumu, przeto takie reakcje mogą niekiedy przybrać formy zastraszające.

Z nauczycieli Rosjan zasługują na wzmiankę dwaj kolejni inspektorowie czyli pomocnicy dyrektora, którzy uczyli języka, literatury i historii rosyjskiej oraz języka cerkiewno-słowiańskiego (starosłowiańskiego), pp. Migulin i Mazinkiewicz.

Migulin, niski silny brunet, z twarzą okrągłą okoloną czarnym niewielkim zarostem, był jednym z tych, którzy w martyrologii szkolnictwa naszego w Królestwie, podobnie, jak współczesny mu, słynny Singalewicz, inspektor w jednym z miast prowincjonalnych, zapisali się smutnie w pamięci młodzieży. Byli to w swoim rodzaju Murawiewy, pastwiący się nad Polakami, tylko w inny sposób aniżeli wileński okrutnik; nie wieszali, lecz moralnie rujnowali młodzież polską, prześladując ją i gasząc przed nią wszelki kaganiec prawdziwej oświaty.

Migulin był to człowiek z gruntu zły i przebiegły, czychający na to, by uczniom szkodzić, zwłaszcza by młodzież polską w gimnazjum przerzedzać, przejście do następnej klasy za wszelką cenę utrudniać. Prawdziwy postrach uczniów których dziesiątkował przy egzaminach. Wiadomo, że w języku rosyjskim akcent jest zmienny i że tylko rodowity rosjanin lub ktoś, co wiele z rosjanami obcuje, może się w tem akcentowaniu wydoskonalić. Otóż ten nieszczęsny akcent stanowił w rękach Migulina okrutną broń przeciwko bezsilnym dzieciom polskim. Za parę niewłaściwych akcentów uczeń otrzymywał „stopień“ niedostateczny, za tak zw. „połonizmy“ w ćwiczeniach rosyjskich dostawało się „pałkę“ (to jest jedynkę, najgorszy stopień) lub „dwóję“. Niejednokrotnie na pięćdziesiąt kilka zadań domowych lub klasowych (tak zw. „soczynienij“) rosyjskich Migulin zwracał około czterdziestu ze stopniem niedostatecznym głównie z powodu „połonizmów“. Lecz nie tylko dla polskiej młodzieży był taki;

dla wszystkich w ogóle uczniów był dokuczliwy i najlepszy z nich nie był pewny, czy nie stanie się ofiarą złego humoru tego prześladowcy. Przypominam sobie n. p. w podręczniku historii Rosji była mowa o jakimś carze, który w Moskwie w pałacu swym wyszedł do ludu na tak zw. „Krasnoje krylco“ (czerwony ganek) i stąd doń przemawiał. Podczas gdy jeden z uczniów dokładnie opowiadał o tem wydarzeniu dziejowem, Migulin nagle zapytał: „a nutie, paczemu na krasnoje a nie na zelonoje“? Na to mądre pytanie uczeń nie umiał rzecz prosta odpowiedzieć i otrzymał stopień niedostateczny: to samo powtórzyło się z kilkunastu jeszcze uczniami. Lekcje tego pedagoga napełniały nas prawdziwą trwogą, która mijała dopiero z chwilą, gdy dzwonek zwiastował koniec godziny.

Odmiernym typem był następca jego, inspektor Mazinkiewicz, wysoki jak dzida, z długą ryżą brodą na boki rozczesaną, z długimi na sposób rosyjski równo w tyle ściętymi włosami. Był to człowiek dobry i łagodny, dla młodzieży przychylny, lecz pedagog niżej wszelkiej krytyki, o niedorzecznych wprost zasadach. Radził on n. p. uczniom, ażeby nigdy całej książki nie czytali; „na czto, żal wremieni“ — mawiał, — gdy dostaniecie do ręki jakieś dzieło, radzę Wam przeczytać tylko przedmowę, spis rzeczy, kilka stron na początku i kilka na końcu, a to zupełnie wystarczy i będziecie mieli dostateczne pojęcie o danej książce“.

Świadectwo dojrzałości otrzymałem już, gdy dyrektorem naszego gimnazjum był Stefanowicz, człowiek dobroduszny, względny dla młodzieży polskiej, taktowny, lecz ograniczony. Gdy przy pożegnaniu zapytał mnie, co zamierzam ze sobą zrobić, odpowiedziałem, że mając wielkie zamiłowanie do nauk przyrodniczych, zamierzam wstąpić na oddział przyrodniczy wydziału fizyko-matematycznego uniwersytetu. Na to Stefanowicz podniósł ręce do góry, przeżegnał się trzy razy i rzekł: „Odradzam ci ze wszech miar; nauki przyrodnicze to nie są żadne nauki; zapisz się na wszystko inne, lecz nigdy na to. Posłuchaj mojej rady i porzuć ten zamiar, jeżeli nie chcesz być przez całe życie nieszczęśliwym człowiekiem“. Te ojcowskie przestrogi ograniczonego dyrektora nie wywarły jednak na mnie żadnego wrażenia i nie odwiodły mnie od powziętego postanowienia.

Po dyrektorze Stefanowiczu, gdy już opuściłem gimnazjum 2-gie, przyszli inni z którymi miałem jednak jeszcze pewną styczność, będąc, jako słuchacz uniwersytetu, domowym korepetytorem kilku uczniów tego gimnazjum. Byli to typowi przedstawiciele czynownictwa rosyjskiego w Królestwie, przynoszący istną hańbę narodowi rosyjskiemu. Jeden z nich Troickij, wysokiego wzrostu, o wejrzeniu niesympatycznym, z ryżą brodą, był łapownikiem, jakich niestety wielu przysyłano do Królestwa. Wiedział on dokładnie, czem zajmuje się każdy z ojców, braci lub krewnych jego uczniów, pod pozorami natury pedagogicznej zawierał z nimi znajomości i odwiedzał w domu, biurze lub sklepie, ciągnąc przytem dla siebie ogromne zyski. Jeżeli n. p. który z ojców miał skład drzewa albo węgla, pan dyrektor kazał odsyłać sobie do domu znaczne zapasy opału, obiecując zaraz uiścić rachunek, którego oczywiście nigdy nie płacił. Pewien znajomy mój, pan M. opowiadał mi, że pan dyrektor odwiedził go w jego składzie sukna en gros i w rozmowie od niechcenia nadmienił, że chce sobie sprawić garnitur i prosi o pokazanie jakiegoś dobrego materiału. Gdy pan M. wybrał co miał najlepszego, dyrektor kazał sobie odesłać do domu cały „postaw“ sukna, obejmujący około setki łokci, bo jak twierdził nie wie dokładnie ile będzie potrzeba dla niego na ów garnitur. Oczywiście, że ani owej ogromnej reszty sukna nie zwrócił, ani też rachunku nie zapłacił. Ojciec nie śmiał nawet wspomnieć o należytości, bo wiedział dobrze, że syn jego popadłby wówczas w niełaskę dyrektora, co stanowiło istne nieszczęście.

Uniwersytet

W roku 1878 po ukończeniu gimnazjum zapisałem się jak zamierzałem, w poczet słuchaczy uniwersytetu warszawskiego na oddział przyrodniczy fakultetu fizyko-matematycznego.

Rodzice moi, znając moje zamiłowanie do nauk przyrodniczych nie sprzeciwiali się wyborowi tak naówczas niepraktycznemu zawodowi pomimo, że sami nie mieli majątku, lecz zaledwie zapewniony skromny byt. Wybór mój zaś był niepraktyczny dlatego, że w owych czasach stosunki polityczne w kraju nie pozwalały mi ani na chwilę łądzić się co do

przyszłego bytu materialnego. Karjera uniwersytecka była dla Polaków zupełnie niedostępna, o posadzie w gimnazjum rządowym również nie było prawie mowy; pozostawały tylko lekcje w szkołach prywatnych, jako środek do zapewnienia sobie skromnego, acz ciężkiego i niepewnego w każdym razie bytu. Pomimo to, powtarzam, rodzice nie odradzali mi wyboru studjów i uważali za zupełnie naturalne, iż syn ich pragnie poświęcić się temu, do czego ma zamiłowanie. Nie przestanę nigdy być wdzięcznym pamięci rodziców moich za tę ich delikatność względem mnie. Oby tak wszyscy rodzice postępowali zawsze względem dzieci swoich! Z pewnością mniej byłoby wówczas niezadowolonia z życia u młodzieży, a także mniej fuszerów w każdym zawodzie.

Czas od chwili otrzymania świadectwa dojrzałości aż do wstąpienia na uniwersytet stanowił jeden z najmilszych okresów w mojem życiu. Bo zaiste, cóż to za rozkosz dla młodzieńca, kochającego całą duszą naukę, pozbyć się przymusowej suchofilologicznej nauki gimnazjalnej i mieć nadzieję rychłego już usłyszenia wykładów uniwersyteckich. A przytem cóż to za awans społeczny! Z uczniaka gimnazjalnego pogardliwie zwanego sztubakiem, z niewolnika zmuszonego z dnia na dzień odrabiać zadane lekcje, stać się odrazu studentem uniwersytetu, akademikiem, obywatelem wolnym i bardzo przez społeczeństwo szanowanym.

Pamiętam z jakim drżeniem serca wybrałem się na pierwsze wykłady uniwersyteckie i z jakim pietyzmem słuchałem profesorów głoszących z katedry wielkie prawdy naukowe!

Od pierwszej chwili wstąpienia na uniwersytet byłem odrazu zdecydowany co do wyboru przedmiotów, jakim głównie miałem się poświęcić, a mianowicie nęciły mnie przedewszystkiem nauki o największej zagadce przyrody — o życiu, nauki biologiczne, zoologiczne, zwłaszcza zaś anatomja i embriologia porównawcza.

Wydział nauk przyrodniczych uniwersytetu warszawskiego miał wówczas niektóre katedry obsadzone bardzo dobrze. Szczęściem dla mnie nauki biologiczne reprezentowane były przez siły profesorskie bardzo wybitne, a mianowicie zoologii nauczał A u g u s t W r z e ś n i o w s k i, anatomji porównawczej G a n i n, anatomji ciała ludzkiego dla przy-

rodników i histologii dla medyków. Henryk Hoyer, fizjologii (której przyrodnicy słuchali obowiązkowo razem z medykami) Feliks Nawrocki. Byli to profesorowie znakomici, pedagogowie wytrawni, mężowie o bardzo rozległej wiedzy, znani zaszczytnie w światowej literaturze naukowej. O tych bezpośrednio mnie obchodzących profesorach, właściwych moich nauczycielach, będę mówił później. Teraz powiem coś o naukach przyrodniczych. Z botanicznymi gorzej było niż z zoologicznymi, na uniwersytecie warszawskim. Systematyki botanicznej nauczał poczciwy Jerzy Aleksandrowicz, zwany przez nas „księciem profesorem” — jowjalny starzec z miną szlagona, żartowniś niezrównany, lubiący dobrze podjeść i popić, co było zwykle kulminacyjnym punktem każdej jego wycieczki „naukowej” z młodzieżą. Był co prawda niocenionym znawcą flory krajowej, ale jako uczonego i badacza było to niemal zero. Wykłady jego nie nęciły niczem słuchaczy i nie porywały, bo sam profesor nie okazywał zapału dla swego przedmiotu. Nie obmyślane i nieprzygotowane należycie robiły na nas wrażenie prostego zabijania czasu, z wielką oczywiście szkodą dla uczącej się młodzieży. Następca jego na katedrze botaniki, Rosjanin, z pochodzenia niemieckiego Fischer von Waldheim nieudały naukowo syn znakomitego ojca przyrodnika, był jeszcze gorszy od Aleksandrowicza, nie znał bowiem flory, a wykladał tak sucho, monotonna i ospale, że lekcje jego należały do najnudniejszych. Fizjologię roślin wykladał Ryszawa, Rosjanin, człowiek stosunkowo młody, inteligentny i sympatyczny w obejściu, przez młodzież lubiany, ale bon-vivant, profesor niedbały, bardzo często przychodził na wykład zupełnie nie przygotowany.

Chemików mieliśmy dość dobrych w osobach Rosjan Hemiliana i Popowa; w laboratorium chemicznym dzielną i wybitną pomoc okazywali asystenci Polacy: Bronisław Pawlewski, późniejszy znakomity profesor chemii technicznej na Politechnice lwowskiej oraz Bronisław Znátowicz, późniejszy znany pracownik na polu nauki i wielce zasłużony redaktor przyrodniczego tygodnika „Wszechświat”.

Geologię i paleontologię wykladał Polak Jan Trejdosiewicz zwany przez nas „trejdosem”; człowiek dobry,

lecz małej wiedzy, były urzędnik mennicy w Warszawie, którego w braku innej siły naukowej wzięto na profesora Szkoły Głównej i który ztąd przeszedł na uniwersytet. Brak gruntownej wiedzy był często przyczyną nader przykrych kolizyj, pomiędzy nim a nami, np. gdy razu jednego, podczas zwiedzania kopalni węgla kamiennego w Dąbrowie górniczej, posprzeczał się z nami o to, iż twierdził, że gaz błotny zawiera fosfor, podczas gdy my twierdziliśmy, iż jest to tylko związek węgla i wodoru. Nie lepszym także, niestety, był znawcą paleontologii, którą wykładał zawsze ze starego zaślóconego skryptu, wyciąganego z kieszeni fraka. Mineralogię wykładał Polak Karol Jurkiewicz, dobry znawca minerałów i zasłużony popularyzator na stanowisku redaktora pisma „Przyroda i przemysł“. Po nim objął katedrę dzielny młody mineralog Niemiec, Lagorio, człowiek bardzo sympatyczny i wybitny uczonek. Fizyk Jegorow, Rosjanin, był profesorem bardzo lichym i pedagogiem jaknajgorszym. Często mieszał się podczas wykładu, tracił wątek myśli i niekiedy plótł wskutek tego androny, pobudzające audytorjum do śmiechu, np. „jeżeli wypompujemy — powtarzał po kilka razy — przestrzeń z powietrza“ albo „jeżeli przepuścimy pryzmat przez promień światła“; nie potrzebnie też używał ciągle trybu warunkowego, np. „jeżeli-by myśmy-by wykonali-by to doświadczenie-by, przekonalibyśmy się, że i t. d.“. Oczywiście, że to wszystko mówione było po rosyjsku.

Jednym z moich profesorów zoologii i nauk pokrewnych był Polak August Wrześniowski, mąż wiedzy rozległej, badacz nader wybitny, aczkolwiek pracujący w dość ciasnym zakresie, głównie w dziedzinie infuzorjologii (nauki o wymoczkach), a poczęści w systematyce skorupiaków obunogów¹⁾ Profesorem był bardzo dobrym, wykładał sumiennie, jasno, zajmująco; w laboratorium zdołał wychować szereg dobrych, młodych pracowników naukowych.

Nadzwyczaj przyjemne wspomnienia zachowałem ze wspólnych wycieczek zoologicznych, któreśmy dość często z Wrześniowskim urządzali. Po cienistych, tryskających życiem

¹⁾ Jedną pracę ogłosił także o małżu Dreyssena i historyczną o terze. Popularyzytorem był też wybitnym i bardzo zasłużonym.

parkach Łazienek lub uroczego Belwederu, po dzikich przelicznych ogrodach Mokotowa, Wierzbna, Wilanowa; po wilgotnych gąszczach Młocin i Marymontu lub po rozległych łąkach i trzęsawiskach Saskiej Kępy, zroszonej oparami ukochanej Wisły, szliśmy rączo, w gromadce, pod wodzą ukochanego profesora, który podczas tych wycieczek bywał zwykle w wesołym humorze i sypał nieraz dowcipami. Nad każdą kałużą, stawem, nad strumykiem cicho szemrzającym stawaliśmy, łowiąc siatką przeróżne istoty zwierzęce, by je następnie umieścić w akwarjach pracowni i bliżej badać.

Z wykładów uniwersyteckich Wrześniowskiego odniosłem bardzo wiele korzyści. Był on jednym z pierwszych, którzy w Polsce głosili z katedry zasady ewolucjonizmu i przypominam sobie, jak ogromne wrażenie wywarła na mnie prelekcja Wrześniowskiego, w której zwięźle, nader jasno i krytycznie wyłożył nam podstawy teorii Darwina. O pracach naukowych Wrześniowskiego, jakoteż innych zoologów polskich, o których tu wspominam, mianowicie Taczanowskiego i Hoyera, napisałem obszerniej w książce „Szlakiem nauki ojczyściej“, która wyszła w Warszawie nakładem kasy im. Mianowskiego.

Najwięcej atoli zawdzięczam drugiemu mojemu profesorowi uniwersyteckiemu Ganinowi, który wykładał anatomję porównawczą i embriologję. Był to jeden z najsympatyczniejszych profesorów Rosjan, jakich poznałem. Wielki erudyta, doskonały znawca literatury naukowej, a profesor znakomity ogarniał zawsze całokształt wykładanej przez siebie nauki. Wykłady jego obficie ilustrowane zręcznie podczas samego wykładu robionemi rysunkami kredowemi bardzo były pociągające, najsympatyczniejszą jednak cechą tych wykładów było głębokie i żywe przejmowanie się samego profesora ich treścią. W wykładach Ganina było bardzo wiele uczucia i młodzieńczego porywu; gdy mówił o rzeczach szczególnie ważnych i interesujących, głos mu drżał, oczy nabierały blasku żywszego i znać było, że treść prawd naukowych wzrusza go, że nauka pochłania jego duszę, a ten afekt szlachetny wiejący z jego wykładów udzielał się umysłom młodzieży, zawsze wrażliwej na wszystko, co podniosłe. To też jego wykłady anatomji i embriologji porównawczej ogromnie mnie porywały i opracowywałem je nader starannie.

W laboratorium był on też kierownikiem doskonałym. Zawsze interesujące i aktualne dawał tematy uczniom swoim i przeto młodzież chętnie brała się do specjalnych prac naukowych. Można mu było tylko zarzucić, iż był zbyt wielkim konserwatystą w technice badań mikroskopowych, nie lubił wprowadzać nowych metod, nie używał np. mikrotomu, lecz ręcznie wykonywał brzytwą skrawki, co jednak trzeba przyznać — robił po mistrzowsku. To też i uczniowie zaniebdani byli nieco pod tym względem, lecz na szczęście mogli w pełni korzystać z rad i uwag znakomitego technika-histologa Prof. Henryka Hoyer'a, Polaka, który był również ich profesorem, bo wykładał specjalnie dla przyrodników anatomję ciała ludzkiego, pracownia zaś jego histologiczna była zawsze na usługi zarówno medyków, jak i biologów. Wielką znów zasługą Ganina było to, iż uczył swych uczniów myśleć naukowo, stawiać sobie krytycznie pytania umiejętnie, korzystać z literatury naukowej, słowem przygotowywał ich znakomicie do badań samodzielnych. W jego też pracowni odbyłem pierwszy chrzest pracy naukowej, wykonawszy rozprawę „O połączeniu ucha z pęcherzem pławnym u ryb karpowatych“, która w krótkości pojawiła się w r. 1881 po niemiecku w „Zoolog. Anzeiger“ a następnie w całości została wydrukowana w „Warszawskich Uniwersyteckich Izwiestiach“ oraz w „Kosmosie“ lwowskim (1882). Rozprawę tę wykonałem, będąc słuchaczem 4-go roku, a na wniosek Wydziału Rada Uniwersytecka wyznaczyła mi za nią wysoką stosunkowo nagrodę. W owych czasach był zwyczaj, iż corocznie na każdym Wydziale ogłaszano kilka „konkursowych“ tematów rozpraw, za które studenci mogli otrzymywać medale złote i srebrne. Ołóż gdy Ganin zachęcał mnie, ażebym się zabrał do konkursowego tematu z anatomji porównawczej odpowiedziałem, iż uważam za niestosowne brać się do badania naukowego w tym celu, by uzyskać medal, albowiem uważam naukę za zbyt wzniosłą. Z tego też powodu nie podjąłem tematu konkursowego, lecz zająłem się przedmiotem zupełnie innym. Gdy jednak pracę wykończyłem i wyniki jej Ganin uznał za doniosłe, przedstawił on wyjątkowo rozprawę moją do specjalnej nagrody poza konkursem, którą też Senat w całości mi przyznał.

Z profesorów biologii Uniwersytetu Warszawskiego wspomnę jeszcze o dwóch, którzy aczkolwiek nie należeli do Wydziału fizyko-matematycznego, lecz do lekarskiego, byli jednak również moimi nauczycielami, na ich wykłady bowiem uczęszczali studenci przyrodnicy. Byli to Feliks Nawrocki profesor fizjologii oraz wspomniany już wyżej Henryk Hoyer profesor histologii i embriologii, obaj Polacy. Według ówczesnych nader rozumnych rozporządzeń ministerjalnych, studenci przyrodnicy byli obowiązani do słuchania razem z medykami wykładów fizjologii i do zdawania egzaminu z tego przedmiotu. Na histologię i embriologię wykładaną dla medyków przyrodnicy nie byli obowiązani uczęszczać, lecz wielu z nich, między innymi i ja, którzy bliżej interesowaliśmy się biologią, pilnie słuchaliśmy wykładów znakomitego histologa Hoyera, który nadto wykładał wówczas dla przyrodników obowiązkowy krótki kurs anatomji ciała ludzkiego.

Feliks Nawrocki był świetnym pedagogiem, wykłady jego były jasne i zajmujące, jakkolwiek wskutek tego, iż profesor złą miał bardzo wymowę rosyjską, zwłaszcza co do akcentowania, lekcje jego zanadto może niekiedy rozweselały słuchaczy, tembardziej, że lubił on też sam zaprawiać wykłady swe dowcipami. Nigdy nie zapomnę pierwszych słów jego wykładu: „A tom, czto tákoje jest' fizjologja, Wy uznájecie, Miłostiwyje Gosudári, na kánce goda, a tiépier my pasmo'trim, czto tákoje jest' elektriczestwo...⁴”, co mówiąc zaczynał pocierać kawałek bursztynu o własne spodnie, by przyciągnąć nim następnie skrawek papieru. Zdanie powyższe błędnie akcentowane, jak je właśnie wymawiał Nawrocki, znaczy: „O tem co jest fizjologja dowiecie się Szanowni Panowie w końcu roku, a teraz zobaczmy, co to jest elektryczność“. Wiedząc bowiem z doświadczenia, że studenci uniwersytetu po większej części bardzo małą odnoszą korzyść z fizyki gimnazjalnej, wielce jednak potrzebnej do zrozumienia elementarnej bodaj fizjologii rozpoczynał zawsze swe wykłady od związłego kursu fizyki, wybierając z niej to, co dla medyka jest nieodzownie potrzebne. Zaczynał zawsze od elektryczności. Był on bardzo wybitnym uczonym, pracownia jego była bardzo czynna naukowo, i jak najlepszą cieszyła się sławą, a w wykonaniu doświadczeń był on niezwykle

biegły i zręczny. Zasługuje też na zmiankę jego służący, coś w rodzaju laboranta, pan Karol, osobistość wielce charakterystyczna; dopomagał on profesorowi w doświadczeniach i przygotowując je według jego wskazówek do wykładów miał zwyczaj mówienia zawsze o sobie i profesorze per „my”, jak gdyby mu derównywał.

O Henryku Hoyerze nie wiele tu powiem, miałem bowiem sposobność niedawno na innem miejscu (we wspomnianem wyżej dziele „Szlakami nauki ojczyściej”) skreślić sylwetkę tego znakomitego uczonego polskiego i jednego z najbardziej zasłużonych profesorów Uniwersytetu warszawskiego. Wykłady jego nie odznaczały się wprawdzie dobrą formą i nie należały do najlepszych ze stanowiska dydaktycznego; lecz niezmiernie bogata treść ich, nadzwyczajny krytycyzm w ujmowaniu wszelkich teoryj i faktów z zakresu anatomji mikroskopowej czyniły te wykłady niezwykle zajmującymi i cennymi.

Muszę jeszcze wspomnieć o szeregu osobistości z którymi my, studenci wydziału fizyko-matematycznego, mieliśmy sposobność częstego stykania się w uniwersytecie, osobistości jaknajściślej z tym ostatnim związanych.

A więc w pracowni prof. Ganina był długoletnim asystentem Antoni Ślósarski, magister nauk przyrodniczych b. Szkoły Głównej. Szczególniej, ja jako stały pracownik gabinetu zootomicznego miałem częstą, codzienną z nim styczność. Był to nadzwyczaj zacny człowiek i przedstawiał typ przyrodnika fizjografa ogarniającego szerokie kręgi przyrodoznawstwa krajowego; znał się więc dobrze i na systematyce zwierząt krajowych i florystą był niezłym, a dobrym także był znawcą skał, minerałów i skamielin. Główną wszakże jego specjalnością była faunistyka mięczaków i wijów. Pomimo, że jego znajomość anatomji porównawczej, embriologii i histologii nie była wielką, prof. Ganin przez długie lata pozostawiał Ślósarskiego na stanowisku asystenta, nie tylko ze względu na powyższe zalety, lecz także dlatego, że zręcznie preparował, przedewszystkiem zaś ponieważ odznaczał się wielkim taktem i delikatnością zarówno wobec profesora, jak i studentów. Ślósarski miał tę wielką zasługę, że jako Polak w pracowni profesora Rosjanina ułatwiał młodzieży naszej drukowanie pierwszych prac naukowych

w języku polskim, chętnie przeglądał i poprawiał rękopisy, dopomagał w terminologii polskiej i wreszcie pośredniczył w przesyłce prac do druku. Jemu też i ja zawdzięczam nawiązanie pierwszych stosunków literacko-naukowych z „Kosmosem”, organem polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika we Lwowie, z „Pamiętnikiem Fizjograficznym” i „Wszechświatem”, w Warszawie.

Innym przyrodnikiem Polakiem, z którym bliższe łączyły mnie stosunki, był Antoni Wałęcki, kustosz gabinetu mineralogicznego, sybirak, człowiek wielkiej zacności, Stary, siwy lecz czerstwy, o bródce napoleońskiej, serdeczny i uprzejmy w obejściu, szczery i gorący patriota. Zajmował się między innymi bardzo gruntownie rybami, płazami i gadami krajowymi i doskonałym był ich znawcą; hodował u siebie w domu różne płazy i gady i umiał zawsze opowiadać bardzo zajmujące szczegóły z życia tych istot, trafnie przez niego zaobserwowane. Zachodziłem często do Ślósarskiego, do pracowni zootomicznej i stąd miałem sposobność częstego z nim obcowania.

Bywali też nierzadko u Ślósarskiego, w pracowni naszej lekarze Dr. Schnable i Dr. Dziedzicki, bardzo wybitni dipterologowie (dipterologia — nauka o owadach muchowatych czyli dwuskrzydłych), z którymi często także miałem sposobność rozmawiać.

Wszyscy ci przyrodnicy polscy, jak i liczni inni, zbierali się najczęściej i najchętniej w pracowni Władysława Taczanowskiego znakomitego kustosza warszawskiego gabinetu zoologicznego. Zachodzili do niego często specjaliści w różnych dziedzinach faunistyki np. Wańkowicz, generał Radoszowski, dyrektor Baumgarten, książę Lubomirski, protektor gabinetu zoologicznego hr. K. Branicki, zasłużony podróżnik i zoolog Jan Stolzman, Osterloff i inni, ile kroć zaś razy bawił w Warszawie Prof. Benedykt Dybowski, zawsze bywał tam bardzo częstym gościem, a rzecz naturalna, że prof. Wrześniowski, Ślósarski, Wałęcki, serdeczni przyjaciele Taczanowskiego, nader też często odwiedzali jego pracownię, która dziwny miała urok i tchnęła atmosferą czystej miłości dla nauki. Ile razy tam zachodziłem i widziałem pochyloną postać Taczanowskiego, o twarzy ozdobionej pięknym siwym wąsem

i dziwnie łagodnem wejrzeniem, zawsze otoczonego dokoła niezliczoną ilością skórek ptasich i dzieł naukowych, oglądającego okiem wielkiego znawcy wypchane okazy lub skórki, ilekroć razy znajdowałem się w tej atmosferze pracowni słynnego naszego ornitologa — doznawałem uczuć bardzo podniosłych i cześć głęboką żywiłem dla osoby kustosza. A gdy Taczanowski, puszczając dym z króciutkiego, nieodstępnego swego cybuszka fajeczki francuskiej, pełen zawsze werwy życiowej, opowiadał z głębokiem przejęciem o swych spostrzeżeniach ornitologicznych, o obyczajach świata ptasiego, przeplatając te gawędy niezrównanym humorem i ciętym często dowcipem, słuchałem go zawsze z zapartym oddechem.

Po garstce wspomnień o nauczycielach moich uniwersyteckich, muszę jeszcze poświęcić słów kilka życiu ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie.

„Studenci“ uniwersytetu byli na ogół bardzo szanowani w społeczeństwie. Nosiliśmy mundury z niebieskiego sukna, kroju anglezów o srebrnych guzikach gładkich. Później, już po opuszczeniu przezemnie uniwersytetu, zniesiono ten rodzaj uniformu na inny, mniej estetyczny, jaki dziś noszą studenci w Rosji. Czapka i mundur studencki, nierzadko srodze zniszczone i wypłowiałe, stanowiły zawsze najlepszą rekomendację w towarzystwie. Młodzież ta istotnie zasługiwała na szacunek, poważnie bowiem pojmowała stanowisko swoje narodowe i społeczne i z małemi wyjątkami była bardzo pracowita i obywatelsko myśląca.

Ponieważ wówczas nie wolno było jawnie się zbierać, ani tworzyć jakichkolwiek bądź jawnych stowarzyszeń akademickich, przeto młodzież zakładała różne tajne kółka, już to naukowe, już to oświatowe albo polityczne. Naukowe znałem dobrze wśród studentów przyrodników. Zbieraliśmy się po kilkunastu lub po kilkudziesięciu w prywatnych mieszkaniach różnych kolegów, najczęściej ciasnych i ubogich, zazwyczaj położonych na wysokich piętrach lub na poddaszach. Zebrania te były niezmiernie miłe. Siedziało się na stołkach, stołach, łózkach lub na framugach okien, słuchało się z żywym zajęciem odczytu tego lub owego kolegi z „przyrody“, dyskutowało zawzięcie o różnych kwestjach, popijając cienką herbatę i zajadając z młodzieńczym apetytem składkową

wieczerzę, złożoną z chleba, bułek i serdelków porozkładanych na papierze, który zastępował nam talerze i obrus — przedmioty zbytku w gospodarstwie studenckiem. Wybitny udział w tych posiedzeniach kółek przyrodniczych brali koledzy: J. K. Potocki, znany później w piśmiennictwie pod pseudonimem Marjana Bohusza, dalej Mieczysław Brzeziński, później bardzo znany i wielce zasłużony pisarz ludowy; Józef Konic, Józef Siemaszko, Wawrzyniec Trzeciński, Bolesław Hirszfeld, wybitny działacz na polu oświaty ludowej, Łopot, Norblin i inni; ja też żywy bardzo brałem udział w działalności tych kółek.

W tajnych kółkach oświatowych szczególnie byli czynni, koledzy: Bolesław Hirszfeld, Mieczysław Brzeziński i Norblin; głównym celem tych kółek była praca nad oświatą ludu i wydawanie dziełek popularnych przeznaczonych dla warstw pracujących.

Z kółek natury politycznej dość były wówczas rozpowszechnione w uniwersytecie — socjalistyczne, ale z temi małą miałem styczność. Organizacje te obejmowały szersze kręgi młodzieży, do których należało wiele osób z poza sfer akademickich; nadto miały one charakter zbyt międzynarodowy, należało tu wielu żydów nie zasymilowanych ze społeczeństwem polskiem, a także wielu studentów Rosjan, przychodziły też na posiedzenia kobiety, nie studentki, gdyż wówczas w Rosji kobiety, nie miały wstępu na uniwersytet.

Młodzieży rosyjskiej było dość dużo w uniwersytecie warszawskim, ponieważ tutaj jedynie przyjmowano na słuchaczy Rosjan, którzy ukończyli prawosławne seminarja duchowne. Ta lica bardzo pod względem intelektualnym i moralnym młodzież zjeżdżała się więc do warszawskiego uniwersytetu z całej Rosji. Nie mało też było w nim młodzieży, rosyjsko-żydowskiej, tak zw. „litwaków“. Wpływ całej tej młodzieży rosyjskiej na młodzież polską był oczywiście bardzo ujemny i zakazał tę ostatnią elementami obcemi jej i szkodliwemi dla naszego życia narodowego. Na szczęście nie cała młodzież polska wpływom tym podlegała, a i nie był on też tak bardzo długotrwały...

Po ukończeniu uniwersytetu w Warszawie (1881—1885)

Gdy w r. 1881 ukończyłem uniwersytet ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych, dziwnego doznawałem uczucia — przestałem oto być akademikiem, studentem uniwersytetu... Otworzyło się przedemną życie dla młodzieży polskiej w Królestwie wogóle, a dla młodzieży o studjach przyrodniczych w szczególności, dość trudne, bo przecież niemal zupełnie zamknięta była wówczas dla nas karjera nauczycielska w szkolnictwie rządowym, a i praca naukowa niemniejsze przedstawiała trudności, aniżeli praca zarobkowa.

We wspomnianym roku czterech nas ukończyło wydział nauk przyrodniczych w uniwersytecie warszawskim: Wawrzyniec Trzeciński, Józef Konic, Józef Siemaszko i ja. Trzeciński i Konic byli chemikami i jako tacy mogli liczyć na zajęcie, gdyż przemysł w kraju był bardzo rozwinięty a chemików było brak. Siemaszko wkrótce wyjechał gdzieś na kondycję i znikł nam z oczu, tak, że do dnia dzisiejszego żadnych o nim nie mam wiadomości i nawet nie wiem czy żyje. Trzeciński, bardzo zdolny, wyjechał niebawem do prof. Marcelego Nenckiego, do Berna w Szwajcarii, celem pogłębienia swych studjów chemicznych, a po powrocie otrzymał dobrą posadę chemika w jakiejś fabryce pod Warszawą. Konic, właściciel ziemski, poświęcił się rolnictwu i wkrótce osiadł w majątku swoim Ratowie w mławskim. Ja jeden pozostałem w Warszawie. Rodzice moi nie byli bogaci i należało mi koniecznie pomyśleć o jakimś zajęciu zarobkowym. I oto w czasie, gdy kłopotalem się o przyszłość swoją i pragnąłem przede wszystkim takiego zajęcia, przy którym mógłbym kontynuować dalej umiłowaną pracę naukową, spotkało mnie wielce radosne i szczęśliwe dla mnie zdarzenie.

Oto jeszcze kilka tygodni przed ukończeniem roku akademickiego 1880/81 prof. Ganin powiedział mi pod dyktando, iż pragnie, abym został stypendystą rządowym przy uniwersytecie warszawskim i mógł poświęcić się badawczej pracy naukowej, ale dodał zarazem, że natrafi to może w senacie na pewne trudności natury politycznej, zwłaszcza że nad takimi sprawami odbywało się tajne balotowanie

Znając ówczesne stosunki, kiedy kuratorem okręgu naukowego warszawskiego był znany polakożerca Apuchtin, nie miałem wielkiej nadziei co do pomyślnego obrotu sprawy mojego stypendjum.

Ale oto w połowie czerwca 1881r. otrzymałem od Ganna niezmiernie dla mnie ważny liścik tej treści: „Kochany Panie Józefie! Zawiadamiam Was, że dziś odbyło się balotowanie w sprawie nadania Wam stypendjum rządowego przy katedrze anatomji porównawczej i że otrzymaliście wszystkie głosy. Winszuję Wam serdecznie sukcesu i życzę, aby w przyszłości działalność Wasza naukowa rozwijała się równie pomyślnie, jak dotychczas. Oddany Wam M. S. Gannin“. List ten odczytałem kilka razy i wprost nie chciałem wierzyć swemu szczęściu. Stypendja takie określane po rosyjsku „dla przigotowlenja w profesorskoje zwanje“ to znaczy: dla przygotowania do zawodu uniwersytecko-profesorskiego, były zawsze bardzo nieliczne na uniwersytecie warszawskim, jedno na cały wydział i udzielane były tylko wybrancom i wynosiły 800 rubli rocznie, co na owe czasy stanowiło w Warszawie, odznaczającej się taniością, sumę dość znaczną, pozwalającą dostatnio żyć młodemu człowiekowi, o nic się nie kłopotać i najzupełniej nauce się oddać.

Dwa lata, podczas których pobierałem owo stypendjum, należały do najszcześniejszych w mem życiu. Prowadziłem przez cały ten czas żywot bardzo pracowity. Nie mieszkałem wtedy u rodziców, lecz osobno ze starszym bratem w dwóch małych pokojkach przy ulicy Elektoralfnej; rodzice nasi mieszkali w pobliżu i stołowaliśmy się u nich, nie mając żadnych kłopotów gospodarskich. Już o 8-mej rano bywałem codziennie w pracowni zoologicznej uniwersytetu, skąd o 3-ciej powracałem do domu; po obiedzie znów tam przesiadywałem, wciąż zajęty badaniami naukowemi. Długie wieczory, częstokroć aż do późnej nocy, spędzałem po największej części sam jeden w domu, albowiem brat mój zwykle późno do domu powracał. Te długie, zwłaszcza zimowe wieczory, spędzałem w otoczeniu dzieł wielkich mistrzów nauki, które czytałem i studjowałem z nadzwyczajnym pjetyzmem. Dzieła klasyków - biologów i filozofów przyrody: L a m a r c k a, C u v i e r a, D a r w i n a,

Gegenbaura, Lemkarta, Köllikera, Haeckla, Kowalewskiego, Huxley'a, Milne-Edwardsa, Remaka, Baera, Balfoura i wielu, wielu innych czytałem gruntownie, robiąc z nich wyciągi i notatki; czytałem je pracując nietylko umysłem, lecz i uczuciem, wzruszałem się serdecznie głębokimi myślami, zawartymi w tych księgach i doznawałem wielkiej rozkoszy duchowej, obcując myślowo z tymi wieszczami nauk biologicznych. Tu muszę dodać, o czem już niejednokrotnie w różnych pismach swoich wspominałem, że błędnem jest na wskrósź mniemanie rozpowszechnione u ogółu, jakoby studja naukowe, zwłaszcza zaś, zdawałoby się, tak suche na pozór nauki przyrodnicze, tylko umysł nasz zaprzętały. Zależy to oczywiście od indywidualności, ale to pewna, że osobniki wrażliwe, o uczuciach subtelniejszych, podlegać mogą w studjach swych naukowych silnym afektom. Artysta oddający na instrumencie muzycznym tony symfonji, malarz rzucający na płótno barwnymi plamami pomysły swej wyobraźni, poeta tworzący swe dzieła, albo nawet człowiek czytający tylko utwór wieszca, słowem ludzie twórczo lub biernie sztuką zajęci doznają afektów i podlegają potężnym nastrojom. Nie w mniejszym bynajmniej stopniu tyczy się to pracy uczonego, zgłębiającego odwieczne tajniki wiedzy. Pamiętam, jak w owe wieczory, przy czytaniu dzieł wielkich biologów, którzy rozścinali przedemną nowe widnokreśli i odsłaniali nowe światy, wzruszałem się przecudną kanwą ich myśli, świetnością i głębią ich rozumowań i błogie doznawałem nastroju, wczytując się w te księgi pełne spokoju, rozwagi i rozrzewniająco głębokiej miłości prawdy. Nieraz po przeczytaniu tego lub owego ustępu miałem uczucie, jakgdybym na poważnym koncercie najpiękniejszej wysłuchał symfonji. Harmonja myśli nie mniej nastrojowo na nas działa, niż harmonja tonów.

Podczas dwuletniej mej pracy, jako stypendysta uniwersytetu, wykończyłem kilka rozpraw naukowych, między innymi rzecz o rozwoju przewodów płciowych u owadów, o błonach łańcucha nerwowego u tychże i o rozwoju niektórych narządów u pijawek.

Po dwóch latach złożyłem egzamin na „magistra zoologii”. Jest to egzamin bardzo trudny, ponieważ wymaga od

danego adepta nauki nietylko znajomości faktów, ale i dość gruntownej znajomości literatury naukowej. Obejmuje on zoologię, anatomję i embriologję porównaczą, histologję, anatomję ciała ludzkiego, fizjologję i paleontologję. Egzamin ten składałem w uroczystym stroju na dwóch kolejnych posiedzeniach wydziału, wobec wszystkich członków fakultetu i podobno miał wypaść doskonale.

Po złożeniu egzaminu miałem jeszcze obronić publicznie rozprawę, której druk w „Warszawskich Uniwersyteckich Izwiestiach“ miał się już ku końcowi. Nie mogłem tego jednak uczynić na uniwersytecie warszawskim, a to z powodu ustąpienia prof. Ganina z zajmowanej przez niego katedry, co pozostawało w ścisłym związku z moją osobą i do czego niebawem powrócę.

W drugim roku (1883/84) mojego pobytu w uniwersytecie warszawskim w charakterze stypendysty, działy się tam pamiętne „awantury Apuchtinowskie“, których ofiarą padło wielu studentów.

Mianowicie w kwietniu 1883 r. jakiś słuchacz uniwersytetu warszawskiego, Rosjanin, nazwiskiem Żukowicz, z powodów osobistych spoliczkował podczas audjencji ówczesnego kuratora okręgu naukowego w Warszawie, Apuchtina. Dało to hasło do rozruchów na uniwersytecie, ponieważ Apuchtin był ogromnie znienawidzony przez młodzież akademicką i przez całe wogóle społeczeństwo polskie. Już poprzednik jego Witte, Niemiec Kurlandzki z pochodzenia, dał się we znaki Królestwu, jako rusyfikador gimnazjów rządowych, znany doskonale całej ówczesnej młodzieży polskiej w Warszawie z powodu częstych wizyt w gimnazjach, które przejmowały strachem nauczycieli polskich oraz młodzież szkolną. Po nim właśnie nastąpił Apuchtin, staruszek o wejrzeniu na pozór dość sympatycznym, o siwym, jakby sarmackim, wąsie, pulchnej, pociągłej zaróżowionej twarzy, w obejściu bardzo ugrzeczniejszy, ale wróg polskości i człowiek zły. Jemu to społeczeństwo polskie zawdzięczało zrusyfikowanie prywatnych zakładów naukowych, bezwzględne prześladowanie nauczania prywatnego wogóle, nauczycielstwo zaś polskie miało w nim wroga nieprzejednanego i prześladowcę okrutnego. Był on, jak powiedziałem, w obejściu bardzo grzeczny i słodki, w oczy zwykle nikomu niczego nie odmawiał

owszem obiecywał swą pomoc i względy, ale za plecami umiał być okrutnym, zwłaszcza gdy chodziło o nauczycielstwo polskie, które najchętniej zgładziłby całkiem ze świata. Przypominam sobie, że gdy raz w sprawie mego stypendjum musiałem być u niego na audjencji, nazywał mnie „gołubczik“, był słodki i uprzejmy, jakim podobno był względem wszystkich zmuszonych składać mu wizyty urzędowe. Lecz owa uprzedzająca grzeczność nie przeszkadzała bynajmniej, by niejednego „gołubczika“ pozbawić chleba przez usunięcie z zajmowanej posady dla celów rusyfikacyjnych.

Nie można się tedy dziwić, że gdy ów znienawidzony Apuchtin został spoliczkowany, wywołało to powszechną radość. Kochany i serdeczny mój przyjaciel Józef Natanson przesłał z okazji „radosnej nowiny“ dwadzieścia pięć rubli do redakcji jednego z pism warszawskich, na cele dobroczynne, za co przejechał się „porządkiem administracyjnym“ na kilka lat do Kadnikowa na wygnanie. Był to tylko jeden z licznych przykładów ilustrujących ogólną radość naszego społeczeństwa, że raz przynajmniej jakaś kara spadła na tego prześladowcę Polaków, jakkolwiek wymierzona nie przez polskiego, lecz rosyjskiego studenta uniwersytetu.

W każdym razie Apuchtina spoliczkował student uniwersytetu i oto na wieść o tem cała warszawska polska młodzież uniwersytecka, jak jeden mąż, postanowiła solidarnie wyrazić mu swą najwyższą radość z tego powodu, za który — dodam nawiasem — otrzymał on niebawem od rządu, jako męczennik idei, wysoki order.

W kilka dni po owym policzku studenci uniwersytetu zgromadzili się o dziewiątej rano w jednej z największych sal wykładowych i oświadczyli pedelowi, iż się stąd nie ruszą, dopóki nie przybędzie do nich rektor, którym wówczas był Błagowieszczeńskij i któremu właśnie pragnęli wyrazić ową żywą radość! Rektor, dowiedziawszy się o co chodzi, przeląkł się ogromnie i posłał urzędnika kancelarji, tak zw. „inspektora studentów“ Palcewa, ażeby rozpoczął pertraktacje ze studentami, przemówił im do rozumu i uprosił, aby się spokojnie do domów rozeszli. Palcew była to figura charakterystyczna, wysoki, chudy, rudawy, jaskający się w sposób nieprawdopodobny. Nazywaliśmy go przeto zawsze Pa-a-a-a-lcew. Gdy ów biedny, nadomiar wystra-

szony jakąś stanął we drzwiach audytorjum w otoczeniu pedeli, tłum młodzieży począł krzyżeć: „precz z nim“, „za drzwi go“, „rektora chcemy“, „rektora żądamy“. Palcew uciekł co rychlej i udał się z „dokładom“ (raportem) do rektora. Błagowieszczenskij o mało nie zemdlął ze strachu; widziałem go w onej chwili przez okno na dziedzińcu uniwersyteckim, bladego, otoczonego przez grono urzędników kancelaryjnych i pedeli, z którymi się naradzał.

Tymczasem w audytorjum grzniały płomienne mowy, dosadnemi barwy kreślono ogrom martyrologji szkolnictwa polskiego, której głównym winowajcą był Apuchtin, przeciw któremu rozlegały się groźne złorzeczenia, a z otwartych okien padały wciąż na dziedziniec uniwersytecki gromkie wrzaski: „rektora! rektora! pozwat' rektora!

Jednocześnie w mieszkaniu pana kuratora, które znajdowało się na tym samym dziedzińcu uniwersyteckim, w głębi tegoż, odbywały się śnać gorączkowe jakieś narady; co chwila ktoś tam zmierzał, a i rektor skierował tam swe kroki. Wyniki tych narad nie dały na siebie długo czekać. Około godziny dwunastej w południe rozległy się odrazu głosy bębnow na dziedzińcu uniwersyteckim, na czele z oficerem wkroczył oddział wojska z karabinami i bagnetami podążając przez główne schody na pierwsze piętro budynku uniwersyteckiego, gdzie w audytorjum zebrana była młodzież. Oficer oświadczył studentom, że jeżeli natychmiast nie opuszczą sali, żołnierze przemocą bagnetami ich wydalą, a w razie czynnego oporu użyją nawet broni palnej.

Wobec tego bezbronna młodzież musiała zrezygnować z zamierzonego oświadczenia rektorowi swych uczuć pod adresem Apuchtina i zaczęła spokojnie rozchodzić się do domów, ale na Krakowskiem Przedmieściu przed uniwersytetem kozacy i żandarmi poczęli już na swój sposób barbarzyński „oczyszczać ulicę“, pędząc młodzież, szturchając i wymyślając. Przytem wielu studentów oraz całkiem spokojnych przechodniów potratowano, potłuczono i pobito nahajkami. Niebawem nastąpiły liczne aresztowania, żandarmskie rewizje w mieszkaniach studentów, z których bardzo wielu wydalono z uniwersytetu. Jeszcze przez kilkanaście dni po owem pamiętnem zajściu żandarmi i tajni agenci policyjni kręcili się wciąż po dziedzińcu uniwersyteckim,

węsząc i poszukując najmniej „błogo nadiożnych“ pośród młodzieży.

W kilka dni potem rozeszła się wśród władz rosyjskich niczem nieuzasadniona wieść, jakoby młodzież przygotowywała zamach na Apuchtina oraz na gmach kuratorjum naukowego. Ponieważ pan kurator mieszkał w tym gmachu, a w tyle poza nim, jak i poza resztą budynków uniwersyteckich, rozciągał się bardzo obszerny, cienisty ogród, spuszcający się łagodnymi stokami aż ku Powiślu, żandarmerja, podejrzewając ów zamach, obstawiała pewnego dnia dziedziniec i ów ogród. Na dziedzińcu uniwersyteckim żandarmi byli dyskretnie ukryci w sieni gmachu po lewej stronie od wejścia głównego, a każdego wchodzącego na dziedziniec studenta służba skierowywała tamże, gdzie go znienacka chwyтали żandarmi i rewidowali od stóp do głów, poczem zatrzymywali dopóty, dopóki wszystkich, zasadzki tej nie podejrzewających studentów nie obszukali w podobny sposób.

Otóż tego dnia komiczny zdarzył się epizod. Nic nie wiedząc o owej żandarmskiej zasadce, jak co dnia, około dziewiątej rano wchodziłem z Krakowskiego Przedmieścia na dziedziniec uniwersytecki, zdążając do pracowni zootomicznej. Jakkolwiek nie byłem już studentem i nie nosiłem munduru, to jednakże i mnie poproszono na lewo i zrewidowano, poczem kapitan, dowiedziawszy się, iż jestem stypendystą, pozwolił mi pójść do pracowni. Ale oto co się nibawem zdarzyło.

Pracowałem wtedy nad embrjologją mięczaków i zbierałem jaja, składane w ziemi przez wielkie nagie ślimaki (*Limax*), które w obfitości znajdowały się we wspomnianym ogrodzie. Niczego nie podejrzewając wziąłem też z sobą lupe, pensety, szkła różne, ręcznik i otworzywszy furtę wszedłem do ogrodu, w miejscu gdzie zwykle znajdowałem jaja — wielkie, białe, wymiarów niemal grochu okrągłego — rozłożyłem ręcznik na ziemię, by odzieży nie poplamieć i położywszy się, zacząłem szukać jaj między trawą i opadłymi liśćmi. Ale ukryci w ogrodzie żandarmi, spostrzegłszy leżącego wśród gąszczy w trawie młodzieńca, który trzymał jakieś instrumenty metalowe i grzebał w ziemi, byli pewni, że to właśnie ów przestępca, zamierzający wysadzić w powietrze gmach kuratorju. m Gdy więc w najlepsze wylawiam pensetem

jaja ślimacze, czuję, że ktoś silnie chwyta mnie za ramiona; oglądam się zdziwiony i widzę nad sobą dwóch żandarmów, wołających z triumfem: „A wot schwatili... Czto wy zdies diełajetie?“, ja zaś, oprzytomniawszy z najzimniejszą krwią odpowiadam: „Sobieraju jajca miahkotielnych“ (zbieram jaja mięczaków). Na to żandarm woła w oburzeniu: „Wy jeszcze szutitie“ (pan sobie jeszcze żartuje) i obaj, wzięwszy mnie pod pachy, prowadzą jako winowającę do pana kapitana. Udało mi się wytłómaczyć mu cel mej bytności w ogrodzie, ale że nie był zupełnie pewny, czy go nie biorę na kawał, kazał mnie prowadzić do mego przełożonego, prof. Ganina i sam też udał się tam niebawem. Ganin spostrzegłszy we drzwiach pracowni swego ucznia w towarzystwie żandarmów, przestraszył się w pierwszej chwili myśląc, że musiałem istotnie dopuścić się jakiegoś przestępstwa. Gdy jednak wszystko się wyjaśniło i gdy uspokojony profesor poręczył żandarmom „czestnym słowem“ (słowem honoru) niewinność moją w danym wypadku, puścili mnie wreszcie. Serdecznie uśmialiśmy się z tej przygody, którą często jeszcze przypominaliśmy sobie później.

Gdy drugi rok mego stypendjum zbliżał się ku końcowi (1883/84), prof. Ganin zapragnął, abym otrzymał jeszcze stypendjum na rok trzeci, mianowicie na wyjazd za granicę; miało to być tak zw. stypendjum ministerjalne, a przyznawano je tylko tym młodym pracownikom naukowym, w których upatrywano pewnych kandydatów na katedry uniwersyteckie. Pomimo, że taki sam charakter miało i dotychczasowe moje stypendjum, to jednak przedłużenie tegoż na rok trzeci i zażądanie dla mnie specjalnego funduszu z Min. Oświaty, w związku ze zmianą kursu względem Polaków w skutek rozszerzania się w Królestwie idei Apuchtinowskich — nie rokowało dobrych nadziei. Ganin doskonale oceniał te trudności i w poufnej rozmowie zakomunikował mi, co sądzi o tej sprawie: „Według mnie — mówił — nauka nie powinna mieć nic wspólnego z polityką i nasze władze muszą to raz zrozumieć. Uważam pana za jednego z najlepszych i najbardziej nauce oddanych uczniów moich i myślę, że należy się panu przedłużenie stypendjum na wyjazd za granicę, albowiem upatruję w panu odpowiedniego kandydata na katedrę uniwersytecką w przyszłości“. Słowa

te wielce mi pochlebily i sprawily niezmierną radość, tem-
bardziej, że Ganin wogóle był sędzią surowym i do pochwał
nie skory. „Ale, dodał w końcu czcigodny mój profesor, pan
jesteś Polakiem, drukowałeś już niektóre prace naukowe po-
polsku, a wiesz, że niestety dla Polaków są zamknięte ka-
tedry na uniwersytecie warszawskim, nawet docentury pry-
watne są dla nich niedostępne, gdyż rząd traktuje ten uni-
wersytet ze stanowiska polityki. Nie wiem zatem, jak senat
będzie się zapatrywał na udzielenie panu stypendjum mini-
sterjalnego, a przede wszystkim, co powie na to kurator
okręgu naukowego, Apuchtin, który musi ze swej strony
ewentualną propozycję senatu poprzeć w ministerstwie
oświaty. Naprzód więc rozmówię się osobiście z ko-
legami, wytłómaczę im, że nie chodzi tu o żadną poli-
tykę, lecz o dobro nauki w uniwersytecie, której pan byłbyś
godnym kontynuatorem“.

Po kilku dniach Ganin oznajmił mi, że rozmawiał w mo-
jej sprawie z wpływowymi kolegami z senatu¹⁾ i ci oświad-
czyli mu, że najchętniej oddadzą za mną „białe gałki“; z kolei
udał się do kuratora Apuchtina, który również powiedział,
że poprze najchętniej w ministerstwie sprawę ewentualnego
nadania mi stypendjum na wyjazd za granicę.

Ganin, będąc sam człowiekiem prawym i szczerze nauce
oddanym, nie przypuszczał obłudy u kolegów i nie zdawał
sobie snąć należytej sprawy z tego, że przeważna część pro-
fesorów warszawskich, Rosjan, nie miała bynajmniej dobra
nauki na celu, lecz właśnie politykę, a pośrednio osobiste
interesy z tą polityką związane, za które sypały się na nich
ordery i tytuły „sztackich i diejstwitielnych sztackich so-
wietnikow“.

Wyszło później na jaw, że po rozmowie z Ganinem,
Apuchtin wezwał do siebie kilku wybitniejszych profesorów
Rosjan, działaczy politycznych i oświadczył im, że nie mógł
Ganinowi wprost tego powiedzieć, ale że nie życzy sobie,
aby mnie senat przedstawiał jako kandydata na owe sty-
pendjum, ponieważ i tak profesorem uniwersytetu w Rosji,

¹⁾ Tutaj dodam, że w owych czasach w senacie uniwersytetów
rosyjskich zasiadali wszyscy zwyczajni i nadzwyczajni profesorowie
wraz z rektorem, było to więc ciało bardzo wielkie.

jako nie „ruskiej“ zostać nie mogę, a już co do uniwersytetu warszawskiego, to ani mowy o tem być nie może. Skutek tej konferencji był taki, iż na posiedzeniu senatu, przy tajnem balotowaniu wszyscy profesorowie Rosjanie rzucili do urny czarne gałki, ilość zaś białych odpowiadała ilości nielicznych już profesorów Polaków, więcej dwa głosy rosyjskie, z których jeden oddał za mną prof. Lagorio, mąż głębokiej wiedzy i wielkiej prawości, drugi zaś głos pochodził naturalnie od Ganina. Znaczna bardzo większość profesorów Rosjan poszła zatem po myśli Apuchtina.

Zajście to wywarło na prof. Ganinie nader przykre wrażenie; uczuł wielki żal do kolegów, to też zarzucił im jawnie na posiedzeniu senatu fałsz i obłudę, a powiedziawszy im słowa prawdy co do niedbałości o naukę, lecz tylko o politykę zakończył temi słowy: „Z takimi kolegami nie mogę dłużej zasiadać w senacie i w takim uniwersytecie pracować dłużej nie chcę“. Poczem wstał i opuścił salę posiedzeń, do głębi rozżalony. Nazajutrz wniósł na ręce rektora podanie o spensjonowanie, którego pomimo perswazyj i nalegań kolegów nie cofnął i opuścił uniwersytet warszawski, przenosząc się do swego rodzinnego miasta Charkowa. Tam Instytut weterynaryjny powierzył niebawem temu znakomitemu uczonemu wykłady anatomji porównawczej i embrjologii. Niedługo jednak Ganin pracował w Charkowie; choroba raka w gardle po kilku latach przyprawiła go o śmierć przedwczesną.

Sprawa rezygnacji Ganina, jednego z najbardziej poważanych i chlubnie znanych za granicą uczonych rosyjskich, przytem tak wybitnego profesora uniwersytetu warszawskiego wywołała wielką konsternację w świątku rosyjskim w Warszawie. Mówiono o tem szeroko w klubie rosyjskim, miano za złe Ganinowi, że wogóle ujął się za Polakiem i że z tego powodu ośmielił się dotknąć kolegów Rosjan. Nazwisko moje, wciąż łączone ze sprawą Ganina stało się znanem wśród inteligencji rosyjskiej i do pewnego stopnia nienawistnem¹⁾

¹⁾ Niektóre pisma krakowskie z powodu owego zajścia z Ganinem, podały nieprzychylnie wzmianki o profesorach Rosjanach uniwersytetu warszawskiego, a jeden z kolegów opowiadał mi, że widział przypadkowo w kancelarji generał-gubernatora owe numery pism galicyjskich z zakreślonymi czerwonym ołówkiem odpowiedniami ustępami o tej sprawie.

Jeszcze kilka lat potem, gdy K r y ł o w, inspektor szkół prywatnych w Warszawie, znany polakożerca, przyszedł raz, jako wizytator, na moją lekcję w jednej z wyższych pensyj żeńskich, usłyszawszy moje nazwisko, zamyślił się i zmierzwiwszy mnie znaczącem spojrzeniem, rzekł: „Aha, Nusbaum, znaju, eto tot, każeł'sia, czto mietił w profiesory“ (mietił' celować, dążyć do czegoś; Rosjanie używają wyrazu „profiesor“ tylko w znaczeniu profesora uniwersytetu, gimnazjalni lub ludowi profesorowie nazywają się w ich języku „uczitiel“.)

Po opuszczeniu Warszawy przez Ganina pracownia jego została zamknięta, w braku zaś profesora anatomji porównawczej, nie mogłem w uniwersytecie warszawskim przedstawić mojej rozprawy w celu otrzymania stopnia magistra zoologii, jakkolwiek ustny egzamin złożyłem już przedtem. Pojechałem przeto wiosną r. 1886 do Odessy, gdzie też uzyskałem stopień magistra nauk zoologicznych, po publicznej obronie rozprawy p. t. „Materiały k organogenii nasiekomych i czerwiej“.

Odessa Uzyskanie stopnia magistra

Z kilkunastodniowego pobytu mojego w Odessie na wiosnę r. 1886 wyniosłem szereg wspomnień nadzwyczaj przyjemnych.

W ciągu długiej podróży z Warszawy do Odessy przeczytałem po raz pierwszy „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza. Gdy pociąg mknął po niezmiernych stepach, a ja odrywając się od cudownej książki, spoglądałem z okien wagonu na owe bezmiary stepowe, widziałem w swej wyobraźni hufce kozaczyzny lub tatarstwa, mknące po tych równinach; zdawało mi się, iż oglądam tło, na którym ongi rozgrywały się wielkie zapasy rycerskie, o których jednocześnie czytałem.

Gdy późnym wieczorem zdyszany pociąg dobiegał do Odessy, dziwny roztaczał się widok z okien wagonu: ze wszystkich stron — niezmierny, równy, w czarną mgłę spowity step, a tylko od południa potężna łuna, bijąca w górę z ponad wielkiego portowego grodu, ukrytego jeszcze po za linią horyzontu.

Odessa sprawiła na mnie niezatarte wrażenie, po raz pierwszy widziałem wielkie miasto portowe i po raz pierwszy w ogóle oglądałem morze.

W owe czasy Odessa dziwny miała charakter, jako miasto; nie wiem czy dotychczas go zachowała. Ulice bardzo szerokie, a domy przeważnie niskie, jednopiętrowe lub parterowe, gdzieś tam tylko wyższe; miasto jasne, czyste, bogate, o ruchu ulicznym niezwykłym. Zwłaszcza na takich np. ulicach, jak Richeliewska lub Deribasowska, od najwcześniejszego ranka do późnej nocy ogromny panował ruch. Kamienne, imponujące swą szerokością, wspaniałe schody Richeliewskie, prowadzące z górnych części miasta ku morzu, to rzecz przesłiczna. W porcie życie i ruch wre bezustannie. Widok olbrzymich elewatorów, gdzie dniem i nocą, przez potężne żelazne rury sypią się wielkie strugi ziarna zbożowego w otwarte i nienasycone jakby brzuchy okrętów — jest godny zastanowienia; widać tu dowodnie, jak bogatym spichlerzem zboża są równiny Rosji. Za miastem tak zw. „chlebnoj garadok“ (miasteczko zbożowe) z jego olbrzymimi magazynami zboża i tysiąciami rzeszami zatrudnionych w nich robotników, albo tak zw. „rybnoj garadok“, gdzie widać potężne stopy cegiełek prasowanego kawioru i niezliczone ilości przeróżnych ryb wędzonych i suszonych, stanowiących tak ważny przedmiot produkcji i handlu Rosji południowej — wszystko to było dla mnie wielką nowością i wysoce mnie interesowało.

Niebawem złożyłem w Odessie wizyty moim przyszłym oponentom, profesorom A. O. Kowalewskiemu, E. I. Miecznikowowi i W. Załeńskiemu, jakoteż dziekanowi i rektorowi.

Trzej moi oponenti to byli najznakomitsi zoologowie rosyjscy, uczeni głośni w całym świecie naukowym, osobistości niezwykle ujmujące i sympatyczne. Wiedzieli oni doskonale o zajściu z Ganinem, którego uważali za swego przyjaciela i bardzo go szanowali, jako badacza i człowieka. Usposobiło ich to zapewne dobrze względem mnie, a zresztą znali także moje prace naukowe.

Aleksander Onufriewicz Kowalewski to, rzec można, twórca embriologii porównawczej; klasyczne jego prace nad embriologią wielu zwierząt bezkręgowych,

zwłaszcza zaś robaków, owadów, osłonik i lancetnika, dały mocne podwaliny tej niezmiernie ważnej i wysoce interesującej nauce. Mąż pracowitości niezrównanej, badacz niesłychanie bystry, obserwator genialny, pisarz naukowy niezwykle płodny. Nie był on jednak szczęśliwym nauczycielem, nie stworzył tego, co nazywamy szkołą, nie pozostawił po sobie licznego zastępu uczniów specjalistów, którzyby kontynuowali jego pracę naukową. Zdarza się to dość często w dziejach nauki; niekiedy najteżsi badacze nie potrafią stworzyć szkoły, podczas gdy inni mają szczególny dar skierowywania młodych umysłów ku pracy naukowej. Równie jak wielkim uczonym, był też Kowalewski człowiekiem o charakterze niezwykłym. Wrodzona delikatność uczuć, wysoka bardzo kultura etyczna, prawość niepospolita, a nadewszystko skromność nadzwyczaj ujmująca zamianowały tego genialnego uczonego.

Nigdy nie zapomnę wizyty swej u Kowalewskiego, który zajmował wraz z rodziną własny, skromny domek, położony daleko na skraju miasta wśród zieleni ogrodów. Zostałem zaproszony do państwa Kowalewskich na obiad i spędziłem w ich domu kilka nader miłych godzin. Profesor był wątlęgo zdrowia, często po kilka lub kilkanaście dni nie mógł przychodzić do swej pracowni uniwersyteckiej, by więc w badaniach czasu nie tracić, urządzał sobie w swem mieszkaniu prywatnym małe laboratorium. Mieściło się ono całe na stole przed oknem w pokoju jadalnym. Stał tu mikroskop, mikrotom czyli przyrząd do wykonywania skrawków; obok nich — szereg flaszek i naczyń szklanych z odczynnikami i barwikami, na ścianie wisiał mały termostat, a z boku na stole stało kilka drucianych klatek, gdzie brzęczały pszczoły i muchy — Kowalewski bowiem pracował wówczas nad historją rozwoju tych owadów. Z tego tak prostego i skromnego laboratorium wychodziły prace naukowe znakomite, światowej sławy. Często w rozmowie z uczniami przytaczałem to, jako dowód, iż człowiek istotnie nauce oddany, a talentem odpowiednim obdarzony, potrafi w najskromniejszych warunkach znakomite osiągnąć wyniki. Leniuchowi lub miernocie zawsze za ciasno i za mało środków. A jak często naodwrot napotkać można, zwłaszcza w uniwersytetach rosyjskich i francuskich —

wspaniałe, wielkie, z przepychem wprost urządzone laboratorium, świecące pustkami i nic zgoła nie wytwarzające dla nauki. Takie pracownie nie przechodzą oczywiście do jej dziejów. Wracając jeszcze do mej wizyty u pp. Kowalewskich dodam, że rozmowa przy stole, swobodna, niewymuszona i szczerą z profesorem, sympatyczną małżonką i miłą córką, młodą jeszcze bardzo panią, rozmowa, której wciąż towarzyszył brzęk więzionych obok owadów, dziwnie miła atmosfera ogniska domowego tego znakomitego badacza i zacnego człowieka, pozostawiła mi nad wyraz sympatyczne wspomnienie. Już późny był wieczór, gdy opuściłem gościnne mury białego domku.

Eljasz Miecznikow, zmarły niedawno (1916) jako dyrektor jednego z oddziałów Instytutu Pasteura w Paryżu, mąż niepospolitej wprost energii i uczony sławy światowej, wykładał wówczas zoologję, anatomję porównawczą i embriologję w uniwersytecie odeskim, obok Kowalewskiego i Załeńskiego, godnych siebie współtowarzyszy.

O ile Kowalewski był usposobienia spokojnego i cichego, o tyle Miecznikow był naturą łatwo unoszącą się i gorączkową. Gdy poraz pierwszy złożyłem mu wizytę przedwieczorną, zawiązała się pomiędzy nami odrazu tak żywa i gorąca dyskusja naukowa na temat najżywoźniejszych wówczas kwestyj biologicznych, że nie przerwaliśmy jej w ciągu kilku godzin, aż późno w noc. Ten zapał nadzwyczajny, jaki ogarniał dyskutującego uczonego oraz ta głęboka jego wiara w potęgę wiedzy udzielały się niebawem każdemu, kto z nim rozmawiał. Miecznikow pochodził z rodziny żydowskiej, jakkolwiek sam był chrześcijaninem; w rozmowie ze mną, gdy przeszliśmy na temat spraw wyznaniowych i narodowościowych, rzekł: „szczerę się mem pochodzeniem, dumny jestem z tego, iż pochodzę z narodu o tak starej kulturze duchowej, z narodu, z którego wyszedł Chrystus i jego uczniowie, apostołowie idei dobra i miłości.“

Równie znakomitym uczonym był i trzeci mój oponent, prof. W. Załeński, także bardzo sympatyczny człowiek, o przekonaniach nader liberalnych, jak zresztą i dwaj inni wspomniani wyżej uczeni. Cieszy się on do dziś kwitnącem zdrowiem. Gdym go w r. 1912, a więc po trzydziestu niemal latach niewidzenia się, spotkał w Monaco, na jednym

z przyjęć¹⁾ u księcia Alberta I, zdawało mi się, że nie za-
szła w nim żadna zmiana od owego czasu, gdym go poznał
w Odessie. Zawsze dobrej tuszy, czerstwy i rumiany, jeno
obecnie już o włosach siwizną przyprószonych, zawsze pe-
łen życia i energii, zaprzątnięty wielu naraz tematami na-
kowemi. Załęński zdaje się, bardzo majątny, prowadził
w Odessie dom na wielką skalę. Na przyjęciu wieczornem
w gościnnych salonach pp. Załęńskich poznałem najwy-
bitniejszych przedstawicieli inteligencji odesskiej.

Dwa dni przed terminem wyznaczonym mi na publi-
czną obronę rozprawy mojej, dowiedziałem się, iż według
zwyczaju panującego na uniwersytecie odesskim, przed roz-
poczęciem przemówień oponentów i obrony, magistrant wy-
głasza odczyt w auli wobec zebranych profesorów, studen-
tów i publiczności. Wiadomość ta zaskoczyła mnie zupełnie
niespodzianie, nie byłem bowiem wcale na to przygotowany,
a obowiązek ten był dla mnie tem trudniejszy, iż miałem
mówić, rzecz prosta, po rosyjsku, a więc po raz pierwszy
w życiu wygłosić wykład publiczny w języku obcym i to
w obec audytorjum tak poważnego, jak gremjum profeso-
rów uniwersyteckich i młodzież akademicka. Postanowiłem
jednak nie łamać utartego, pięknego zresztą zwyczaju
i wciągu jednej nocy przygotowałem wykład o współczes-
nych kierunkach i zadaniach embriologii porównawczej.

Gdym wstąpił na katedrę w wielkiej auli uniwersy-
teckiej, pełnej profesorów, ich rodzin, studentów oraz pu-
bliczności — ja, młodzik dwudziestokilkuletni, uczułem
w pierwszej chwili jakby otchłań bezdenna, nad której brze-
giem stanąłem. Lecz dzięki szczęśliwemu memu usposobie-
niu, natychmiast odzyskałem zupełną równowagę duchową.
rozpocząłem wykład, a sądząc po hucznych oklaskach przy
końcu oraz wnosząc ze słów oponentów moich, musiałem
w zupełności zadowolnić audytorjum.

¹⁾ Profesor Załęński opuścił później uniwersytet odesski i został
„akademikiem“ oraz dyrektorem pracowni zoologicznej w Akademii
Nauk w Petersburgu. Odtąd spędzał większą część życia w pięknej
swej willi na Rivierze w Ville Franche, niedaleko Monaco, pracując
w tamtejszej stacji zoologicznej. Stąd też bywał także gościem w pa-
łacu księcia Alberta w Monaco.

Jak wielką była delikatność moich trzech, z urzędu wyznaczonych oponentów, wynika z faktu, iż wszyscy trzej: Kowalewski, Miecznikow i Załęski, przed rozpoczęciem uroczystości, przepraszaali mnie, iż jako urzędowi oponenti będą zmuszeni z obowiązku stawiać mi pewne zarzuty i z góry prosili, ażebym im tego za złe nie brał. W zarzutach zaś, jakie mi następnie czynili, więcej mi właściwie pochwał oddawali, aniżeli dopuszczali się krytyki, tak, że cała obrona została sprowadzona do nader zajmującej i pouczającej dla mnie dysputy naukowej publicznie prowadzonej.

Po uzyskaniu stopnia magistra zoologii, powróciłem do Warszawy i rozpocząłem zajęcia naukowe w pracowni histologicznej prof. Hoyera. Kilkomiesięczna praca pod jego kierunkiem przyniosła mi wiele korzyści, zwłaszcza pod względem technicznym. Między innymi, rozpocząłem tu pracę nad rozwojem łożyska u gryzoniów, o czym później ogłosiłem krótką rozprawę w „Anatom. Anzeiger“ (1890).

Tymczasem katedra po prof. Ganinie została obsadzona przez Uljanina. Kilka zaś tygodni przedtem otrzymałem list od prof. Kowalewskiego z Odessy, w którym pisał do mnie między innymi: „Donoszę panu poufnie, iż niedawno temu Ministerstwo Oświaty w Petersburgu zwróciło się do mnie z prośbą, abym wskazał kandydata na opróżnioną po Ganinie katedrę anatomji porównawczej w uniwersytecie warszawskim. Zaproponowałem pana, jako najodpowiedniejszego na tę katedrę kandydata, zwłaszcza, że mogłem to uczynić nietylko na podstawie prac pańskich naukowych, lecz i osobistej znajomości z panem, którego wiedzę bardzo cenię. Niestety jednak stosunki polityczne są u nas w Rosji tego rodzaju, że wątpię, czy Ministerstwo zwróci się chociażby do pana w tej sprawie. Co do mnie, to spełniłem tylko obowiązek zgodny z mem przekonaniem“.

Ten list jednego z najznakomitszych biologów sprawił na mnie tak głębokie wrażenie i uradował mnie tak silnie, jak gdyby istotnie powołano mnie na ową katedrę. Dodał mi on wiele otuchy na przyszłość i wiary w siebie oraz w owocność mej pracy naukowej. Rzecz prosta, że Ministerstwo Oświaty ani słówkiem nie zwróciło się do mnie w tej sprawie. Uniwersytet warszawski, zgodnie z panują-

cym systemem, musiał mieć wszystkie katedry poobsadzone przez prawosławnych i Rosjan. Propozycję Kowalewskiego Ministerstwo zatem od razu pominęło zupełnym milczeniem. Jak się później dowiedziałem, nowomianowany profesor Uljanin znał szczegóły tej propozycji i dlatego stosunek jego do mnie od samego początku nie był bardzo przyjazny.

Niebawem otrzymałem znów list od prof. Kowalewskiego, w którym uczony ten, widząc, że starania jego o powołanie mnie na katedrę uniwersytetu warszawskiego nie mają widoku powodzenia, zaproponował mi objęcie posady dyrektora stacji biologicznej w Sewastopolu. Kowalewski był kuratorem tej stacji i nadanie posady kierownika zależało tylko od niego, na jego bowiem wniosek Ministerstwo Oświaty zatwierdzało kandydatów. Otrzymawszy tę wielce zaszczytną dla mnie propozycję, znalazłem się w trudnym położeniu. Świeżo miałem w pamięci Odeszę oraz tamtejszą kolonję polską przeważnie mocno zrusyfikowaną. Przyznaję, że to odstraszało mnie od przeniesienia się do Rosji. Przypomniałem sobie między innymi, Polaka, obecnie profesora, wówczas asystenta zoologii w uniwersytecie odesskim, P. B u c z y ń s k i e g o, który zaledwie jeszcze umiał mówić poprawnie po polsku, a dla literatury naukowej polskiej, ani też dla rozwoju nauki polskiej nic zgoła nie tworzył. Wielokrotnie stwierdzić mogłem fakty analogiczne, nader smutne, mianowicie, iż Polacy, wyjeżdżający na dłuższy czas w głąb Rosji i skazani na środowisko wyłącznie rosyjskie, rusyfikują się bardzo szybko. Pokrewieństwo językowe oraz liczne przyznać należy, sympatyczne bardzo cechy społeczeństwa rosyjskiego, zwłaszcza inteligencji, polegające głównie na prostocie i szczerości — oto jedna z przyczyn tego szybkiego często rusyfikowania się. Poważne zatem miałem skrupuły wobec propozycji Kowalewskiego. Z jednej strony niewymownie uśmiechało mi się stanowisko kierownika tak dobrze urządzonej stacji, jaką była Sewastopolska i nęciła mnie w bardzo wysokim stopniu nadzieja, iż mógłbym tam oddawać się w zupełności pracy naukowej — badawczej, dla której ogromne miałbym pole.

Z drugiej atoli strony wstrzymywała mnie od wyjazdu myśl, że musiałbym porzucić Warszawę i kraj rodzinny, że musiałbym zamieszkać tam, gdzie Polacy się rusyfikują, by-

łem zaś już wówczas zaręczony i musiałem także myśleć o tem, że w niedługim czasie nie tylko ja sam, lecz i najbliższa moja rodzina byłaby narażona na owe przykre konsekwencje. Po głębszym namyśle odmówiłem tedy prof. Kowalewskiemu, dziękując mu za jego życzliwość dla mnie i zaszczytny dowód zaufania.

Wyjazd do Paryża i Bretanii

W lipcu r. 1886, otrzymawszy z kasy im. Mianowskiego zasiłek na cele naukowe, wyjechałem na dwa miesiące do francuskiej stacji zoologicznej w Roscoff, w Bretanii, do której jedzie się przez Paryż.

Po raz pierwszy w życiu miałem być w Paryżu, pracować w stacji nadmorskiej, znaleźć się nad brzegami Atlantyku! Jakże mnie to wszystko nęciło! Ach! i jak szczęśliwie spędziłem tam chwile; jedno pasmo młodzieńczych uniesień i zachwyty, jeden łańcuch najmiłszych wrażeń, niezamąconych żadną dysharmonją, jeden jakby nieprzerwany promień światła, żadną nie przyćmiony chmurką!

Paryż sprawił na mnie olśniewające wprost wrażenie. Przybyłem tam przed wieczorem i zamieszkałem we wskazanym mi przez znajomych pensjonacie na bulwarze Montmartre. Oszokomiony byłem ruchem i gorączkowem życiem tego dziwnego miasta; tem głośnem, nerwowem, niespokojnem życiem ulicy, jakiego nie widzi się w innych stolicach. Trafiłem wówczas na chwile, gdy rząd republikański nakazał księżtom krwi, rojalistom, opuścić Paryż. Na ulicach rozlegały się przeraźliwe głosy gazeciarzy: „Expulsion des princes, expulsion des princes“, mieszając się z tysięcznemi innymi nawoływaniami ulicznych handlarzy, przekupniów, woźniców, konduktorów, oraz głośną rozmową nieprzebranej ciżby ludzkiej. Paryż, powtarzam, sprawił na mnie nieopisane wrażenie ogromem swych placów, wielkością ulic, estetyką swych przepysznych gmachów, pięknnością i bogactwem swych galeryj, ale nadewszystko tą swoją kipiącą gorączką i potęgą życia. Gdy raz wieczorem przystanąłem w sercu olbrzymiej stolicy, na placu Opery, gdzie zbiegają się szerokie, ruchem i życiem drgające arterje de la Paix, Quatre septembre, Alea opéry i Bulwary, po których pły-

nęły przytłaczające swym ogromem fale ludzi, powozów i piętrzących się omnibusów — byłem tak oszołomiony, iż zapytywałem samego siebie, czym na jawie, czy też zaczarowaną snię bajkę!

Gdy nazajutrz bardzo wczesnym rankiem, kiedy większość mieszkańców olbrzymiego miasta tonęła jeszcze we śnie po gorączce nocnego życia, a tylko rzesze robotników śpieszyły już do fabryk i warsztatów, patrzyłem na nieskończone sznury wozów o wielkich kołach, pędzące na targi stolicy z piętrzącymi się górami jarzyn i owoców, wśród których wychylały się nawpół jeszcze senne postacie kobiet wiejskich; gdym widział setki wysokich wozów rzeźnickich, zaopatrujące bezdenny żołądek stolicy w tysiączne półcie mięsiwa różnorakiego, gdym spoglądał na opuszczające rano gmach pocztowy niezliczone szeregi omnibusów z setkami listonoszów, którzy rozbiegali się w różnych kierunkach po ulicach tego nieskończonego zdaje się miasta; gdym później patrzył na wytworne, pełne elegancji damy wychylające się z przepysznych powozów, na zbite, pstre tłumy ludzi z krzykiem i gwarem snujące się po ulicach, na ciżby osób pijące absynt lub wermut wzdłuż chodników ulic... a późną nocą — na snujące się sylwetki rozpustnic lub bezdomnych włóczęgów, śpiących następnie na ławkach ogrodowych lub pod arkadami mostów Sekwany, gdym przyjrzał się nieco bliżej temu żyjącemu w Paryżu, owemu zbiorowisku bogactwa a zarazem i nędzy, owemu zespoleniu najwyższej kultury, wytworności i przedziwnej elegancji ze smutną biedą a nawet upodleniem ludzkim — poznałem trochę czem jest Paryż i w czem tkwi dziwny jego urok.

Z osobistości wybitniejszych, które poznałem w Paryżu wymienię przede wszystkim prof. L a c a z e - D u t h i e r s'a, jednego z najznakomitszych biologów francuskich. Piękną postać tego uczonego o slicznej głowie z zaczesanymi do góry długimi, białymi włosami i twarzą ozdobioną bródką napoleońską, zastałem w pracowni prywatnego mieszkania; siedział przy biurku pośrodku wielkiej komnaty, której wszystkie ściany aż pod pułap obstawione były półkami, pełnymi dzieł naukowych. Niezmiernie pociągający widok przedstawiała czcigodna postać wielkiego uczonego w tem otoczeniu. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i jako kierownik.

naukowy stacji biologicznej w Roscoff, wypytywał szczegółowo nad czym chcę pracować tamże, jakiego będę poszukiwał materiału, przyczem udzielił mi cennych rad i wskazówek. Godzinna z nim rozmowa na temat różnych zagadnień naukowych nader miłe pozostawiła mi wspomnienia.

Muzea naukowe w Paryżu nie bardzo mnie zachwyciły; dużo w nich blichtru, powiem nawet blagi i są o wiele mniej pouczające od znakomitych muzeów niemieckich, np. w Berlinie.

Po kilkudniowym pobycie w stolicy Francji żałowałem już dłuższego czasu na jej zwiedzanie, bo pilno mi było nad brzegi Atlantyku, i wyruszyłem tedy na północny zachód, do Roscoff. Podróż po głębokiej prowincji Francji była nieznośna; po drodze trzeba było nieskończoną ilość razy przesiadać się z pociągu do pociągu, a nigdzie ani napisów lub objaśnień, ani rozkładów porządných, jeden zaś, jedyny konduktor całego pociągu był prawie niewidzialny, tylko co kilka stacyj słychać było, jak zdaleka wymieniał niewyraźnym żargonem bretońsko-normandzkim i przytem w pośpiesznym bardzo tempie kilkanaście nazw miasteczek i przystanków kolejowych, kończąc długą tę litanję stereotypowemi: „changez la voiture“. Trudno mi więc było połapać się w tej plątaninie krętych dróg kolejowych do Roscoff i gdzie właściwie należy mi „changer la voiture“. O ileż większe istnieją udogodnienia na naszych kolejach, gdzie wszędzie widnieją wyraźne napisy i gdzie większa ilość konduktorów obsługuje pociąg. Ale wreszcie, posługując się mapkami, widocznie we właściwy sposób przesiadałem się z pociągu do pociągu, bo w końcu dojechałem do Roscoff.

Jest to miłe schludne miasteczko rybackie w Bretanii, nad samym położone oceanem. Bretania — to cudny kraj, zwłaszcza ta jej część, którą poznałem, okolice Roscoff i Morlaix. Malownicze skały i urwiska granitowe naprzemian z ławicami gruboziarnistego piasku u wybrzeży oceanu; przedziwnie piękna, żywa zieleń bogatej szaty roślinnej; drogi kręte, częstokroć nisko położone i po obu wysokich brzegach obsadzone gęstemi drzew szpalerami. Cieniste korony drzew tych nierzadko schodzą się z sobą niemal pośrodku, tajemniczo ocieniając te wijące się i co chwila jakby zamknięte szosy, po których twardej powierzchni toczą się

powoli dwukołowe, wysokie wozy w ciężkie zaprzężone perszerony.

Wioski i miasteczka schludne, z ciosanego budowane kamienia; kościołki o pięknych, gotyckich, strzelistych wieżach; lud pracowity, religijny, zabobonny i dziwnym jakimś smutkiem owiany, tak często dającym się zauważyć u mieszkańców krain nadmorskich, żyjących głównie z rybołówstwa i przyzwyczajonych do twardego, pełnego niebezpieczeństw bytu. Jak dziś, stoją mi przed oczyma ponure, szare lub ciemno niebieskie stroje tamtejszego ludu, białe czepce i fartuchy kobiet, a w uszach rozbrzmiewa mi jednostajny, donośny tupot drewnianych sandałów, uderzających miarowo o twarde bruki chodników.

Co rano setki barek napełnionych sieciami i linami opuszczały brzegi miasteczka i rozprasały się po niezmiernych oceanu przestworach, by nad wieczorem powrócić z bogatemi łupami sardynek. Przedziwnie cudny był to widok, gdy wielka tarcza słońca zanurzała się powoli w nurty oceanu, rzucając jaskrawą, purpurą i złotem drgającą smugę na jego fale od brzegu aż hen pod sam widnokrąg, podczas gdy skaliste, malownicze wybrzeża zasnuwały się liczną, gwarną rzeszą kobiet i dzieci, wyczekujących powrotu swych ojców, mężów i braci! Ozłoczone purpurą żagielki, niby wiotkie skrzydła motyle, wychylały się jeden po drugim z poza sinej dali horyzontu, zbliżając się coraz bardziej ku brzegom, na których niebawem miał zapanować ruch niezwykły, bo wszystko co stało na lądzie, rzucało się z koszami i kadziami po złote runo — miliony drobnych rybek, mieniących się w srebro, opale, seledyny i turkusy!

Gdy się widzi te miljarde ryb dniem i nocą bez przerwy poławiane w nurtach oceanu, nabiera się pewnego pojęcia o nieprzebranem bogactwie jego życia. Na znacznie większą jeszcze skalę, aniżeli w Roscoff, odbywa się połów sardynek w innym miasteczku bretońskim Concarneau, gdzie również istnieje stacja biologiczna i gdzie kilka lat później spędziłem lato na naukowych studjach, o czem poniżej napiszę.

Lud bretoński, mówiący gwarą bardzo różną od francuszczyzny paryskiej, jest na ogół sympatyczny. Typowi marynarze, z silnie ogorzałą od słońca i wiatru cerą, odważni, zręczni, pracowici, pobożni, a przytem, jak już wspomnia-

łem, bardzo zabobonni i ciemni; nadto niemal wszyscy niestety nałogowi alkoholicy. Gdy w niedziele i święta lud gromadził się w kościółkach wiejskich, od samego już rana było widać zdążające za nim wozy z beczkami wina, rumu, araku, absyntu i likieru. Kościół, jak barykada, bywał otoczony temi wozami, beczkami i antałkami, a po skończonem nabożeństwie lud rzuca się namiętnie do picia, czemu oddają się zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci, często bardzo jeszcze małe. W kilka godzin potem, w wielkim promieniu dokoła świątyni widać po drogach, lasach i łąkach nieprzytomne postacie pijaków, walące się z nóg, lub leżące na ziemi. A podobno, jak mi opowiadano, nie ma na to żadnej rady. Zatruwają się nie tylko alkoholem, lecz i nadmiernem paleniem. Bretończyk namiętnie lubi tytoń i nietylko go pali, lecz i żuje. Nieraz mali, kilkuletni chłopcy biegali za mną nieumęczeni, jak u nas małe, żebrzące cyganięta i wyciągnąwszy dłoń wołali: „Monsieur donnez moi quelque chose pour chiguer!“ Gdy rzuca im się niedopałki papierosów, wysypują z nich reszki tytoniu i żują w ustach, połykając przytem ślinę. Jakież to okropne zatrucie się nikotyną.

Przypadkiem widziałem w Roscoff wybory posła do Izby deputowanych. W republikańskiej Francji przynajmniej na głębokiej prowincji, nie lepiej się dzieje, niż np. obecnie w Rosji. Przyjechali żandarmi na koniach, spędzili wyborców do kupy i kazali głosować na upatrzonogo z góry przez władze kandydata, a potulny, ciemny lud nawet nie zareagował na taki sposób traktowania wolności obywatelskiej!

Ciemny lud bretoński jest także wyzyskiwany w rozmaity sposób przez różnych wydrwigroszy przejezdnych, którzy w tej głuchej prowincji Francji znajdują obfite dla siebie żniwo. Pewnego razu zbudziły mnie rano odgłosy trąb w miasteczku. Trąbili dwaj jakby heroldowie w jaskrawych strojach, zawadjackich czapach na głowie, oznajmiając ludowi, że na rynek zajechała „Une fille d'un médecin polonais“, a rzekomo ta polskość oszustki francuskiej (która zresztą jak się przekonałem, ani słowa po polsku nie rozumiała) miała być wielką zachętą dla ludzi, coś niby tak, jak dla nas kuglarz „indyjski“ lub „arabski“. Zaciekawiony poszedłem wraz z kolegami zobaczyć to dziwo. Na rynku stała olbrzymia kareta, z której wyprzężono konie; była ona

otwarta i na platformie jej, kąpiącej od połączanych i posrebrzanych ozdób, stała młoda, cudacznie ubrana kobieta, która z torby poczęła wyjmować dziesiątki słoików, flaszeczek i pudełek, zawierających cudowne jakoby leki. Gdy na odgłos trąb zeszło się dużo ludzi, blagierka rozpoczęła z patosem wykład. Oto np. — mówiła — bardzo często dzieci wasze cierpią na robaki, co potem możecie poznać, że często płaczą; robaki takie są bardzo niebezpieczne, mogą przegryść kiszki i dziecko umrze w bólach strasznych! Ale oto dajcie mu tylko łyżeczkę zbawiennego mojego lekarstwa, po 1 franku za flaszeczkę, a robaki z dziecka wyjdą. To mówiąc, pokazała w słoju ze spirytusem jakąś wielką jaszczurkę zamorską bez głowy, twierdząc, że tego niebezpiecznego robaka spędziła właśnie u jednej chorej dziewczynki! Ja i koledzy moi ze stacji zoologicznej buchnęliśmy homerycznym śmiechem i zaczęliśmy sykać w stronę owej rzekomej „córki polskiego lekarza“, lecz pomimo to łatwowierny ludek w mig rozchwycił zbawcze lekarstwa. Tak samo zostały rozkupione leki na żołądek, zęby, bezdzietność i płodność zbyt wielką.

Stacja zoologiczna w Roscoff mieściła się wówczas w niewielkim murowanym budynku¹⁾ wzniesionym na skale nad samym brzegiem oceanu i urządzonym bardzo wygodnie. Pracownicy mieszkali w samym budynku stacyjnym, bez żadnej za to opłaty, z czego korzystali także cndzoziemcy, żywiąc wielką wdzięczność dla wspaniałomyślnej gościerności rządu francuskiego. (Stacja jest intytucją rządową.) Pokoik mój w budynku stacyjnym miał okno zwrócone wprost na otwarty ocean. Nigdy też nie zapomnę potężnego wrażenia, jakiego doznałem w chwili, gdy ten wspaniały ogrom przedstawił mi się w całym swym majestacie.

Przybyłem do Roscoff w czasie, kiedy przypiływy i odpływy dosięgały tam swego miesięcznego maximum; trafiłem właśnie nad wieczorem na maximum odpływu. Z okna mojego widziałem przed sobą ogromną przestrzeń piaszczystego pobrzeża, na którym znajdowało się mnóstwo barek prze-

¹⁾ Dzięki zabiegom następcy ś. p. L a c a z e - D u t h i e r s ' a, mianowicie prof. Y v e s - D e l a g e ' a, stacja w Roscoff zajmuje dzisiaj wspaniały gmach i jest znakomicie urządzona, nie ustępując niemal neapolitańskiej.

chylonych na boki i linami przymocowanych do kotwic; rąbek zaś oceanu widać było daleko, zdawało mi się, że już niemal w pobliżu linii widnokregu. Była to noc księżycowa, piękna, ciepła, o powietrzu przepojonem upajającym, ostrem tchnieniem jodowo-morskiem, które namiętnie lubię. Zmęczony długą podróżą i upojony wrażeniami, ułożyłem się do snu nocnego, gdy w tem gdzieś po północy zbudził mnie łoskot i huk jakby tytanicznych młotów, walących w podstawy stacyjnego domu. To przyływ oceanu dosięgnął swego maximum! Wyrzałem przez okno i oczom moim przedstawił się widok nie do opisania! Olbrzymia przestrzeń potężnych fal, napływających wciąż z dzikim łoskotem ku skalnemu podmurowaniu stacji, kaskada piany srebrząca się przepysznie w świetle księżyca, a na sklepieniu nieba szybko mknące, fantastyczne postaci obłoków o srebrnych rąbkach. Ocean w całym swym majestacie i w całej piękności nocy rozpostarł nagle przedemną bajeczne swe łono; powitał mnie ukłonem iście królewskim.

Cudowny był ten mój pobyt w Roscoff. Jakież szereg wspomnień miłych, ileż krajobrazów i widoków prześlicznych, ile wrażeń silnych i niezatartych!

Częste wycieczki po otwartym oceanie na małym parowczyku lub częściej łodzią żaglową, w towarzystwie nader sympatycznych, młodych i pełnych humoru kolegów ze stacji, jak Boutan'a, Héronarda, Guitel'a, Cuena oraz znacznie już starszych Yves-Delage'a i Jonbin'a, z których wielu zastęnęło później w nauce; wycieczki po piaszczystym lub skalnem wybrzeżu podczas odpływu morza, gdzie po kolana lub biodra brodziliśmy w wodzie z koszami w rękach, zbierając niezliczone okazy zwierząt; wspólne obiady i wieczery do których zasiadało nas po kilkadziesiąt osób — wszyscy pracownicy stacji i kiedy nie było końca upustom młodzieńczej wesołości, przeplatanej poważnemi dysputami naukowemi; w niedziele i święta przed wieczorem — zwykle spaceru gromadne po uroczych okolicach tego pięknego kraju, a w dni powszednie całodzienna praca w laboratorium, przy której jedni drugim dopomagali, niekiedy przerywając zajęcia miłą rozmową lub śpiewem chóralnym — jakżeż to wszystko pełne było uroku!

Pracowałem w Roscoff bardzo usilnie, nauczyłem się tam wiele i zebrałem obfity materiał do historii rozwoju skorupiaków szczeponogich (Schizopoda), który to temat wykończyłem już później w kraju, jako rozprawę doktorską.

W drodze powrotnej z Roscoff do Warszawy zatrzymałem się jeszcze na krótko w Szwajcarji, albowiem dotąd nie znałem jeszcze zupełnie tego kraju. Zwiedziłem Bazyleję, ZÜRICH i Bern, dwa tygodnie spędziłem dla odpoczynku w cudownej górskiej miejscowości Beatenbergu, położonem ponad jeziorem Interlaken, które, podobnie jak inne jeziora szwajcarskie zachwyciły mnie swą przepiękną barwą modrą i bajecznem otoczeniem. W Beatenbergu bawił na wyczasach letnich brat narzeczonej mojej, wówczas asystent chemji u prof. Nenckiego w Bernie szwajcarskim, ponadto bawiła tam dość liczna kolonja studentów i studentek polskich. Dawno nie widziałem się z przyszłym moim szwagrem i chciałem go odwiedzić. Beatenberg, jak wiele innych miejscowości szwajcarskich, gdzie można spędzić lato w wygodnych i niedrogich pensjonatach, leży prześlicznie, a z licznych jego punktów roztaczają się niecypisane czarujące widoki alpejskie, zwłaszcza na potężny łańcuch Alp berneńskich. Podczas kilkunastodniowego mego pobytu wśród kolonji studenterji tamtejszej mogłem poczynić pewne interesujące dla mnie spostrzeżenia. Uderzyła mnie mianowicie szczerść, przyjaźń i zgoda, jaka panowała między młodzieżą polską; prócz tego, stosunki między tą ostatnią a młodzieżą rosyjską były tak niezwykle przyjacielskie i sympatyczne, że aż zadziwiły mnie, w kraju bowiem nie widziałem nic podobnego. W rzeczywistości zatem pomiędzy Polakami i Rosjanami może istnieć sympatja wielka i serdeczna, a tylko barbarzyńska polityka rządu zaborczego powoduje ową nienawiść, jaką w Królestwie żywimy do działaczy rządowych. Niezwykły altruizm panujący między wspomnianą młodzieżą zaimponował mi po prostu. Bogatsi i zasobniejsi dzielili się w zupełności z biedniejszymi kolegami i koleżankami, a jak słyszałem, podobne stosunki panowały wówczas także w Bernie, Zurichu i Genewie.

Pobyty w Warszawie od r. 1886—1892. Szkolnictwo prywatne w tym czasie

Po powrocie moim z Roscoff do Warszawy odbył się niebawem mój ślub z byłą moją uczennicą, ukończoną słuchaczką uniwersytetu genewskiego z tytułem bakalaureatki nauk przyrodniczych, osobą o niepospolitych, wyjątkowych zaletach umysłu i serca, która była mi i po dziś dzień jest najwierniejszą towarzyszką życia i której zawdzięczam nieskończenie wiele dobrego.

Odtąd także rozpoczął się pewien nowy okres w życiu mojem. Aż do chwili bowiem mego wyjazdu do Lwowa, to jest do r. 1892 zajmowałem się w Warszawie nauczaniem prywatnem, a był to wciąż jeszcze okres apuchtinowski, kiedy nauczanie to znajdowało się pod ciężkim, katowskim obuchem systemu rusyfikacyjnego i stanowiło jedną z wielu smutnych kart martyrologji polskiej.

Szkoły prywatne zostały zrusyfikowane, czyli że nauczanie musiało w nich odbywać się w języku rosyjskim; podręczniki szkolne były rosyjskie, polskie zaś zostały wykluczone i najsurowiej zabronione. Ażeby otrzymać prawo nauczania w szkołach prywatnych, trzeba było uzyskać osobne świadectwo „nauczycielskie“ na podstawie próbnego wykładu w jednej ze szkół rządowych, wobec komisji, której głównie chodziło o to, czy kandydat włada dobrze językiem rosyjskim, czy nie popełnia błędów w „udarienjach“ i wymowie; strona dydaktyczna na ostatnim była planie.

Rzecz jednak oczywista, że rodzice, Polacy posyłali swe dzieci do szkół prywatnych nie po to, by się tu po rosyjsku wszystkiego uczyły, lecz właśnie po to, by poznawały w języku polskim podstawy odnośnych nauk. Przełożeni szkół prywatnych dążyli do tego samego i odtąd rozpoczęła się znana tragedia szkół tych: tajne w nich nauczanie po polsku z jednej i węszenie tegoż przez władze rosyjskie z drugiej strony.

Pomimo najsurowszego zakazu, w większości szkół prywatnych nauczanie odbywało się po polsku, podręczników i nadal używano polskich, jako nauczycieli zapraszano wielu wybitnych pedagogów polskich, nie umiejących po rosyjsku i nie posiadających przeto „świadectw nauczyciel-

skich". Wszystko to jednak musiano trzymać w najściślejszej tajemnicy przed władzą, dla której w zręczny sposób trzeba było pozorować lojalność zupełną wobec jej przepisów. Jakież to było trudne i uciążliwe zadanie i ileż zużywało energii! Prócz tego Apučtin dobierał sobie wiernych i „oddanych sprawie“ inspektorów w osobach słynnych Kryłowów, Iwanowów i innych, którzy mieli ściśle czuwać nad rusyfikacją szkolnictwa prywatnego, często odwiedzać szkoły, pilnować by nauczanie w języku polskim bezwzględnie było rugowane, by nauczyciele bez owych „świadczeń“ i wogóle osoby „niebłagonadiożnyje“, w szkołach tych nie uczyły. Inspektorowie ci mieli całą sieć szpiegów i donosicieli w nauczycielach i nauczycielkach rosyjskich, każda bowiem szkoła prywatna dla wykładu języka rosyjskiego, historii i geografji Rosji musiała mieć siły pedagogiczne rosyjskie. Ci ostatni właśnie pełnili zarazem rolę szpicłów, podpatrywali, podsłuchiwali, niby niechcący przeglądali książki i zeszyty uczniów i uczenic, informując co do tego pana ispektora, który zawsze z nienacka, o różnych porach dnia, wpadał na rewizję do szkoły, a gdy znalazł coś niewłaściwego, np. jakiś podręcznik polski, jakieś notatki polskie w bruljonie albo — co najgorsze — gdy natknął w klasie lub nawet w obrębie budynku szkolnego jakąś osobę, nie mającą pozwolenia na nauczanie, dawał folgę swej szerokiej naturze, wymyślając ordynarnie, i z kolei śpieszył z raportem do kuratora, za co na biednych przełożonych szkół oraz na nauczycieli sypały się wysokie kary pieniężne, następowało zamykanie szkół tych czasowe lub stałe albo też odbieranie prawa nauczania nauczycielom i pozbawianie ich chleba.

Rzecz prosta, że przełożeni i przełożone szkół prywatnych musieli zatem uciekać się do podstępów, by w ukryciu przed władzami prowadzić naukę w języku polskim. Rozpoczęła się tedy wspomniana walka, w której szczególnie celowały przełożone żeńskich zakładów naukowych, gdzie już absolutnie niechciano słyszeć o języku wykładowym rosyjskim. Uczyłem wtedy w kilku wyższych pensjach żeńskich, jakoto u pani Krzywobłockiej oraz u pani Porazińskiej, których zakłady naukowe bardzo były renomowane. Trudno sobie wyobrazić, do czego doprowadziła owa walka

z rządem rosyjskim, jak dalece rozwinęła czujność przełożonych, nauczycielstwa i uczenic, jak je zahartowała w danym kierunku. W niektórych zakładach urządzono umyślnie dzwonki elektryczne w bramie, podczas gdy szkoła znajdowała się na II-em lub III-em piętrze. Gdy inspektor, Kryłow lub Iwanow, zadzwonił w bramie, dyżurna nauczycielka, mająca obowiązek na odgłos ten wyjść do klatki schodowej i wyrzeć, kto idzie, dawała natychmiast znać przełożonej o wizycie i zanim pan inspektor zdołał wygramolić się na piętro, co zwłaszcza szło trudno grubemu i zapitemu Kryłowowi, w zakładzie w okamgnieniu poczynały dziać się rzeczy nadzwyczajne. Polskie podręczniki i zeszyty szły pod ławkę do szczególnych schowków; na ich miejscu pojawiały się rosyjskie i następnie najspokojniej rozpoczynano jakąś z góry umówioną lekcję rosyjską. Nauczyciele i nauczycielki, nie mający prawa nauczania w danej szkole, znikali w jednej chwili przez specjalne drzwi i korytarzyki w prywatnem mieszkaniu przełożonej, tak, że gdy pan inspektor zjawiał się w zakładzie, wszystko było w najlepszym porządku. Nie domyślał się on nawet, jak go brano na kawał.

W zasadzie może to było nie etyczne; młodzież widziała kłamstwo ze strony swych nauczycieli i sama uczyła się kłamać, lecz w danych smutnych warunkach było to zupełnie usprawiedliwione; traktowaliśmy to wszyscy, jako zło konieczne w obronie polskości przed narzucaną nam niegodziwie moskiewszczyzną. W walce tej rosyjskie np. władze dochodziły do tego, że podejrzewając w jakiejś szkole polskie nauczanie nasyłały osoby oddane mu, niestety nawet niekiedy i polskiego pochodzenia, które pod różnemi pozorami pokrewieństwa, lub opieki odwiedzały uczenice w zakładzie, ażeby przecież coś wyspiegować. Bywało i tak, że osoby takie zaczepiały panienki, zwłaszcza z klas niższych, a więc mniej ostrożne, na ulicy w chwili gdy te opuszczały budynek szkolny, zapytując co zadane na jutro z tego lub owego przedmiotu, niby to pod pozorem potrzeby poinformowania chorej uczenicy, która dnia tego do szkoły przyjść nie mogła. A gdy naiwna panienska wyjmowała z torby polski podręcznik albo zeszyt, zjawiał się wnet na dany znak jakiś wyczekujący na ulicy urzędnik kancelaryjny pana inspektora

i stwierdzał naocznie zbrodnię nauczania polskiego. Była to walka straszna, niekiedy wyczerpująca wprost siły nauczycielstwa i uczenic. W takich okropnych warunkach, niewiarogodnych po prostu, szerzyliśmy oświatę w szkołach prywatnych polskich.

Prócz tego było wówczas bardzo rozpowszechnione w Warszawie nauczanie prywatne po domach, zwłaszcza słynny był tak zw. żeński „latający uniwersytet“, założony przez żonę moją oraz ś. p. Szczawińską-Dawidową, żonę zmarłego niedawno, znanego uczonego i literata Władysława Dawida. Starsze panienki i młode mężatki zbierały się w prywatnych domach, gdzie odbywały się wykłady różnych przedmiotów, całe kursa systematyczne, których podjęli się tacy wybitni pedagodzy, jak Piotr Chmielowski, Władysław Smoleński, Stanisław Kramsztyk, Władysław Gosiewski, Władysław Dawid, Maksymiljan Heilpern, Stanisław Mieczynski i liczni inni. I ja też miałem wiele takich lekcji zbiorowych w tym tajnym uniwersytecie „latającym“, nazwanym tak dlatego, ponieważ wykłady te odbywały się potajemnie i były śledzone oraz prześladowane przez władze, lekcje musiały często być przenoszone z jednego prywatnego mieszkania do drugiego, by zmylić pogoń policyjną.

Stróże domów pełnili wówczas w Warszawie rolę pomocników policji; wieczorem, aż do zamknięcia bramy (o godz. 11-ej) musieli latem i zimą, w najcieńsze nawet mrozy siedzieć przed bramą i kontrolować, kto wchodzi i wychodzi z domu. Wogóle przez cały dzień baczną musieli zwracać uwagę na ruch lokatorów i obcych w danym domu, by w razie potrzeby móc z tego zdać sprawę „akadocznemu“ czyli tak zw. po polsku rewirowemu, starszemu śludze policyjnemu, który miał w swej pieczy pewną ilość domów danego cyrkułu. Otóż ci stróże byli największym postrachem prywatnych lekcji zbiorowych, albowiem najczęściej o nich donosili o nich policji. Lada sprzeczka z lokatorem za mały napiwek za otwieranie bramy i t. p. wystarczały, ażeby stróż szedł z „danosom“ do policji, że u tego lub owego mieszkańca domu odbywają się jakieś zakazane zgromadzenia.

Wszyscy cierpieli z tego powodu, a i ja niejedną miałem gorzką chwilę. Razu pewnego, podczas zbiorowej lekcji fizjologii, którą miałem w zacnym domu pp. Hirszfeldów i na którą uczęszczało dziesięć pań, rozległ się nagle gwałtowny dzwonek (co zawsze niepokoiło uczestników zebrania) i do pokoju wtoczył się komisarz policji we własnej osobie, rewirowy, policjant i stróż domu. Prześwietna ta komisja spisała „pratakoł“, iż zastała mnie wraz z takimi a takimi osobami, notując ich imiona, nazwiska oraz miejsce zamieszkania. Pan komisarz zapytał mnie, czego nauczam i w jakim języku, kazał sobie pokazać zeszyty i notatki, przejrzał je, czy istotnie jest to lekcja o niewinnej politycznie treści; poczem dał mi ostry „wygawor“ przypominając, iż nie wolno mieć żadnych zbiorowych lekcji prywatnych, nawymyślał gospodyni domu pani H. lecz w końcu okazał się dość „wielikodusznym“ i rzekł, że tym razem jeszcze nie przedstawi mnie oraz pani H. do kary pieniężnej, lecz zakazuje surowo tych lekcji na przyszłość. Naturalnie, że lekcje te odbywały się dalej, lecz w innem mieszkaniu i innej dzielnicy miasta. Takie przenosiny były na porządku dziennym, a że rodzice nierzadko obawiali się odpowiedzialności w obec władzy, oraz przedewszystkiem kar pieniężnych, nieraz dość wysokich przeto nieraz dochodziło do scysyj między rodzicami a żądnymi nauki panienkami a nauczyciel odczuwał z tego powodu niejednokrotnie pewną niechęć do siebie ze strony rodziców lub opiekunów uczenic, co wcale nie należało do rzeczy przyjemnych, owszem było powodem wielkich nieraz przykrości. Działy się przytem nieraz rzeczy tragiczne. U panny Weryho, znanej i cenionej powszechnie nauczycielki w dziedzinie nauki poglądowej, odbywały się lekcje zbiorowe dla kilkunastu nauczycielek, wykladałem tam zoologję i somatologję. Otóż razu pewnego, gdy przyszedłem na lekcję, panna W. mocno wzruszona, odesłała nas wszystkich do domu, opowiadając rzecz następującą: Jedna z uczestniczek kursu, młoda wdowa, matka kilkorga dzieci, znajdując się w rozpaczliwem położeniu materjalnem, popełniła czyn haniebny zgodziwszy się za pieniądze być narzędziem w ręku inspektora szkół prywatnych i donosić mu o zakazanych kompletach lekcji lub o polskich wykładach. Otóż doniosła też o zbiorowych lekcjach u panny W.,

lecz potem tknęło ją sumienie, poszła osobiście do tej ostatniej, poczęła przed nią szlochać i rozpaczać i przyznała się do popełnionego niecznego czynu, ostrzegając ją o mającej nastąpić u niej rewizji. Istotnie w dniu, kiedy rozeszliśmy się z owej lekcji nieodbytej, mniej więcej w czasie, kiedy miałyby się ona ku końcowi, wpadła policja do mieszkania panny W., nie natrafiła jednak na żadne podejrzone zebranie. Lekcje te, po wykluczeniu donosicielki, zostały naturalnie przeniesione do innego mieszkania. Smutne to nad wszelki wyraz były stosunki, napełniały mnie one goryczą i niewątpliwie były powodem tego, że czułem się wówczas bardzo zdenerwowany i wogóle zdrowie mi nie dopisywało. Ta ciągła obawa i niepokój o kolegów, uczniów i uczennice, wreszcie o byt materialny rodziny, szarpały nerwy moje i nie dawały spokoju potrzebnego do pracy naukowej.

Uczyłem także w szkole realnej męskiej, założonej pierwotnie przez znanego matematyka i światłego obywatela kraju, Samuela Dicksteina, w celu kształcenia, przede wszystkim zaś polonizowania i uobywatelnienia młodzieży żydowskiej. W szkole tej był doskonały dobór nauczycieli, przeważnie chrześcijan. Dopóki kierownikiem tej szkoły był Dickstein, stosunki były wcale dobre, pomimo, że władze rosyjskie otaczały ją szczególniejszą opieką, obawiają się właśnie polonizowania w niej żydów; inspektor odwiedzał tę szkołę bardzo często, a i wśród nauczycielstwa było zawsze kilku rosjan donosicieli. Podręczników używano rosyjskich, gdyż kontrola nad szkołą zbyt była ścisłą, wykłady też odbywały się po rosyjsku, lecz pomimo to panował w szkole duch szczerze polski. Po każdym formalnym wykładzie rozmawialiśmy głosem przyciszonym z uczniami po polsku; wymagaliśmy od nich znajomości terminologii polskiej ze wszystkich przedmiotów nauk wykładowych, poza urzędowymi godzinami szkolnymi staraliśmy się wpajać w nich cześć dla narodu polskiego, dla jego języka i literatury. Pomimo możliwej ostrożności duch ten zwęszyła władza rosyjska, to też szkoła stała się nienawistną Apuchtinowi i inspektorowi szkół prywatnych. Zmuszono Dicksteina by się usunął z kierownictwa zakładu, które objął po nim jakiś żyd rosyjski, człowiek do kraju nie przywiązany zupełnie, pilnujący wyłącznie swoich materialnych interesów, a co najgorsza narzucono szkole,

jako nauczyciela, niejakiego Dworkowicza, również żyda rosyjskiego, urzędnika kancelarji inspektora szkół prywatnych. Była to wstrętna kreatura; mały, chudy, ryżawy, z oczkami świdrującymi, brudny; do tego łapownik i szpieg. Od tej chwili zaczęły się niemożliwe stosunki w omawianej szkole. Dworkowicz, jako istny lis, podkradał się pode drzwi klasy i podsłuchiwał, czy czasami jakie słówko polskie nie padło z ust nauczycieli lub uczniów. Dziękowałem niebiosom, że warunki moje materjalne pozwoliły mi porzucić ten zakład naukowy i uwolnić się od tego rodzaju „kolegi“.

Popularyzowanie nauki i praca naukowa w Warszawie — Doktoryzacja

Przez cały czas pobytu mojego w Warszawie, od ukończenia uniwersytetu aż do wyjazdu do Lwowa, zajmowałem się także bardzo wiele popularyzowaniem nauki, uważałem to bowiem zawsze za obowiązek tych, którym szczęśliwe warunki dozwoliły nabyć w pewnej dziedzinie gruntowną i ścisłą wiedzę. Zajmowałem się tem i później także, obok zajęć czysto naukowo-badawczych i profesorskich, uważając to zawsze, jako daninę składaną szerszemu ogółowi ukochanego mojego narodu.

Historycy, literaci a nawet uczeni prawnicy nie mają w większości wypadków potrzeby popularyzowania nauki. Najbardziej przecież specjalne dzieło historyczne może czytać każdy przeciętnie wykształcony człowiek, najbardziej uczoną rozprawę o Mickiewiczu lub Słowackim albo o pewnych kierunkach w literaturze może również czytać każdy człowiek wykształcony i myślący; nawet dzieło ekonomiczne i społeczne zrozumie on dobrze bez wielkiego przygotowania specjalnego. Chodzi tu tylko o lżejszy lub cięższy sposób przedstawienia rzeczy, o mniejszy lub większy balast dodatkowy, co ułatwia albo utrudnia czytanie takiego dzieła, czyniąc je zajmującym lub nudnym.

Inaczej jest w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych. Rozprawy specjalnej o falach elektro-magnetycznych, o budowie drobiny benzolu, o rozwoju embrjonalnym np. skorupiaka lub o budowie histologicznej płuc nie zrozumie żaden laik, a nawet uczony historyk lub filolog, mający

umysł wyćwiczony do ścisłego i poważnego myślenia. W naukach przyrodniczych i matematycznych trzeba gruntownie znać same fakty, na których oparte są pewne prawdy naukowe, by móc rozumieć prace z tych dziedzin umiejętności. Dlatego też popularyzowaniu otwiera się najszersze i najwdzięczniejsze pole właśnie w dziedzinie tych nauk i przez „popularyzowanie nauki“ prawie zawsze rozumie się popularyzowanie nauk przyrodniczych. W innych umiejętnościach stworzenie rzeczy popularnej sprowadza się do napisania artykułu lub książeczki w stylu prostym, przeznaczony dla ludu, dla prostaczków, inteligencja bowiem może w większości wypadków czytać i rozumieć odnośne dzieła „ściśle naukowe“; natomiast w naukach przyrodniczych należy popularyzować przede wszystkim właśnie dla inteligencji, dla prostaczków zaś popularyzowanie sprowadza się do udzielenia wiadomości tylko najelementarniejszych i to więcej praktycznych, co często spełniają już podręczniki szkolne, gdzie jest mowa o higienie, odżywianiu, pożytecznych lub szkodliwych zwierzętach i roślinach, o pewnych najważniejszych zastosowaniach nauki w przemyśle, technice, lecznictwie.

Popularyzowanie przyrodoznawstwa dla inteligencji stanowi zadanie nader wdzięczne, ale zarazem bardzo trudne. Postępy nauk przyrodniczych zmieniają światopogląd człowieka; wielkie prawdy filozoficzne, wykryte przez te nauki, wywierają wpływ przeobrażający na cały sposób myślenia naszego; najgłębsze zagadnienia bytu, problematy materji, energii, życia i śmierci, ewolucji świata organicznego, pochodzenia człowieka i stosunku jego do całej przyrody — oto zagadnienia, których rozwiązanie albo przynajmniej wyjaśnienie, mają na celu dociekania przyrodnicze. Te wielkie problematy bytu człowieka i przyrody całej interesują przecież każdego wykształconego i myślącego człowieka i oto zadaniem popularyzatora jest wprowadzić czytelnika w tajniki tych wielkich zagadnień, wskazać mu sposoby i drogi jakimi kroczy umysł ludzki ku ich rozwikłaniu. Zadanie szczytne i wdzięczne, lecz powtarzam nader trudne i wymagające pewnych szczególnych warunków.

Otóż przedstawianie ogółowi myślącemu wielkich prawd naukowych i wspaniałych, teoretycznych konstrukcyj myślo-

wych w formie możliwie zrozumiałej, stanowiło dla mnie zawsze bardzo pojętne i ze wszech miar przyjemne zajęcie, co wynikało także, jak sądzę, z czynników natury altruistycznej. W ogóle lubię się dzielić przyjemnymi wrażeniami z otoczeniem. Gdy przeczytam coś bardzo zajmującego, co sprawia mi wielką przyjemność duchową, czuję potrzebę podzielenia się nią z innymi i to mi objaśnia, dlaczego zajęcia nauczycielskie sprawiały mi zawsze taką przyjemność, dawały mi bowiem sposobność do dzielenia się z innymi tem, co mnie samemu dawało rozkosz duchową. Było to może tajemnicą mojego późniejszego powodzenia, jako profesora uniwersytetu, bo wkladałem w swe wykłady bardzo wiele uczucia i opowiadając o rzeczach, które na moją duszę silnie, dodatnio działały, wzruszałem się i tem silniej oddziaływałem na uczniów moich.

Otóż ta rozkosz, jaką znajdowałem w dzieleniu się z innymi tem, co mnie samemu zadowolenie duchowe sprawiało, było też przyczyną zamiłowania mego do uprzystępniania wielkich prawd naukowych myślącemu ogółowi polskiemu. Gdy więc tylko pojawiały się jakieś nowe prawdy lub teorie w dziedzinie biologji, czy to np. teorie ewolucyjne Darwina, Noegelego lub Weismanna, czy to teoria regulacji płci Düssinga, czy to później znów teoria mutacyjna de Vries'a albo ważne odkrycia w dziedzinie nauki o dziedziczności lub na polu biologji głębinowej i t. p., zaznajamiałem z nimi ogół nasz wykształcony, początkowo podczas pobytu w Warszawie, za pomocą rozpraw i artykułów, a później, już po przeniesieniu się do Lwowa, za pośrednictwem mniej lub więcej obszernych dzieł, których 16 napisałem tomów. Pisma moje cieszą się niemałą poczytnością; krytyka przyjmowała je po największej części bardzo życzliwie, a liczne z dzieł moich, pomimo najpoważniejszej treści naukowej, doczekały się kilku wydań. (Patrz niżej o pismach moich).

W Warszawie umieszczałem swe artykuły i rozprawy dla szerszego ogółu w „Ateneum“, miesięczniku redagowanym wówczas przez Piotra Chmielowskiego i Łagunę, w „Bibliotece warszawskiej“ redagowanej przez Władysława Bogusławskiego, w „Przyrodzie i Przemyśle“ wychodzącym wówczas pod redakcją K. Jurkie-

wicza, we „Wszechświecie“ redagowanym przez Bronisława Znatowicza, w „Prawdzie“ Aleksandra Świętochowskiego, w „Przeglądzie tygodniowym“ redagowanym przez A. Wiślickiego, w „Przeglądzie pedagogicznym“ redagowanym przez Władysława Dawida. Z wszystkimi tymi redaktorami nawiązałem tedy bliższą znajomość. Stosunki literackie z nimi pozostawiły mi wiele miłych wspomnień, jedynie tylko stosunek do „Przeglądu tygodniowego“ był dość niemiły. Pismo to pod wieloma względami było tandetą; redaktor jego, człowiek bez gruntownej wiedzy i wykształcenia, lubił gonić za sensacją, brać czytelników na lep „postępu“ i „ostatniej chwili“. Liche często rzeczy drukowane były w tem piśmie oraz w jego dodatkach miesięcznych, a nadmiar lichą i niedbałą była ich korekta. Wprawdzie postępowanie redaktora Wiślickiego ze mną, jako autorem, było zawsze dość dobre, to jednak wyzykiwał mnie, jak wyzykiwał także innych autorów, którzy wraz ze mną tak byli zręcznie omotani, iż trudno nam było przez lat kilka wypłatać się z współpracownictwa w tem piśmie. Stosunki z „Prawdą“ były bez porównania przyjemniejsze i sympatyczniejsze; redaktor jej Świętochowski, człowiek głębokiego, krytycznego umysłu i rozległej wiedzy, często rozmawiał ze mną przy biurku redakcyjnym, a chwile te należały zawsze do bardzo miłych i korzystnych dla mnie.

A teraz pomówię o najważniejszej dla mnie sprawie, o mojej pracy naukowej i jej warunkach w Warszawie, od powrotu z Roscoff (1886) do przeniesienia się do Lwowa (1892). Ciężkie to były chwile dla pracy tej, gdyż zajęcia zarobkowe zabierały mi lwia część czasu. Bywały dni, w których miałem po 7—8 godzin lekcyj, licząc w to zajęcia w prywatnych szkołach żeńskich, lekcje zbiorowe w latającym uniwersytecie oraz lekcje w warszawskim Towarzystwie Farmaceutycznym. Rzecz prosta, że przy tylu lekcjach oraz pracy piśmienniczej z wielkimi jedynie trudnościami oddawać się jeszcze mogłem pracy czysto naukowo-badawczej. W pracowni zoologicznej uniwersytetu warszawskiego, ^zod czasu zamianowania tam profesorem Uljanina, a asystentem jego Mitrofanowa, człowieka pod względem przekonań politycznych bardzo dla mnie

niemiłego, stosunki stały się tak nieznośne, iż tam pracować nie mogłem. Pracowałem więc z początku przez rok jeden w domu u siebie, urządziwszy sobie laboratorium w jadalnym pokoju, na osobnym przeznaczonym do tego stole; tu między innymi posunąłem naprzód moją pracę nad rozwojem skorupiaków szczeponogów, która mi później posłużyła, jako rozprawa doktorska. Następnie — gdy przybył mi syn i w mieszkaniu zrobiło się trochę ciasniej, przeniostałem się do pracowni biologicznej warszawskiego Towarzystwa lekarskiego, gdzie było mi dość wygodnie i gdzie przez dwa lata codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt — owszem w te dni najwięcej — usilnie bardzo, po kilka godzin dziennie pracowałem. Nieraz miałem czas rozerwany lekcjami w różnych dzielnicach miasta, wpadałem do pracowni na godzinę, później szedłem na dwie—trzy godziny lekcyj, poczem znów na godzinę lub na dwie do pracowni zachodziłem, a tak działo się przed i popołudniu. Było to niewątpliwie bardzo męczące, dla zdrowia mojego niekorzystne i denerwujące. Niektórzy moi koledzy dziwili się, że pomimo tylu zajęć zarobkowych miałem jeszcze czas na badania naukowe oraz na ciągłe śledzenie postępów nauki. Tajemnicą tego, jak i całej późniejszej mojej pracy była pewna szczęśliwa cecha mego charakteru a mianowicie starałem się zawsze wykorzystać dla pracy najkrótszy nawet okres czasu; nigdy nie odkładałem roboty na później dlatego tylko, że zbyt mało miałem przed sobą wolnego czasu, jak to niestety bardzo często czynią inni. Jeżeli miałem wolną godzinę lub nawet pół godziny albo kwadrans starałem się bodaj cośkolwiek zrobić przez ten czas i zawsze odsuwałem od siebie tak dobrze znaną samowymówkę: „na tak krótko nie warto zabierać się do roboty“. Boć z takich kwadransów, półgodzinek i godzin tworzą się w sumie duże okresy czasu. To też zawsze starałem się pracować w ten sposób, iż odkładałem daną robotę w takim stanie, ażeby po danej koniecznej przerwie móc się do niej na nowo od razu zabrać.

Zajęcia w pracowni Tow. lekarskiego miały dla mnie także wiele stron ujemnych. Wpadali tam często lekarze, by coś pod mikroskopem rozpatrzeć, by jakiś preparat anatomico patologiczny pokrajać, zabarwić i zbadać dla celów

djagnostycznych, często przeskadzano mi w pracy, ruszano moje preparaty, przedstawiano odczynniki, słowem nie było dobrych warunków dla pracy naukowej.

W tym czasie założono w Warszawie na tak zw. Bagateli ogród zoologiczny, a założyło go towarzystwo, którego duszą i kierownikiem był mecenas Jan Maurycy Kamiński. Jak na początek, ogród był dość porządnie urządzony i obfitował w dość liczne okazy zwierząt. Otóż przyszło mi na myśl, że przy ogrodzie takim byłoby dobrze założyć naukową pracownię zoologiczną, tembardziej, że możnaby korzystać do celów naukowych z niektórych zwierząt, które licznie się rozmnażały lub w większej ilości dały się hodować w akwarjach i terarjach. Myśl tę przedstawiłem zacnemu mecenasowi, który skwapliwie z niej skorzystał, bo pragnął, by warszawski ogród zoologiczny miał nietylko cele czysto praktyczne, lecz także i naukowe. W r. 1889 w połowie marca spisaliśmy u reagenta W. Łukomskiego umowę materjalną, mocą której towarzystwo ogrodu zoologicznego zobowiązało się oddać mi bezpłatnie na pracownię zoologiczno-zootomiczną salę o pięciu oknach na pierwszym piętrze głównego budynku, ja zaś zobowiązałem się własnym kosztem pracownię urządzić, bezpłatnie nią kierować i mieć pieczę nad znajdującym się obok gabinetem podręcznym, gdzie mieścił się zbiór zwierząt wypchanych oraz preparatów anatomicznych.

Zabrałem się rychło do urządzenia tej pracowni, obszernej i widnej, z oknami wychodzącymi na piękny cienisty ogród. Umieściłem tam część własnych mebli, instrumentów i przyborów a otrzymawszy nadto na ten cel zasiłek bezwrotny z kasy pomocy naukowej im Mianowskiego, zakupiłem jeszcze jeden mikroskop, lupy, mikrotom, termostat i drobniejsze narzędzia¹⁾ oraz odczynniki. Niebawem rozpocząłem tam pracę a jednocześnie też zgłosiło się do mnie kilku studentów uniwersytetu warszawskiego, pragnąc pracować pod moim kierunkiem. Szczęśliwy byłem, iż mogłem samodzielnie kierować pracownią i przewodniczyć młodzieży.

¹⁾ Wszystkie te narzędzia oddałem później założonemu przeze mnie w r. 1892 instytutowi anatomji porównawczej przy uniwersytecie lwowskim.

Z pracowni tej wyszło kilka cennych prac uczniów moich, np. praca Adama Landego o skorupiakach widłonogich Królestwa Polskiego oraz prace Lindera i Pietruszyńskiego o pijawkach krajowych; sam też wykończyłem w tej pracowni kilka rozpraw o rozwoju embrjonalnym równonogów.

Pracownia ta jednak znajdowała się bardzo daleko od środka miasta, gdzie sam mieszkalem i gdzie przeważnie miałem zajęcia, gdyż mieściło się tuż przy rogatce mokołowskiej; odbywanie dwurazowe w ciągu dnia tej dalekiej drogi było bardzo uciążliwe, tembardziej, że jazda dorożkami była zbyt kosztowna, a tramwaje odchodziły wówczas w tamtą stronę bardzo rzadko. Nadto w zimie panowało w pracowni przerażające zimno, gdyż sala miała aż pięć wielkich okien, cienkie ściany, z których cztery były szczytowe a tylko jeden mały piecyk tuż przy drzwiach. W mroźne dni zimowe przysuwaliśmy się wszyscy, to jest ja wraz z moimi młodymi współpracownikami do samego niemal pieca, ale już w promieniu jednego metra od niego mroziło nas dotkliwie zimno, a bliżej okien woda zamarała w naczyniach. Nieraz wracałem z tej pracowni zziębnięty, jak to mówią, do szpiku kości, ale byliśmy młodzi, ogrzewał nas wielki zapał do nauki, gorąca miłość wiedzy i pomimo wielu dolegliwości pracowało się dobrze i z największą ochotą. Nie długo jednak mogłem korzystać z gościnnych progów warszawskiego ogrodu zoologicznego, albowiem po dwóch latach istnienia towarzystwo musiało zlikwidować swe czynności i ogród zamknąć, co stało się wskutek braku należytego dozoru. Mianowicie przedsiębiorca, dostarczający mięsa do karmienia zwierząt, przysłał raz mięso czemś zatrute, czy też będące w stanie silnego rozkładu, dość że najpiękniejsze i najdroższe okazy zwierząt, lwy, tygrysy, jaguary, niedźwiedzie, wilki, hyeny, krokodyle, węże — wszystko to w ciągu dnia padło ofiarą, co naraziło ogród na olbrzymie i trudne do powetowania straty. Pozostawszy bez własnej pracowni, przenieśliśmy się znów do pracowni biologicznej Towarzystwa lekarskiego, ale nie na długo, bo wkrótce przenieśliśmy się na stałe do Lwowa.

Zanim przejdę do tego okresu mojego życia, wspomnę jeszcze o mojej doktoryzacji w Warszawie i o niedoszłym do skutku zamiarze przeniesienia się do Genewy.

Wykończywszy rozprawę o rozwoju skorupiaków szczeronogów (*Mysis Chameleo*) i chcąc uzyskać stopień doktora zoologii, miałem pierwotnie zamiar przesłania jej do jednego z uniwersytetów rosyjskich, np. w Odessie lub Kijowie. Trudno mi jednak było w ciągu roku szkolnego wyjechać z Warszawy i dlatego, po namyśle, postanowiłem przedłożyć tę rozprawę wydziałowi fizyko-matematycznemu uniwersytetu warszawskiego, gdzie wówczas profesorem anatomii porównawczej był Uljanin, a zoologii jeszcze Wrześniowski, którego jednak, jako Polaka rząd zamierzał już spensjonować. Namyślałem się zaś długo dlatego, iż czułem, że Uljanin następcą Ganina nie bardzo mi sprzyjał z powodów wyżej wymienionych. Otóż istotnie Uljanin, jako prawdziwy „ruskij“ wraz ze swoim również „ruskim“ asystentem Mitrofanowem pragnęli skorzystać ze sposobności i dowieść, że Ganin wcale nie miał słuszności, polecając mnie w swoim czasie tak usilnie na dalsze stypendjum rządowe. Postanowili tedy rozprawę moją przyjąć, lecz podczas publicznej obrony tejże zarzucić na mnie tak zawikłane sieci i wplątać mnie w taką dysputę, ażebym z niej wybrnąć nie potrafił i ażeby mnie wskutek nieumiejętnej, jak się spodziewali, obrony mojej rozprawy tytułu doktorskiego nie przyznać. Przedewszystkiem Uljanin zażądał odemnie, ażebym mu przedłożył wszystkie moje odnośne preparaty, co było zupełnie niewłaściwe, lecz czemu uczyniłem zadość. Opowiadano mi, że Uljanin przez miesiąc cały studjował te preparaty i porównywał z mojami rysunkami, otoczony przytem stosami dzieł. Wyznaczono mi na obronę rozprawy dzień 17. stycznia st. st. 1888 r., dysputa trwała od 9-ej rano do 4-ej po południu, wytrzymało mnie tedy przez siedm godzin w pozycji stojącej, bez chwili odpoczynku w tej walce zażartej i jedynej w swoim rodzaju. Uljanin przybył na tę dysputę z olbrzymim stosem dzieł, które aż kilku woźnych wniosło za nim do sali, w każdym z nich tkwiło mnóstwo zakładek, a stary, trzęsący się ten zoolog dzierżył jeszcze w dłoni kilka arkuszy notatek, gdyż nie dowierzał swej pamięci. Aula pełna była profesorów, studentów

i publiczności, która dowiedziawszy się o zamierzonej przez Moskali surowej na mnie nagonce, tłumnie się zebrała z takich samych zapewne pobudek, z jakich gawieź lubi patrzeć na człowieka tonącego. Wszelako było też wielu moich przyjaciół i dobrych znajomych. Uljanin dosłownie pienieł się, głos mu drżał, ręce trzęsły się, gdy wiersz za wierszem wertował po kolei kartki mojej dysertacji. Dlaczego pan cytujesz — zarzucał mi — autorów A. i Z., a nie przytoczyłeś autorów B. i C.? Musiałem wyjaśniać oponentowi, że przedmiot poruszony przez autorów B. i C. nie ma żadnego bezpośredniego związku z poruszoną przezemnie kwestją, przytaczanie przeto tych autorów w rozprawie, stanowiło niepotrzebny balast. W dyskusji zaś okazało się, że pomimo nieprzytoczenia, znałem jednak dobrze treść prac odnośnych i ku niemiłemu zdziwieniu mego oponenta, pamiętałem nawet drobne szczegóły tych prac. Za każdym razem gdy udowadniałem bezpodstawność zarzutów oponenta, Uljanin bełkotał „tak czoż“ i wnet do nowego przechodził zarzutu. Co do mnie, to byłem silnie podniecony, lecz to podniecenie spotęgowało moją przytomność umysłu i zaostrzyło pamięć: przytaczałem fakty i daty, obalające twierdzenia mego przeciwnika, a jak mi później opowiadali przyjaciele, całe audytorjum stanęło odrazu po mojej stronie. Gdy po siedmiodzinnej dyspucie fakultet przeszedł do sąsiedniej sali na naradę, całe audytorjum z wielkiem napięciem oczekiwało jej wyniku, albowiem wszyscy widzieli, że była to ze strony Uljanina namiętna chęć obniżenia wartości mojej rozprawy i słyszeli też, że dobrze odpierałem jego zarzuty i broniłem należycie poglądów swoich. Gdy więc po upływie pół godziny powrócił do auli dziekan S o n i n i orzekł, że fakultet na podstawie mej obrony rozprawy oraz przeprowadzonej dysputy przyznaje mi stopień doktora nauk zoologicznych, istna burza oklasków zerwała się na sali i powinszowaniom nie było końca. Nawiasowo dodam jeszcze, że uczeni zagraniczni nazwali później tę moją rozprawę doktorską pracą „klasyczną“ (np. prof. Giard), a rysunki moje z niej przeszły do najpoważniejszych podręczników europejskich, np. do słynnego podręcznika embriologii porównawczej prof. Korschelta i Heidera.

W trudnem mojem pod względem naukowym życiu w Warszawie, nie pozwalajacem na szerszą pracę naukową, zabłyśła mi na chwilę nadzieja lepszej przyszłości. Było to w r. 1885 (o ile mię pamięć nie myli), gdy wyczytałem w jednym z pism zagranicznych, że znakomity zoolog szwajcarski, prof. H e r m a n F o l w Genewie poszukuje asystenta. Natychmiast napisałem do niego, przesyłając jednocześnie wszystkie moje prace naukowe i prosząc o tę posadę. Niebawem otrzymałem od prof. F o l a list, w którym pisał mi, że godzi się na moją propozycję, podając warunki płacy oraz pracy, które przyjąłem; o dniu mojego przybycia do Genewy miał mnie zawiadomić. Byłem przygotowany do podróży i cieszyłem się bardzo, że będę pracował w uniwersytecie i to pod kierunkiem tak znakomitego badacza. Mijały jednak tygodnie i miesiące, a wiadomości od F o l a nie otrzymywałem żadnej. Dopiero po pół roku dowiedziałem się o tragicznej jego śmierci. Miał on własną pracownię w Ville Franche na Rivierze oraz własny parostatek, na którym wyjeżdżał na morze dla połowów naukowych. Otóż pewnego razu wyjechał rankiem na wycieczkę w towarzystwie kilku marynarzy i nie powrócił więcej. Dotychczas nie wiadomo, czy statek rozbił się gdzieś i utonął wraz z załogą, czy też F o l został zamordowany przez korsarzy morskich; to ostatnie przypuszczenie uważają za prawdopodobniejsze, jak mi w rok później opowiadał pewien zoolog szwajcarski.

W lecie r. 1890 bawiłem dwa miesiące w stacji zoologicznej w Concarneau, miasteczku również położonem w Bretanii, lecz mniej pięknie, aniżeli Roscoff. A i stacja w Concarneau nie jest tak dobrze urządzona, jak w Roscoff. Należała ona wówczas do Muzeum historii naturalnej w Paryżu i pozostawała pod kierunkiem prof. P o u c h e t ' a, syna owego słynnego Pouchet'a, który wiódł głośny w nauce spór o samorództwo drobnoustrojów z P a s t e u r e m. Otóż Pouchet-syn był typem uczonego, dość często napotykanym we Francji, a mianowicie pod wieloma względami był nieukiem i błagierem. Prawdą jest niewątpliwą, że Francja wydała bardzo wielu ludzi znakomitych, przodowników nauki wszechświatowej, dość wymienić takie nazwiska, jak Lyonet, L a c e p é d e, Cuvier, Lamarck, Lavoisier, Dumas,

Claude Bernard, Pasteur i wiele, wiele innych. Lecz wśród ogółu uczonych francuskich napotyka się niestety bardzo często typy powierzchownych i blagierów, jakich mało np. w uniwersytetach niemieckich. Do takich właśnie typów należał Pouchet, puszący się (nomen-omen) swą wielkością, przywiązujący wagę zbyt wielką do kokardek i odznaczeń, w rzeczywistości głowa słaba i bez wiedzy gruntownej. Nigdy nie zapomnę nieszczęśliwego jego asystenta, emigranta rosyjskiego, któremu profesor w ciągu tygodni całych kazał szukać ameb pod mikroskopem i żądał, ażeby każda znaleziona ameba była umieszczona w osobnej kropelce wody na osobnym szkiełku przedmiotowym! Była to praca iście syzyfowa i zresztą bezcelowa, bo Pouchet nie miał nigdy czasu na badanie tych żywych ameb i wszystko mu wysychało. Przez ścianę słyszałem często kłótnie Pouchet'a z asystentem z powodu „les amibes“. „Avez vous trouvé pour moi les amibes?“ „Non“ brzmiała odpowiedź. „Le diable! Sapristi!“ i następowała cała fala ordynarnych wymyślań. Pouchet traktował asystentów, jako coś o wiele niższego od siebie, tak, że podczas wycieczek na morze odosabniał się od nich, albowiem przebywanie z nimi w jednej łodzi uważał za użyczenie dla siebie. To też pewnego razu wyszedł na tem bardzo źle. Mianowicie w jakąś niedzielę wybraliśmy się na wycieczkę, do której Pouchet używał małego stacyjnego parowczyka, przeznaczonego przezeń dla asystentów, laborantów i służących oraz barki, w której sam się usadowił, następnie jakąś parę krewnych z Paryża przybyłych oraz mnie, jako „etranger'a“. Barkę przywiązano liną do parowczyka i ruszyliśmy. Niebawem jednak na oceanie zerwała się szalona burza; grzmoty i ryki rozhukanych fal ogłuszały nas formalnie, a gdy parowczyk zapadał się w głąb fali, ciągniona przezeń na linie barka kołysała się tak silnie, że groziło to rozbiciem. Nie było tedy innej rady, jeno podczas szalejącej wciąż burzy, wciągnąć barkę do parowca, a my naturalnie musieliśmy również dać się wciągnąć tamże, co było operacją pełną emocji i nie bardzo bezpieczną. Krewna Pouchet'a omal nie zemdląła przytem ze strachu. Gdy wszyscy znaleźliśmy się szczęśliwie na pokładzie parowca, pokpiwaliśmy sobie porządnie z niefortunnego pomysłu Pouchet'a.

Podczas pobytu mojego w Concarneau, zebrałem tam piękny materiał do embriologii skorupiaka równonogiego *Ligia oceanica*, o który w r. 1892 ogłosiłem obszerną rozprawę w wydawnictwach Akademii Umiejętności w Krakowie.

Po powrocie z Concarneau do Warszawy, gdy zaczął się nowy rok szkolny, czułem się bardzo przygnębiony nawalaniem zajęć nauczycielskich i trudnościami coraz większemi w pracy naukowej. Czułem, że coraz mniej mam czasu na czytanie nowych prac naukowych, zwłaszcza, iż wobec przykrych stosunków z pracowniami zoologicznemi uniwersytetu miałem utrudniony dostęp do nowszych zeszytów czasopism ściśle naukowych, czułem tedy, że jeśli tak będzie szło dalej, to nie będę mógł, pomimo najszczerzej chęci, podążać za szybkim i imponującym ruchem nauk zoologiczno-biologicznych, a kto nie idzie naprzód w pracy naukowo-badawczej, ten się cofa. Myślałem wciąż o tem, by w jakikolwiek sposób wydostać się z ówczesnej, dusznej dla człowieka nauki, atmosfery warszawskiej. Widziałem, jak koledzy moi, ludzie zdolni i ongi w pracy naukowej zamiłowani, zmuszeni byli ją porzucać zupełnie i zajmować miejsca w rozmaitych bankach albo na kolei Warszawsko-wiedeńskiej. Jednem słowem czułem, że zacznę się powoli zsuwać po równi pochyłej z wyżyn nauki, jeśli w życiu mojem nie nastąpi jaka kardynalna zmiana. I nastąpiła ona wkrótce przez wyjazd mój do Lwowa.

Przeniesienie się do Lwowa — Wrażenia Królewskiego na gruncie małopolskim

Oddawna marzyłem o tem, aby się dostać do jednego z uniwersytetów polskich, do Krakowa lub Lwowa. Gdy po śmierci (1890) prof. M. Nowickiego objął po nim katedrę zwyczajną zoologii w uniwersytecie krakowskim prof. A. Wierzejski, po którym zaważowała katedra nadzwyczajna anatomii porównawczej, zwrócono się do mnie z Krakowa o nadesłanie curriculum vitae oraz odbitek z prac naukowych. Uważano mnie przeto za jednego z kandydatów na tę katedrę, lecz była to w danym razie tylko formalność

i niejako akt sprawiedliwości, miano już tam bowiem z góry upatrzonego kandydata.

Ale oto w końcu r. 1890 otrzymałem od prof. Benedykta Dybowskiego list, w którym pisał, że w porozumieniu z prof. Br. Radziszewskim i niektórymi innymi kolegami z wydziału filozoficznego postanowili zwrócić się do mnie z propozycją, abym się habilitował we Lwowie, gdzie będą się starali o stworzenie w przyszłości katedry anatomji porównawczej, obiecując mi tymczasowo docenturę tego przedmiotu ze stałą remuneracją, która umożliwiłaby mi pobyt we Lwowie.

Ten list znakomitego uczonego polskiego zadecydował o całej dalszej mojej przyszłości, bo dzięki niemu istotnie postanowiłem habilitować się na wszechnicy lwowskiej. Pierwsza myśl tej habilitacji pozostała we mnie jeszcze w lecie r. 1888, gdy podczas Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie poznałem tu bliżej prof. Dybowskiego, Radziszewskiego i kilku innych. Miałem też wtedy sposobność poznania samego Lwowa, którego położenie niezwykle mi się podobało. Podczas spaceru członków Zjazdu na Kopiec Unji Lubelskiej szedłem w towarzystwie Dybowskiego i Radziszewskiego i opowiadałem im o trudnościach pracy naukowej w Warszawie; zapewne czcigodnym tym uczonym zaświtała wówczas po raz pierwszy myśl sprowadzenia mnie do Lwowa.

Zdecydować się na stały wyjazd do Lwowa było mi nie łatwo. Miałem już wówczas dwoje małych dzieci. W Warszawie utrzymywałem się głównie z lekcyj w wyższych pensjach żeńskich oraz z dobrze płatnych lekcyj w domach prywatnych, we Lwowie zaś na razie nie miałem nic zapewnionego, dopiero bowiem po upływie semestru miałem otrzymać jakąś stałą remunerację, która wogóle mogła wynosić kilkaset koron na semestr. A jednak, pomimo tej niepewności o byt rodziny, postanowiłem przenieść się do Lwowa. W czem podtrzymywała mnie dzielnie wierna moja żona, która dobrze wiedziała, czem dla mnie jest możność oddania się pracy naukowej w uniwersytecie i z jakimi trudnościami pod tym względem walczyłem w Warszawie. Oboje, bez długiego namysłu, postawiliśmy cele idealniejsze ponad materialne, nie wiedząc zgoła, z czego żyć będziemy we Lwo-

wie, w którym na domiar nie mieliśmy żadnych krewnych lub bliższych znajomych.

Kilka miesięcy po odbyciu kollokwjum i wygłoszeniu wykładu habilitacyjnego zostałem mianowany przez Min. W. i O. (1891) docentem prywatnym zoologii i anatomji porównawczej w uniwersytecie lwowskim, a w najbliższym semestrze letnim roku akademickiego 1891/92 rozpocząłem tu wykłady. Semestr ten przebyłem we Lwowie sam, a dopiero na następny semestr zimowy przybyła także tutaj żona moja wraz z dwoma synkami Tadzkiem i Heniem.

Pierwsze początki mojej pracy we Lwowie dość były trudne, bo nie miałem jeszcze odpowiedniego, że tak powiem, warsztatu czyli stałej pracowni własnej, gdzie mógłbym samodzielnie kierować powierzoną mi młodzieżą akademicką. Przez pierwsze kilka miesięcy pracownia moja była w dosłownem znaczeniu tego wyrazu wędrowną. Wypożyczono mi stół oraz kilka krzeseł i początkowo pozwolono umieścić to „umeblowanie“ w jednej z sal, która była przeznaczona na jakieś komisje egzaminacyjne. Do rozpoczęcia egzaminów miałem do dyspozycji klucz od owej sali, gdzie na stole umieściłem mikroskopy, narzędzia, szkła i odczynniki, które przywiozłem z Warszawy. Później musiałem się z moją pracownią wędrowną przenieść do innej znów sali. po niejakiem czasie znów nowe mi dano pomieszczenie tymczasowe, a muszę dodać, że ówczesny rektor, prof. Balasits okazywał mi wiele życzliwości i robił, co mógł, ażeby tylko jakiś lokal w obrębie gmachu uniwersyteckiego, dla mnie znaleźć. Wreszcie otrzymałem na stałe jeden pokój, później dwa z przedpokojem, zaopatrzone w wodę i gaz; przyznało mi też Ministerstwo pewną, wprawdzie dość małą, lecz stałą dotację roczną na tę skromną pracownię anatomji porównawczej. Młodzież akademicka chętnie i licznie garnęła się do niej, tak, że niemal łokciami trącaliśmy się wzajemnie przy pracy, a przed każdym oknem musiałem kazać ustawić po dwa rzędy stołów. I w tej małej, ciasnej pracowni zawrzało życie naukowe; corocznie kilka lub kilkanaście prac naukowych kierownika i jego uczniów szło w świat, gdzie instytut ten zyskiwał sobie coraz większe uznanie. Przez ten czas (1892 — 1906), przewinął się tutaj cały szereg zdolnych uczniów i uczenic, którzy pracami swemi przyczynili się do

wyjaśnienia niejednej kwestji naukowej; oto ważniejsi z nich. S. Stecka, K. Reisowa, S. Sidoriak, T. Prymak, L. Bykowski, J. Machowski, J. Rakowski, St. Czerski, W. Schreiber, J. Hirsztler, J. Tokarski i inni.

Zanim przejdę do dalszego opisu przeżyć moich we Lwowie, skreślę w kilku słowach niektóre ogólne wrażenia, jakich doznałem — jako Królewiatek — na ziemi galicyjskiej. O Galicji mieliśmy w Królestwie — przynajmniej za moich czasów — pojęcie pod wielu względami dość ujemne. W Galicji znów przekonałem się z kolei, że na ogół królewiatecy nie cieszą się zbyt dużą sympatją rdzennych galicjan, często nawet spotykałem się z tem, że Królewiatek nazywano tu „obcymi“, przebąkiwano też o „warszawskiej blade“. Oczywiście, że te sądy ujemne, tak z jednej jak i z drugiej strony, wynikały głównie z nieznamośności prawdziwych stosunków, co znów było skutkiem tego, iż te dwie sztucznie oddzielone od siebie kordonem, części jednego narodu za mało stykały się z sobą. Zapewne, że muszą i musiały wówczas istnieć pomiędzy nimi pewne różnice, wynikające z odmiennych warunków politycznych i społecznych. Gdy nieco bliżej poznałem społeczeństwo galicyjskie, mogłem sobie uprzytomnić lepiej istotę tych różnic, które z początku nie dają się bliżej określić!

Oto zwróciło moją uwagę stosunkowo lepsze stanowisko ludzi pracy, tak zw. ludzi prostszych; lepsze moralnie, że tak powiem, a nie materialnie, aniżeli w Królestwie. Widziałem, że w Galicji, stróż domu (właściwie dozorca), doróżkarz, robotnik, rzemieślnik czuje się także obywatelem i wie, że z jego sfery bywają wybierani różni dygnitarze; wszak we Lwowie prezydentem miasta był i kowal i blacharz z zawodu. Zdziwiłem się też słysząc, że np. do woźnych, mularzy, kominiarzy itp. mówi się „pan“ podczas gdy byłem przyzwyczajony do tego, że w Warszawie traktowało się, tych pracowników per „ty“. Różnica ta, na pozór niewielka ma jednak swe głębsze znaczenie i oczywiście przemawia na korzyść społeczeństwa galicyjskiego. Uderzyła mnie także większa niż w Królestwie oszczędność i pracowitość! W Warszawie, zdawało mi się, znaczniejsza ilość osób żyła wówczas nad stan, a kto nieco większe miał dochody, bawił się w pana. We Lwowie przeciwnie, ludzie

wcale nieźle sytuowani majątkowo, mieszkają często bardzo skromnie, żywią się również skromnie i oszczędzają. A przysiętem imają się różnych zajęć, byle tylko pracować. Ba, czy można było kiedykolwiek spotkać w Warszawie stróża domu mającego „kamienicę“ lub woźnego, będącego właścicielem sporego kawałka ziemi? Ja przynajmniej nie napotkałem w Warszawie ani jednej takiej osobliwości. Przypominam sobie w tej chwili, że gdy zajechałem do hotelu w Concarneau w Bretanii, właściciel tegoż wzięł na plecy walizę moją i zaniósł ją po schodach na drugie piętro; bardzo mnie to zdziwiło, a jeszcze więcej wydało się niezwykłym, iż jak mi powiedziano, ów hotelarz był bardzo zamożnym człowiekiem. Pomyślałem wtedy, czy by jakiś właściciel domu w Warszawie „poniżył się do takiej pracy“? Lecz w Galicji zobaczyłem mnóstwo podobnych faktów. W domu, gdzie dotychczas mieszkam we Lwowie przy ulicy Zyblikiewicza był przed kilku laty dozorca, który obok dozorowania domu trudnił się mularką. Otóż dowiedziałem się ze zdumieniem, że ten zapyłony i zapracowany dozorca (tak samo wyglądała jego żona) jest właścicielem sporego kawała ziemi i kamieniczki czynszowej gdzieś na krańcu miasta. Jeden z posługaczy zakładów lekarskich uniwersytetu lwowskiego jest właścicielem dwupiętrowej kamienicy, a jeden z woźnych uniwersyteckich ma mająteczek ziemski pod Lwowem. Znałem także straganiarkę, handlującą na rynku drobiem, która sprzedała swój kawałek gruntu we Lwowie za kilkadziesiąt tysięcy reńskich, szczęśliwie bowiem znalazł się na ludnej ulicy. Mógłbym jeszcze bardzo wiele podobnych przykładów przytoczyć. Przyznam, że fakty odnośne były dla mnie niejako niespodzianką i przeczyły owej osławionej „nędzy galicyjskiej“. Skłonność do oszczędzania, o ile jest utrzymana w pewnych granicach, stanowi oczywiście wielką zaletę, a jeżeli jeszcze łączy się z pracowitością i to mniej więcej u wszystkich warstw, to zasługuje już na nazwę cnoty. Otóż te ostatnie cechy — tak mi się wówczas to przedstawiało — więcej są rozwinięte u ludności galicyjskiej po miastach, aniżeli w Królestwie. Niestety ta oszczędność w Galicji niezawsze szczęśliwie bywa stosowana, np. przy budowie domów. Stawiano wówczas wyłącznie prawie domy takie, że mieszkania nietylko składały się z niemożliwie ciasnych pokoi, że

nie miały pokoju dla służby, ale nawet pozbawione były przedpokoju. Przypominam sobie wielkie moje zakłopotanie, gdy składając, jako nowy docent, wizyty, znalazłem się u jednego z profesorów, po otwarciu drzwi wchodowych, odrazu w jadalni, w której na domiar stało łóżko pana domu, a ja stojąc w futrze, kałoszach i z mokrym parasolem w rękę, nie wiedziałem, co mam z sobą począć. Jeżeli do tego dodam, że nie było wówczas we Lwowie ani wodociągów, ani łazienek, ani elektryczności po domach, że brakowało też wielu urządzeń, które już obecnie zaprowadzono, to nie dziw, że miałem wrażenie, iż stopa życiowa i komfort, że tak powiem, są o wiele niższe, niż w Warszawie.

A jeszcze słówko o genezie przypisywania warszawiakom przez galicjan „błagi“ oraz o zarzucaniu tym ostatnim przez tamtych tak zw. „karjerowiczowstwa“.

W Warszawie dla ludzi kończących uniwersytet zamknięte były urzędy, posady w szkołach rządowych wyższych i średnich, zajęcia związane z administracją kraju, słowem wszystkie posterunki, odpowiednie właśnie tego rodzaju inteligencji. Cóż mieli robić i z czego żyć ci wszyscy młodzi ludzie, o ile nie zajęli się przemysłem, handlem lub nie byli lekarzami albo adwokatami? Brali się do dziennikarstwa, do pisywania „artykułów“ po miesięcznikach, tygodnikach lub dziennikach, a wiadomo, że takie pisywanie dla zarobku, z konieczności prędkie, musi często być powierzchowne. Było też w Warszawie dość wiele osób piszących o wszystkim: socjologii, fizyce i chemji, biologji i filozofji, psychologii i historii, na czem oczywiście cierpiała gruntowność pracy. Dość było przejrzeć ówczesne miesięczniki i tygodniki, ażeby się o tem najdowodniej przekonać. W Galicji ci sami ludzie otrzymaliby po ukończeniu uniwersytetu posady w gimnazjach; inni mogliby się habilitować do różnych przedmiotów nauki, jeszcze inni zajęliby odpowiednie miejsca w zarządzie krajem.

Oto jedna z przyczyn owej „błagi“. Musiała ta ostatnia tembardziej razić w Galicji, gdzie dwa polskie uniwersytety, polska politechnika i akademja weterynarji pozwoliły gruntownie wyspecjalizować się naukowo wielu ludziom, którym mogły się niepodobać zarozumiałość i zbytnia pewność siebie wielu warszawiaków. W Warszawie brak było właśnie owego

umysłowego areopagu, który we wszystkich krajach cywilizowanych, o kulturze swobodnie się rozwijającej, tworzą przeważnie jednostki zawodowo do tego wyspecjalizowane i zajmujące odpowiednie stanowiska w społeczeństwie. I mnie samego, po kilku latach pobytu mego we Lwowie, poczęła razić owa powierzchowność i idąca za nią zbytnia pewność siebie oraz zarozumiałość u wielu inteligentów warszawskich.

Z drugiej znów strony królewiaków razi „karjerowiczowstwo“ i uniżoność galicjan, rażą tytuły: „pan radca“, „pan nadradca“, „pan starosta“ itp. Lecz tamci zapominają, że tytułowanie takie nie jest czemś zupełnie nowem i obcem w Polsce, bo wszak za dawnych, swobodnych czasów byli „pan szambelan“, „pan starosta“, „pan wojewoda“, „pan kasztelan“ itp. Obecnie Polacy w Galicji mają tytuły, gdyż są w zarządzie krajem, to też ich używają, jak ich używano w dawnej Rzeczypospolitej. A że młodzież w Galicji szuka posad w urzędach i szkolnictwie, to bardzo dobrze, bo daje jej to nie tylko środki do życia, lecz możliwość spełniania obowiązku narodowego, garnąc się bowiem do zarządu krajem, do jego administracji oraz szkolnictwa przyczynia się znakomicie do utrzymania jego polskości. Prócz tego Galicja niema własnego większego przemysłu, przez co młodzież nie znajduje na tem polu stanowisk, lecz w tych gałęziach przemysłu, które tu się rozwinęły, np. w naftowym, mnóstwo techników i inżynierów polskich poszukuje tutaj najchętniej zajęcia.

Co do mnie, to zaobserwowałem we Lwowie, a przypuszczam, że stosuje się to do reszty Galicji, pewien objaw, napozór drobny, będący jednak w pewnym związku z zarzucaną galicjanom uniżonością wobec władzy. Oto pamiętam dobrze, że w Warszawie młodzież zawsze, nawet gdy już była na stanowiskach, witała z czcią swoich dawnych nauczycieli gimnazjalnych i profesorów uniwersyteckich. We Lwowie zaś zauważyłem, że bardzo często uczeń kłania się swym profesorom dopóki jest słuchaczem lub rygorozantem, mającym jeszcze zdawać przed nimi jakieś egzaminy; gdy już posiędzie odnośny tytuł, nie zna ich więcej, nie kłania się demonstracyjnie, bo ich już nie potrzebuje. Nieraz, gdy taki „pan doktor“ przechodził obok mnie lub kolegów mo-

ich, nie zdejmując kapelusza, doznawałem przykrego uczucia ze względu na jego osobę, gdyż dawał świadectwo upośledzenia moralnego. W Królestwie objawy takie są o wiele rzadsze.

Bardzo sympatycznym w Galicji jest to, że wiele osób bogatych, nawet możnych, z najpierwszych pochodzących rodzin, garnie się do pracy, nieraz bardzo uciążliwej i trudnej, przyczem niewątpliwie jedyną do tego pobudką jest pragnienie czynnego udziału w ogólnej pracy narodowej i społecznej, czy to na polu administracji, czy sądownictwa lub szkolnictwa. W Królestwie, sędzę, jest o wiele więcej młodych ludzi bogatych, pochodzących z rodzin magnackich wpływowych, którzy żadnej pracy się nie imają, hulają i próżnują. W Galicji z przyjemnością zobaczyłem, że bardzo często synowie z takich właśnie rodzin polskich pracują na różnych stanowiskach, w namiestnictwie, starostwie, wydziale krajowym, pracują nieraz bardzo ciężko spełniając obowiązki obywatelskie. Tutaj w ogóle każdy coś robi i pracuje przy ogólnej machinie państwowej i autonomicznej. Oczywiście, że i ta różnica pomiędzy Galicją a Królestwem zależy od różnicy położenia politycznego. Wobec świtającej nam jutrzeńki swobodnego rozwoju różnica ta niewątpliwie szybko się zatrze...

O innych jeszcze wrażeniach i uwagach, jakie nasunęły mi się po przybyciu do Galicji będę miał sposobność niejedno jeszcze powiedzieć w dalszym ciągu niniejszych wspomnień.

Katedra w Akademii Weterynarii — Pobyt w Berlinie — Mianowanie członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie

W r. 1894 nieżyjący już obecnie znakomity anatom Henryk Kadaj, który był profesorem w szkole Weterynarii (późniejsza Akademia) i docentem Uniwersytetu, przeniósł się, jako profesor zwyczajny na katedrę anatomji człowieka w uniwersytecie lwowskim. Zawakowała tedy po nim katedra zwyczajna anatomji zwierząt domowych w szkole weterynarii. Rok zaś przed tem Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego zwrócił się do Min. Oświaty z wnio-

skiem, aby utworzyć katedrę nadzwyczajną anatomji porównawczej i mnie ją powierzyć, ministerstwo jednak zwlekało z tem ze względów finansowych. Gdy za tem zawakowała owa katedra weterynarji, prof. Radziszewski, będący także docentem chemji w tej szkole, a bardzo mi życzliwy, zaproponował ówczesnemu jej dyrektorowi, oraz gronu profesorów, ażeby mnie na tę katedrę powołać, co też przez nich nader przychylnie zostało przyjęte. Z propozycją tą przyszedł do mnie sam prof. Radziszewski. Żywo mam w pamięci chwilę, gdy ten znakomity uczony i czcigodny obywatel zjawił się przed wieczorem u mnie w mieszkaniu i wyłuszczył rzecz całą, mówiąc, że chodzi mu nie tylko o dobro szkoły lecz także o to, by dać mi możność spokojnej pracy naukowej, sądził bowiem — jak się okazało zupełnie trafnie — że ministerstwo nie rychło zdecyduje się na utworzenie katedry anatomji porównawczej na uniwersytecie. Propozycja ta spadła na mnie tak nagle, iż poprosiłem o kilka dni do namysłu. Widoki materialne były względnie bardzo dobre; zostać odrazu, w wieku stosunkowo młodym, profesorem zwyczajnym z płacą i rangą takiegoż profesora uniwersytetu, mieć zapewniony byt i możność oddania się pracy naukowej — to też były warunki bardzo dla mnie pomysłne. Lecz z drugiej strony nie wiedziałem, czy zdołam sprostać odnośnym obowiązkom. Dotychczas bowiem nie pracowałem specjalnie nad anatomją większych zwierząt domowych, pewne działy tej trudnej i obszernej nauki były mi praktycznie mało znane, a tu chodziło przecież nie tylko o same wykłady teoretyczne, lecz także o zajęcia praktyczne w prosektorjum. Po drugie obawiałem się, że wykłady anatomji opisowej i prowadzenia prosektorjum pochłona mi tyle czasu, że mi go nie stanie na pracę badawczo naukową. Zrazu tedy oświadczyłem, że owej zaszczytnej propozycji przyjąć nie mogę. Żona moja, wierna towarzyszka życia, podtrzymywała mnie w tem, rozumiejąc dobrze moje skrupuły i wiedząc dobrze, że możność oddawania się ukochanej nauce stawiam ponad byt materialny. Lecz prof. Radziszewski nie dał za wygraną i wraz z dyrektorem szkoły weterynarji namawiali mnie gorąco do przyjęcia ofiarowywanej mi katedry. Co do skrupułów moich, to odnośnie do pierwszego obiecywali wystarać się dla mnie, przed

objęciem wykładów, o urlop półroczny w celu wyjazdu za granicę i dopełnienia tam pewnych braków; co zaś do drugiego, to zapewniali mnie — jak się pokazało słusznie — że przez bliższe zetknięcie z anatomją zwierząt domowych znajdę wiele nowych tematów do pracy naukowej i rozszerzę zakres swych badań. Argumenty te, oraz rady przezacnych przyjaciół, prof. D y b o w s k i e g o i P a w ł o w s k i e g o skłoniły mnie do przyjęcia katedry w szkole weterynarii. Niebawem też najwyższem postanowieniem z dnia 26 listopada 1894 zostałem zamianowany zwyczajnym profesorem anatomji opisowej i histologii zwierząt domowych w tej szkole, z prawomocnością od 1-go marca 1895 r. Jednocześnie otrzymałem urlop od 1-go Września 1894 r. do końca Lutego 1895 oraz odpowiedni zasiłek pieniężny na wyjazd za granicę, poczem wyjechałem do Berlina w celu dopełnienia tam studjów nad anatomją zwierząt domowych.

Berlin, w którym spędziłem całe niemal półrocze, pozostawił w pamięci mej nader miłe wspomnienia z tego względu, że do studjów poważnych nadaje się znakomicie. W kilka dni po przybyciu do tego miasta poszedłem do tamtejszego, znanego profesora anatomji zwierząt domowych w Wyższej Szkole weterynarii, sędziwego Müllera i opowiedziałem o celu mego przybycia. Przyjął mnie bardzo życzliwie, obiecał wyuczyć wszystkich swoich anatomicznych wskazań (Winke) i słowa dotrzymał. Nie mógł mi się lepiej przysłużyć ponad to, że zrobił mnie poniekąd swoim prosektorem, tak, że na każdy wykład musiałem mu osobiście przygotować preparat do demonstracji. Poprzedniego dnia wypisywał mi na kartce, o czem będzie mowa na wykładzie, jakie mięśnie, ścięgna, nerwy, naczynia lub trzewia będzie opisywał i w jaki sposób pragnie mieć przygotowany preparat. Jeszcze na ulicach paliły się latarnie, gdy ja wczesnym rankiem dążyłem do prosektorjum instytutu anatomicznego na Luisenstrasse, by mieć dość czasu na sporządzenie preparatu. Odnosiłem z tego korzyść ogromną, a gdy jeszcze następnie asystowałem profesorowi podczas wykładu, nadto po skończonej lekcji demonstrowałem licznym słuchaczom różne trudniejsze rzeczy, nabierałem znakomitego przygotowania do przyszłych własnych wykładów. Prócz tego uczęszczałem także na wykłady słynnych biologów O. Hertwiga, Wal-

deyera, Eilharda Schultzego, korzystając wiele pod względem metodyki wykładów. Osobiste poznanie się z tymi profesorami, zwłaszcza z Oskarem Hertwigiem, częste rozmowy z nimi podczas odwiedzin w pracowniach dały mi wiele chwil przyjemnych. Nie mogę pominąć tu kilku uwag nad stosunkiem uczonych niemieckich do obcokrajowców, przybywających na studia naukowe do ich pracowni, a mam tu na myśli badania samodzielne, a nie zajęcia studenckie w laboratorjach. Otóż często słyszymy zdanie, że Niemcy są gburowaci, obcesowi, zwłaszcza Prusacy. Być może, że w stosunkach handlowych są takimi, ale tych nie prowadzę, nie mogę przeto nic o ten powiedzieć. Co się jednak tyczy moich stosunków z uczonymi niemieckimi, to byli oni dla mnie zawsze bardzo delikatni i starali się usłużyć pod każdym względem, a to samo słyszałem od wielu moich kolegów w nauce. Nader wysokie poczucie obowiązku u profesorów niemieckich, jako uczonych i badaczy, a nadto szczery zapał do nauki sprawiają, że każdy obcokrajowiec, przyjeżdżający po naukę do nich, doznaje życzliwego przyjęcia i odnosi rzetelną korzyść, czego niestety nie mogę powiedzieć o uczonych francuskich, których też miałem sposobność bliżej poznać. Naturalnie że tu i tam są wyjątki.

Po powrocie w marcu 1895 do Lwowa rozpocząłem wykłady w szkole weterynaryj, gdzie pracowałem jako profesor lat dziesięć (do 1905 r.) Na ogół trudny to był dla mnie okres w życiu z kilku powodów. Mianowicie, prócz wykładów w tej szkole, oraz zajęć w prosektorjum, prowadziłem równocześnie instytut anatomji porównawczej w uniwersytecie i wykładałem tutaj kilka godzin na tydzień anatomję porównawczą i embriologję, czyli że miałem podwójne obowiązki nauczycielskie. A przyzwyczajony do intensywnej pracy i do ekonomicznego obchodzenia się z czasem, miałem jeszcze nieco chwil wolnych do pracy naukowej własnej i do kierowania pracą licznych uczniów moich w uniwersytecie i szkole weterynaryj. Lecz warunki, w jakich w tej ostatniej pracowałem, właściwiej mówiąc prosektorjum, gdzie spędzałem po kilka godzin dziennie, były po prostu okropne i niestety do dnia dzisiejszego (1915) pozostaje w tym stanie, urągającym wszelkim wymaganiom, bo-
daj najskromniejszym, nauki i higieny oraz w wysokim sto-

pnium utrudniającym profesorowi zajęcia praktyczne ze słuchaczami.

Pomijając jednak to prosektorjum, dziesięcioletnia moja praca w szkole weterynaryj, która później została przekształcona w Akademię, pozostawiła mi jaknajmilsze wspomnienia. Miałem tu pracownię (zdala od prosektorjum), obok której mieściło się bogate muzeum anatomiczne, stworzone przeważnie pracowitą i iście artystyczną dłońią mojego poprzednika prof. Kadyi'ego. Stosunki moje z kolegami były jaknajlepsze, zwłaszcza z rektorem, prof. Józefem Szpilmanem, a i młodzież też była wielce sympatyczna. Wśród tej ostatniej, przeważnie pilnej, obowiązkowej i inteligentnej, było też wielu obdarzonych szczególnem zamiłowaniem do nauki, byli pomiędzy nimi Czesi, Bułgarzy, Kroaci, Serbowie, którzy z dwóch tylko zakładów weterynaryjnych w całej Austrii chętnie przekładali lwowski, jako słowiański, nad wiedeński — niemiecki. Najwięcej zadowolenia dawały mi wykłady anatomji, którą w krótkim czasie zdołałem sobie dobrze przyswoić. Anatomja zwierząt domowych jest to właściwie bardzo szczegółowa anatomja konia, jako typu, z uwzględnieniem różnic, zachodzących u innych zwierząt domowych ssących i ptaków, jest to więc w znacznej mierze anatomja porównawcza najwyższych kręgowców, oparta na szczegółowej anatomji jednego prototypu.

Otóż w uniwersyteckich wykładach zoologii lub anatomji porównawczej niema nigdy sposobności do zgłębienia anatomji jednego zwierzęcia, jako prototypu i porównania jej następnie z innymi formami, metodę zaś taką mogłem doskonale stosować w wykładach swych w Akademji weterynaryj. Jest ona korzystna dla wykładającego i dla uczniów podobnie, jak na medycynie zgłębienie anatomji człowieka. Konieczność szczegółowego opisanja każdej kości, wyrostka, stawu, każdego mięśnia, naczynia, nerwu, z dokładnem określeniem początku i ułatwia znakomicie metodę porównawczą, tak piękną i pouczającą samą w sobie, tak niezmiernie korzystną dla uczniów. Przez taki sposób wykładania nabierają oni właściwego pojęcia o tem, że ustrój człowieka, konia, psa i t. d. to wcielenie tego samego mniej więcej planu budowy, że podstawą jest tu wszędzie ta sama zasada anatomiczna, a wszelkie modyfikacje wynikają ze specjalnych

przystosowań danych organizmów do pewnych swoistych czynności, że np. cała różnica w umięsieniu ręki człowieka, nogi przedniej konia lub psa, to tylko skutki zaniku lub modyfikacji pewnych palców w związku z różnicami w czynnościach tych kończyn. Wykładałem tedy anatomję zwierząt domowych z wielkiem zadowoleniem, sam wiele korzystając, tak że w późniejszych moich wykładach uniwersyteckich wprowadziłem dużo ważnych ulepszeń na podstawie nabytego w Akademji weterynarji doświadczenia. Powiem nawet, że uważałbym za bardzo pożądane, aby każdy uniwersytecki profesor zoologii lub anatomji porównawczej przeszedł szkołę anatomiczno-opisową, bądź przez wykładanie anatomji ciała ludzkiego, bądź — co w danym razie jest o wiele korzystniejsze — anatomji opisowej zwierząt domowych wraz z całą techniką preparacyjno-prosektoryjną.

Praca nad anatomją najwyższych kręgowców przyczyniła się także do tego, że znacznie rozszerzyłem zakres własnych moich badań naukowych. Dzięki temu np. nasunął mi się nader wdzięczny temat do pracy nad anatomją porównawczą pewnych utworów szkieletowych w języku ssaków, czego wynikiem był szereg prac moich oraz prac uczniów moich (Markowskiego, Tokarskiego) nad tym przedmiotem, prac, które utorowały nowe drogi badań na tem nietkniętem niemal dotąd polu. Prace nad embriologją ssaków oraz ptaków, zwłaszcza nad rozwojem pewnych narządów (np. przysadki mózgowej, podniebienia lub obojczyka) były również wynikiem zetknięcia się mego z anatomją zwierząt domowych.

Wspomniałem już wyżej, że jednocześnie z pracą w Akademji weterynarji, wykładałem anatomję porównawczą i kierowałem zakładem anatomji porównawczej w uniwersytecie lwowskim. Ze względu na ważność zajęć w weterynarji i konieczność częstszej obecności mojej tamże, przesiadywałem większą część dnia w jej instytucie anatomicznym, w uniwersytecie zaś bywałem tylko w pewnych godzinach. Dlatego też ci słuchacze uniwersytetu, którzy pracowali u mnie nad specjalnemi tematami, przenieśli się do mojej pracowni w weterynarji. I tak pracowali tutaj wraz ze mną: Witold Schreiber, późniejszy profesor gimnazjalny, a z kolei doktor medycyny i lekarz praktykujący; Szymon Sido-

riak, późniejszy profesor gimnazjalny; Jan Rakowski, późniejszy profesor gimnazjalny; Zygmunt Markowski, późniejszy lekarz weterynarii, doktor medycyny i z kolei profesor weterynarii, prócz tego kilkuletni mój asystent. Z młodymi tymi pracownikami podejmowałem wspólne badania naukowe i wspólne też z nimi ogłaszałem prace. Z Markowskim ogłosiłem szereg prac nad anatomją języka u człowieka i zwierząt ssących, z Schreiberem kilka prac z dziedziny embriologii i histologii stawonogów, mianowicie skorupiaków, z Rakowskim pracę z dziedziny anatomji robaków pierścienic, z Sidoriakiem szereg prac z dziedziny anatomji ryb oraz pracę nad regeneracją starszych embrjonów pstrągów, która miała szczególne powodzenie w nauce i była punktem wyjścia dla wielu innych badań w tym kierunku.

W uznaniu pracy mojej Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego zwrócił się do Ministerstwa we Wiedniu o udzielenie mi tytułu profesora zwyczajnego, który otrzymałem najwyższem postanowieniem z dnia 18 maja 1902 r. W roku zaś 1904 zostałem członkiem korespondentem Akademji Umiejętności w Krakowie.

Wyjazdy do Włoch i na Riwierę — Moje wywczasy letnie

Pomiędzy r. 1897 a 1909 bawiłem trzykrotnie przez czas dłuższy, dwa razy podczas feryj Bożego Narodzenia, raz jeden podczas feryj Wielkanocnych, w stacji biologicznej w Neapolu. Zawsze towarzyszył mi któryś z uczniów moich, mianowicie raz Witold Schreiber, raz Stanisław Czerski i raz Jan Grochmalicki. Przywoziliśmy zawsze stamtąd obfity materiał do badań naukowych. Wynikiem pierwszej podróży były między innymi prace moje nad rybą pasożytniczą *Fierasfer*; rezultatem drugiej — badania nad embriologją skorupiaków i układem nerwowym obwodowym tychże; wynikiem trzeciej — szereg prac nad regeneracją pierścienic.

Czy może być dla biologa większa rozkosz nad przebywanie w stacji neapolitańskiej, tym prawdziwym rajem dla badania zjawisk życiowych. Całe urządzenie tej słynnej in-

stytucji naukowej w sposób niezwykle ułatwia pracę badawczą. Biblioteka tamtejsza jest chyba najbogatszą w świecie księżnicą biologiczno-zoologiczną, a układ jej i katalogi pozwalają z wielką łatwością i w krótkim bardzo czasie zebrać bogatą literaturę, potrzebną do każdej kwestji naukowej. Co rano rybacy ze stacji i okolicy zwożą nader bogate łupy, poławiane w nurtach zatoki neapolitańskiej oraz dalszych, nieraz dość odległych okolic morza. A niezrównany znawca fauny morskiej, obecnie nieżyjący już, niezmiernie sympatyczny Dr. L o B i a n c o wybitny typ Sycylijczyka, o grubych, niemal murzyńskich rysach twarzy i ogorzałej cerze, w okamgnieniu rozpatrywał te łupy, rozpoznając od razu setki gatunków, tysiące larw oraz jaj zwierzęcych i rozsyłał je w odpowiednich naczyniach różnym pracownikom stacji, dodając do nich skreślone przez siebie na kartkach odnośne objaśnienia. Godną podziwu była pamięć tego człowieka, niemal żywa encyklopedia! Pamiętał zawsze kto z kilkudziesięciu pracowników stacji czego potrzebuje i jakiego pragnie materiału. Jak matka kochająca swe liczne dzieci, tak on troskliwie obdzielał codziennie tych pracowników łupami świeżo z morza przywożonemi, nieocenione przytem dając rady i wskazówki. Jednem słowem, L o B i a n c o był istną duszą stacji, a przytem kolegą prawdziwie dobrym i uczynnym. Jakże miłym był towarzyszem podczas wycieczek morskich! W wielkiej lasce, którą się podpierał, miał ukryty długie, wązkie kieliszki, pełen jakiegoś wspaniałego likieru, którym częstował uczestników wycieczki, bo to — jak mawiał — najlepszy środek przeciw chorobie morskiej, a nierazkto brał z sobą mandolinę i przygrywając sobie śpiewał swym charakterystycznym, jakby zdławionym głosem, rozmaite pieśni ludowe włoskie, wzruszając się przytem, jak młodzieniaszek. L o B i a n c o rozpoczął swą pracę w stacji, jako prosty chłopiec do grubszych posług, lecz tak znakomicie, jako samouk, wykształcił się w zoologii i tak zasłynął w nauce przez swą znajomość fauny morskiej i jej biologji, że później uniwersytet w Neapolu udzielił mu stopnia doktora h o n o r i s c a u s a.

A i inni, że tak powiem, urzędnicy naukowci stacji neapolitańskiej, mili byli i sympatyczni. Dyrektor jej i założyciel, sędziwy profesor A n t o n i D o h r n, ożeniony z Polką,

panną Baranowską z domu, której posag poszedł na pierwsze urządzenie stacji, jakaż to piękna była postać cielesna i duchowa. Starzec o wyniosłej postawie, z której biła energia czynu; umysł jasny, lotny, entuzjasta w każdej dobrej sprawie. Albo też stary prof. Paul Mayer, o łagodnej i milej twarzy siwizną okolonej, niski, ruchliwy, pełen życia i werwy, zawsze zaprzątnięty różnemi kwestjami naukowemi, przedewszystkiem związanych z techniką badań mikroskopowych — cóż to za sympatyczna była postać. Szczery i wyłany był też stary prof. Giesbrecht, znakomity karcynolog (karcynologia — nauka o skorupiakach), a już bardziej sztywny i zimny był prof. Eisig, zarządzający pracowniami stacji. A cała ta stara gwardja uczonych niezwykle miły stanowiła zespół. Jakież rozkoszne były nasze wycieczki po zatoce neapolitańskiej lub dokoła brzegów Posilippa, Ischji, Procidy i t. d., na białym parowczyku stacyjnym „Johannes Müller“, w towarzystwie tej starej gwardji. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy raz, wspinając się po przepaścistych skałach Ischii, stary Dorn, za którym rażno kroczyli sędziwy Mayer, Eisig i inni poważniejsi uczestnicy wycieczki, obrócił się ku nim i nawołując towarzyszy podniósł rękę w górę, zatoczył laską półkole i zawołał: „Die Jugend vorwärts“, nazywając ironicznie siebie i swych rówieśników młodzieżą. Istotnie byli to młodzieńcy, nie z wieku i wyglądu cielesnego, lecz z ducha, z owego idealnego i gorącego umiłowania wiedzy, która tak długo utrzymuje człowieka w młodości duchowej!

Każdorazowy pobyt w Neapolu zaliczałem do najmiłszych chwil w życiu mojem. Przepadam za pięknem przyrody, kocham słońce, morze, miłuję się w jaskrawych barwach, w subtelnym różnicach tonów świetlnych, lubię wreszcie niepowszedniość, oryginalność — a to wszystko znajdowałem zawsze w uroczym Neapolu. Ileż to razy, z nieustannem wzruszeniem przypatrywałem się szafirowej toni zatoki, imponującemu, dymiącemu Wezuwuszowi, amfiteatralnie wznoszącemu się miastu z malowniczym Castello St. Elma u szczytu, wzgórzom Posilippa na zachodzie i ginącej we mgle sylwetce Capri w sienie doli zatoki! A gdy przed słońcem zachodem ciepłe, różowe tony, w których tak często purpurą jaśniały stoki Wezuwjusza, przedziwnie ła-

godnie mieszały się z fioletami morskiej dali, po szerokiej zaś drodze między Parco Nazionale a morzem, w tych dziwnych blaskach konającego dnia sunęły setki oryginalnych pojazdów, odbywających swe zwykłe barwne „corso“ przedwieczne, wpatrywałem się z lubością nienasyconą w ten obraz ruchu i życia, pełen zarazem najsubtelniejszych splotów barw i tonów! Albo z łodzi żaglowej sunącej wzdłuż brzegów zatoki, z jakąż rozkoszą patrzałem na mknące zdala, jak w kalejdoskopie, różnobarwne, malownicze wille Posilippa, na piętrzące się na skałach wśród bujnej zieleni agaw, palm, cyprysów i pinjol, na tajemnicze swą czernią, wyłobione pieczary w tufowych skałach Gajali lub na urwiste i potężne złomy kamienne nad wyraz malowniczej wysepki Nisida. Za chwilę płynęliśmy już w zatoce Puzzuoli, z kądem widać zdala dumny przylądek Miseno, wyspę Procidę oraz kąpiące się w promieniach słońca sine, skaliste brzegi Ischii... Jeszcze dalej dostrzegaliśmy już wybrzeża Baję, słynnego miejsca kąpielowego starożytnych Rzymian z ciekawymi ruinami świątyń Wenery, Diany i Merkurego — pełne niegdyś życia i gwaru, tryskające wesołością, bogate miasteczko, starożytne za czasów rozkwitu Partenopy, dziś tylko wieś ubogą stanowiące. Albo ileż wspomnień rozkosznych mam z pieszych wycieczek ku klasztorowi Kamedułów (Comaldoli), tej perły Neapolu ze względu na widok przepyszny, jaki z ogrodu tamtejszego roztacza się na miasto, na całą zatokę i okolice. Kto bawi w Neapolu, powinien koniecznie zwiedzić Comaldoli, gdyż z kamiennej starej ławy w kącie ogrodu klasztornego widać jeden z najoryginalniejszych i najwspanialszych krajobrazów, którego uroku nie zapomina się przez całe życie. Do samego klasztoru nie wolno wchodzić obcym, przypadkowo jednak dowiedzieliśmy się, że wśród Kamedułów był wówczas jeden zakonnik, Polak, z Warszawy. Zadzwoniwszy tedy do furty klasztornej, zapytaliśmy starego dziadka, czy możemy się zobaczyć z naszym ziomkiem, na co odpowiedziano nam, że tylko przeor może na to pozwolić! Był to piękny starzec, wysokiego wzrostu, o długiej kruczej brodzie, estetycznie odbijającej od tła białego habitu. Pozwolił nam wejść do klasztoru i zaprowadził do celi ziomka naszego, który przyjął nas bardzo serdecznie. Później jeszcze kilkakrotnie odwiedziłem

go i za każdym razem odczuwałem czar wiejący z tego otoczenia, dziwnie uspakajająco działający na mą duszę — to ciche życie odcięte od zgiełku świata, z piękną dokoła przyrodą i czarującymi widokami!

Albo przechadzki w dzień słoneczny po wązkich uliczkach starych części miasta, z przepyszną pstrokacizną barw i blasków, z bielizną osuszaną podmuchami wiatru i rozwieszoną na sznurach w poprzek ulic, z ową całą gamą oryginalności ludu neapolitańskiego, zawsze pełnego humoru i temperamentu niezrównanego z jego krzykiem i nawoływaniem, przerywanemi rykiem osłów, ciągnących małe wózki pełne jarzyn, owoców lub kwiatów! Ach jakżeż to wszystko żywo stoi mi w pamięci!

Bywają chwile w życiu człowieka szczególnie silnie wdrożone w pamięć, do których często lubimy we wspomnieniach powracać. Otóż wiele takich chwil, z największą lubością wspominanych, mam z czasów neapolitańskich. Oto np. jedna z nich. Było to podczas wiosny w r. 1909, w Niedzielę przed wieczorem, w czas bajecznie piękny i pogodny. Pracowałem w laboratorium stacji przy otwartych oknach. Bardzo interesująca praca naukowa i nader ciekawe jej wyniki przyjemnie podniecały; przez otwarte okno spoglądałem od czasu do czasu na uroczy zachód słońca w zatoce oraz na przepyszny zespół namiętnie gorącej złocistej purpury z chłodem fioleatów dali morskiej, do uszu zaś moich dochodziły dźwięki muzyki wagnerowskiej, wspaniałego Lohengrina, doskonale granego przez orkiestrę w Parco Nazionale, tuż obok budynku stacyjnego. Czyż można sobie wyobrazić lepszą siostrę duchową!

Bawiąc w r. 1909 w miesiącach Marcu i Kwietniu, w Neapolu, udałem się podczas świąt Wielkiejnocy na kilka dni do Sorrento i na Capri. Cała ta wycieczka pozostawiła mi niezatarte wspomnienia, podobnie, jak i kilkakrotne wycieczki moje do Pompei. Zwłaszcza Capri! Radzę każdemu, kogo tylko stać na odbycie podróży do Włoch południowych, aby nie pomijał tego rajskiego zakątka ziemi, obranego niegdyś — niedziwota — przez potężnego Tyberjusza za siedzibę, wspaniałą rezydencję wzniesioną na skałach, której ruiny do dziś dnia imponują swym ogromem i cudownym położeniem. Na całej tej wyspie, niby marzeniu sennem, na

każdym kroku kojarzą się widoki potężne a groźne z dziwnie łagodnymi i kojącymi, stanowią przedziwny urok Capri.

Roślinna szata wyspy jest zupełnie południowa. Sine i czerwone jej skały pokryte są ziołami o balsamicznej woni: mirty, rozmaryny, ruty i inne podobne rośliny prześcigają się w balsamie wytwarzanych przez się woni; jeżyny i bluszcze oplatają urwiste skały, złocisto-żółte bukiety janowców i białe kwiecica kapparów (*Capparis spinosa*) o długich liliowych pręcikach zwieszają się wszędzie obficie ze ścian skalnych, drzewa oliwne i migdałowe, winograpy, cyprysy, pomarańcze i cytryny, a nadewszystko pokraczne afrykańskie formy kaktusów, wychylających się z przepaścistych szczelin skalnych — zdobią wszędzie surowe, kamienne zbocza wyspy. Charakterystyczną i piękną ozdobą tutejszych domków stanowią tak zw. pergole czyli długi aż do bramy domku wiodący podwójny szereg słupów murowanych i na biało potynkowanych, na których rozpostarty jest dach, utworzony z żywych gałęzi winogrodu, oplatający także same słupy; zdaleka wygląda to, jak arkady jakiejś świątyni i żywo przypomina domki pompejańskie. Te pergole nadają jakiś antyczny, uroczysty, pełen wdzięku charakter najbiedniejszym nawet domowstwom ludu tutejszego. Znajdujemy je w miasteczku Capri, jakoteż i w drugiej, wysoko położonej miejscowości Anacapri.

Wielka to rozkosz wziąć barkę i objechać dokoła całą wyspę, co można zrobić w trzy godziny. Tak wielką różnorodność przedstawiają w różnych miejscach brzegi tej wyspy, tak pociągające są liczne jej grotty, do których po drodze barką wjechać można i podziwiać prześliczne, słynne ich barwy, że przejażdżka taka stanowi przyjemność niesłychaną dla każdego miłośnika przyrody oraz barw i kształtów pięknych. Zwłaszcza grotty, w które tak obfitują brzegi wyspy, są cudne. Zwykle wychwala się tylko tak zw. grotę niebieską (*grotta azurra*) na wyspie Capri, w której istotnie panuje precudne światło niebieskie, gdyż te tylko promienie przenikają przez wodę, stanowiącą dno grotty, światło zaś zewnątrz wpada jedynie przez wązki otwór, przez który zaledwie mała łódź przecisnąć się zdoła. Woda w grotcie tej za najmniejszym poruszeniem jej wydaje srebrnoogniste blaski, a gdy ciało ludzkie w niej się zanurzy, zdaje

się, jak gdyby płonęło lubieżnie fosforycznymi barwami. W tej dziwnej grocie zapewne używał kąpieli Tyberjusz. Lecz nie mniej piękną jest grotta zielona (grotta verde), gdzie wszystko mieni się precudnymi barwy seledynowozielonemi, albo też grotta czerwona (grotta rossa), gdzie czerwone skały nadają morzu bajeczny odcień różowy. Według mnie, nie osławiona grotta niebieska, lecz raczej grotta zielona, gdzie modro zielone światła wody morskiej fosforyzują białawym ogniem i gdzie ściany posiadają wspaniale sklepioną architekturę, jest najbardziej uroczą na wyspie Capri. Objężdżając dokoła całą wyspę, spostrzega się także fantastyczne postaci skał, wśród których prym trzymają słynne Faraglioni, sterczące samotnie z morza, jakby olbrzymi łuk tryumfalny, pod którym przesuwa się barka.

Ku zachodowi i północy wznosi się na wyspie wysoki szczyt Monte Solaro, którego jedna ściana stromo i groźnie zapada w otchłań morską. Wycieczki na ten szczyt należą do najbardziej pociągających, albowiem widok z niego czarujący i niezapomniany: Ku południowi bezbrzeżna tafla błękitu morskiego, na zachód i północ wyspy Ponza, Ischia, Vivara i Procida, za któremi, jak we śnie zakłętym, wychylają się mgliste góry Gaety, Terraciny z przylądkiem Circe, góra Misena, u stóp której został ongi zamordowany potężny władca Capri, Tyberjusz, a jeszcze dalej brzegi Elizejskie, błękitne sylwetki Baj, Puzzuoli, Posilippo, szczyt Camaldoli, a jeszcze dalej, na prawo, prześliczna panorama Neapolu oraz długiego szeregu miasteczek aż do Torre del Greco, a tu już dymiący Wezuwjusz ponad Pompejami, poza nim ledwie dostrzegalne łańcuchy gór Sarna i Nocera; dalej ku wschodowi precudnie rzeźbione brzegi okolicy Sorrento, zatoki Amalfi i Salerno i wreszcie w sonej dali — mgliste góry Kalabrii. Nadto ze szczytu góry widać całą wyspę, jak na dłoni. Anacapri u stóp jej, miasteczko Capri ku wschodowi, również tryskające zielenią doliny. Dziwnie pełna uroków jest ta syrenia wyspa. Nawet zjawiska atmosferyczne bywają tu jakieś swoiste, oryginalne, których nigdzie nie wydywałem. Oto gdy staliśmy na szczycie Monte Solare i słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, a na niebie po przeciwniej stronie pojawiły się gęste, białe chmury — spostrześliśmy w tych chmurach olbrzymie, bardzo wyraźne ciemne

sylwetki poruszających się ludzi i niebawem poznaliśmy, że to nasze własne postacie tworzą te przedziwne cienie na chmurach. Ustawialiśmy się w różnych pozach; uklękliśmy np. z podniesionymi do góry prawicami, co utworzyło na chmurach wspaniały obraz — grupę olbrzymich postaci ludzkich, składających jakby przysięgę hen na niebiosach. Wydało się to nam czemś poprostu jakby nadprzyrodzonym.

Na przeciwległej stronie wyspy na wysokiem wzgórzu znajdują się po dziś dzień olbrzymie ruiny pałacu Tyberjusa. Wspaniałej „willi“ możnego władcy świata. Po ruinach można poznać, że była to budowa iście monumentalna. Przeniosłem się myślą ku tym odległym chwilom, kiedy to mury rozbrzmiewały dźwiękami lydyjskich fletów i perlistym śmiechem najpiękniejszych kobiet, wśród murów tych wspaniałych niegdyś komnat, kędy huczały gody życia i użycia, pasie się dziś bydło biednych wieśniaków, a jedyną ich ozdobę stanowią wijące się po nich bluszcze, róże, cenerarje i granaty. Pod wiatru podmuchem drżą na tych murach listki szlachetnego wina, potomka kapryjskiego Bachusa pod którego wpływem drżały niegdyś ciała Tyberjuszowych heter. Na samym szczycie tej góry wznosi się mała kaplica Santa Maria del Seccorso, którą od wielu lat zamieszkuje pustelnik, franciszkanin, pokraczny, brzydki i — co już nie licuje wcale z jego położeniem — bardzo łapczywy na grosz. Bezustannie maluje on w swej celi różne bohomazy i sprzedaje je zwiedzającym; każdego przybysza zagaduje. opowiada dziwy o szczątkach willi Tyberjuszowej, objaśnia rozległy widok rozciągający się ze szczytu i patrzy na ręce, chciwie biorąc z nich monetę. Dziwne myśli mną ogarnęły, gdym patrzył na tę kapliczkę, stojącą na ruinach Tyberjuszowej, jak samo chrześcijaństwo wzniesione na ruinach pogaństwa...

Powracając w r. 1909 z Neapolu do Lwowa, zboczyłem na Rivierę, by zwiedzić w Monaco tamtejszy Instytut Oceanograficzny oraz zapoznać się osobiście z asystentem tegoż, Mieczysławem Oxnerem z Warszawy, z którym później łączyły mnie ściśle stosunki naukowe. Przypadek pomógł mi do nawiązania bliższych stosunków z Instytutem oraz z wielkodusznym jego twórcą, księciem Albertem I, co miało wielką doniosłość dla moich późniejszych badań naukowych. A mianowicie, korespondując z Oxnerem w pewnej

sprawie naukowej, napisałem mu, że jadę do Neapolu w celu badania między innymi, zjawisk odradzania się czyli regeneracji u robaków wstęźnic (Nemerlini), od szeregu lat bowiem zajmowałem się badaniem tych zjawisk u niektórych zwierząt kręgowych (ryb) i bezkręgowych (pierścienic), ogłosiwszy szereg prac nad tym interesującym przedmiotem, w ostatnich czasach bardzo wiele opracowanym. Dr. Oxner odpisał mi, że właśnie posiada bardzo obfity materiał do regeneracji u wstęźnicy *Lineus*, zebrany po części w Roscoff, poczęści w Monaco, lecz że sam nie jest w możności opracowania tego materiału i zapytuje, czy nie zechciałbym z nim razem podjąć się tych badań. Chętnie zgodziłem się na to i właśnie wracając z Neapolu do domu wstąpiłem do Monaco po te materiały. Tu dodam, że nawiązanie stosunku z Oxnerem było mi bardzo na rękę, gdyż dla badań nad regeneracją zwierząt morskich, odbywającą się nieraz miesiącami, trzeba by bardzo długo przesiadywać w stacji biologicznej, na co ja znów czasu nie miałem. Spółka więc moja z nim była doskonałą symbiozą. Oxner, bawiąc stale nad morzem, zbierał materiał, operował i badał go o tyle, o ile można było zobaczyć na żywych okazach. Następnie utrzymywał i konserwował te materiały i mnie je posyłał w alkoholu. Ja z kolei zatapiałem je w parafinie, robiłem skrawki, barwiłem, badałem pod mikroskopem, wykonywałem rysunki i w ten sposób doprowadzałem do końca całą pracę. Między r. 1910—1915 ogłosiliśmy wspólnie kilkanaście rozpraw naukowych (w wydawnictwach Akademii Umiejętności w Krakowie, głównie zaś w „Archiv für Entwicklungsmechanik der Organismen“, w „Biolog, Centralblatt“, w „Zeitschrift für wissenschaftliche Zoologie“) z dziedziny nauki o regeneracji, mechaniki rozwojowej i embriologii. Niektóre z tych prac należą do przełomowych, np. ta, gdzie wykazaliśmy, iż u wstęźnicy *Lineus lacteus* z kawateczka przedniej części ciała, pozbawionego całego przewodu pokarmowego, może odrodzić się całkowity robak, przyczem ścianka nowego przewodu pokarmowego powstaje z komórek mięszu lub krwi, a więc z zupełnie innego materiału, niż w normalnym rozwoju embrjonalnym.

Do dziś dnia (piszę to w Styczniu 1916 r.) wykończamy z Dr. Oxnerem pewne wspólne prace naukowe. Lecz

nie tylko z tego względu znajomość z Instytutem Oceanograficznym w Monaco okazała się niezmiernie dla mnie pożyteczną w badaniach naukowych.

Jak wiadomo książę Albert urządza corocznie, na własnych yachtach, wyprawy naukowe, między innymi także w celu połowu zwierząt morskich, głównie form głębinowych, żyjących w otchłaniach, sięgających tysięcy metrów. Są to materiały niezmiernie rzadkie i wprost bezcenne. Gdy z wypraw słynnego okrętu „Challenger” nagromadzono materiał zwierząt głębinowych, najznakomitsi specjaliści wnet go rozebrali w celu opracowania naukowego. Gdy ze słynnej wyprawy niemieckiej na okręcie „Valdivia” zgromadzono podobnie materiał, wszystkie uniwersytety niemieckie rozebrały go do opracowania. Otóż z wypraw księcia Monaco również zebrano materiał niezmiernie obfity, zwłaszcza co do ryb głębinowych, które tak nadzwyczajnie są różnorodne i interesujące pod względem postaci i budowy wewnętrznej. Systematyką tych ryb zajęli się już wybitni specjaliści we Francji i Niemczech. Otóż ja, widząc to bogactwo zbiorów w Instytucie Oceanograficznym w Monaco, zapragnąłem zajęć się anatomo-porównawczem opracowaniem tych rzadkich i cennych materiałów. Lecz książę Monaco kocha poprostu te swoje zbiory i niełatwo decyduje się na wydawanie ich komuś do opracowania, o kim nie jest przekonany, że wykona rzecz należycie.

Gdy w marcu r. 1910 byłem w Monaco zaproszony na uroczyste otwarcie Muzeum Instytutu Oceanograficznego, miałem sposobność na przyjęciu dworskiem u księcia przedstawić mu swój plan pracy w odnośnym kierunku, w następnym zaś roku, gdym znów bawił w Instytucie w celach naukowych, zwróciłem się do księcia z prośbą, aby polecił wydać mi owe zbiory do opracowania; nadto prosiłem, ażeby nadal, podczas każdej wyprawy, na pokładzie yachtu utrwalano specjalnie dla mnie cenniejsze materiały ryb głębinowych dla celów badania mikroskopowego. Książę był skłonny powierzyć mi tę pracę, jakkolwiek i inni kandydaci ubiegali się o owe niezmiernie cenne materiały naukowe. Wreszcie na jednym z przyjęć u księcia, gdy po obiedzie wyszliśmy na czarną kawę, podaną na terasie cudownego ogrodu pałacowego, książę podszedł do mnie i oświadczył, że posta-

nowił poruczyć mi dane materiały do opracowania i że wydał już odpowiednie zarządzenia. Dr. Richard'owi dyrektorowi muzeum i współpracownikowi naukowemu księcia podczas jego wypraw oceanograficznych. Była to dla mnie olbrzymia wygrana. Od owej chwili do dnia dzisiejszego opracowuję te cudowne wprost materiały, ogłosiłem już szereg rozpraw o tym przedmiocie i wykończyłem dwa obszerne dzieła in folio, każde o 12 podwójnych tablicach rysunków. Druk jednego z nich już się rozpoczął, lecz z powodu wybuchu wojny utknął i dopiero po nastaniu upragnionego pokoju będzie doprowadzony do końca; druk drugiego rozpocznie się dopiero po wojnie. W pracach tych podałem olbrzymią ilość zupełnie nowych, a częstokroć całkiem niespodziewanych faktów, niezmiernie interesujących, które dowodzą, jak niezwykle swoistymi są liczne przystosowania organizacji ryb głębinowych do warunków, panujących w otchłaniach morskich!

Od czasu nawiązania ściślejszych stosunków z Instytutem Oceanograficznym w Monaco, częstym tam bywałem gościem, tem chętniej, że lubię niezmiernie ten cudny „côte d'azur“ Europy, to wybrzeże graniczące z wiecznie szafirowym morzem, obfitujące w precudne widoki górskie, umajone wieczną zielenią, kąpiące się w jasnych promieniach słońca, pełne woni i barw najpiękniejszych kwiatów, których przedziwny aromat czuć już z okna mknącego tuż nad morzem pociągu, np. w okolicy Mentony, to jasne, szczęśliwe wybrzeże, zasłonięte w dodatku olbrzymiemi garbami siwiejących zdalea Alp przed wichrami północy.

Gdy patrzałem przez okno biegnącego szybko pociągu, raz wraz wpadającego w tunel, jak w kalejdoskopie przesuwały się przedemną malownicze okolice Savony, Albengi, San Remo, Ospedaletti, Bordhigery z jej precudnymi ogrodami palmowemi, Mentony z jej puszystymi kobiercami kwiatów, Ventimiglii, Monte Carlo, Monaco, Beaulieu, Ville franche, Nicei i Cannes, a wszystko tonące w precudnej zieleni najróżnorodniejszych gatunków palm, kaktusów, agaw, juk, drzew granatowych, bananów, eukalyptusów, mirtów i wspaniałych bukietów różnego, przebarwnego, wonnego kwiecia.

Na tle tych prześlicznych krajobrazów przyrody, podmalowanem rdzawo siną barwą skał, głębokimi fioletami przepastnych wąwozów, mdlejącemi błękitami odległych pasm górskich, szafirami morza, zielenią gajów, bieleją liczne wille, hotele i pensjonaty, obfitujące w kamienne terasy, smukłe filary, ozdobne balkoniki, okolone pięknymi klombami i trawnikami. Na każdym kroku widać strojne, wytworne kobiety i eleganckich panów — słowem, istny raj na ziemi. A jednak ten elegancki świat ludzi smutne także budzi refleksje. Ileż tu cierpień nieuleczalnych, ileż żywotów suchotniczych u młodych osób. Zarówno w San Remo, jak w Mentonie i Nicei, spostrzega się mnóstwo osób, mieszkańców owych pięknych will, na bladych licach których aż nadto wyraźnie wypisany jest niedaleki ich smutny los. Ale obok nich, na całej Riwierze, przedewszystkiem zaś w Monte Carlo, napotyka się także mnóstwo mężczyzn i kobiet zdrowych, żadnych użycia, gorączkowo marzących o wygraniu złota w szulerni, poza tem snujących się bezcelowo tramwajami i automobilami; istne chore dusze, smutne dopełnienie tamtych chorych ciał. Ile razy jestem w Monaco, zawsze ze smutkiem i żalem spoglądam na te tłumy bogatych nędzarzy, którzy zjeżdżają ze wszystkich stron świata do tego cudnego zakątka, trawionych albo gorączką tuberkulozy, albo też nie mniej groźną gorączką szulerki i zmysłowego, za jakąbądź cenę, użycia.

Pobył w Monaco dawał mi zawsze bardzo wiele miłych wrażeń. Praca naukowa w laboratorium Instytutu Oceanograficznego, bogate i interesujące, a z przepychem królewskim urządzone jego muzeum, w którym zawsze wiele ciekawych znajdowałem rzeczy, precudne położenie miejscowości na potężnej masie skalnej, dokoła prawie oblewanej szafirem morza, ciche małe miasteczko Monaco o charakterze nieco włoskim, nader miłe przyjęcia u księcia Alberta i ujmująca postać tego monarchy-oceanografa, kapitańskich własnych jachtów z ogorzałą od słońca i wicherów morskich twarzą — oto warunki w jakich żyłem na Riwierze. Odbywałem też często wycieczki koleją zębatą do wysoko położonego miasteczka La Turbie, skąd puszczałem się dalej pieszo jedną z najwspanialszych dróg alpejskich „Route de la Corniche“, która biegnie na znacznej wyso-

kości i łączy Mentonę z Niceą. Z drogi tej raz wraz rozta-
czają się przepyszne widoki z jednej stony na wybrzeża
i rozległą taflę morską, z drugiej na siwiejące w oddali
łańcuchy Alp, o szczytach spowitych w białe całuny
śniegów.

Podczas podróży moich do Neapolu i Monaco zwiedza-
łem zwykle po drodze jakieś godne widzenia miasto i w ten
sposób poznałem Wenecję, Medjolan, Florencję i Rzym.
Zwiedzanie tych miast, a zwłaszcza oglądanie ich zabytków
architektonicznych oraz galeryj nęciło mnie zawsze w wy-
sokim stopniu, a piękno ich odczuwałem wszystkimi fi-
brami mej istoty. Wogóle wszelkie piękno, czy to przyrody,
czy sztuki, odczuwałem zawsze bardzo silnie i doznawałem
wobec niego potężnych wzruszeń. Nigdy nie zapomnę wra-
żeń, jakich doznałem na lagunach i kanałach Wenecji, gdy
unosila mnie na nich czarna, dziwnym jakimś spokojem
tchnąca gondola; nigdy nie zatra się w mej duszy silne wra-
żenia doznane w wiecznym mieście, z jego imponującą ba-
zyliką św. Piotra, Forum Romanum, amfiteatrem Flawjuszów,
przepięknym pałacem Borghese, którego ogród tak żywo
przypominał mi pewne Boecklinowskie krajobrazy, z kata-
kumbami, Via Appia, ruinami i ogrodami Palatynu i tyłu,
tyłu innymi, podziwu godnymi pamiątkami. Ale może nade-
wszystko pokochałem Florencję z jej dziwnie uroczem poło-
żeniem, z cudowną panoramą roztaczającą się z jej wzgórz,
z niesłychanem bogactwem jej galeryj. Czyż można dość
nasycić się widokiem takich monumentalnych budowli flo-
rentyńskich, jak Palazzo Vecchio, Palazzo degli Uffizzi, Palazzo
Strozzi, Loggia dei Lanzi, Palazzo Pitti i innych, przecudną
panoramą widzianą z mostów nad bystremi falami Arno,
lub rozległymi widokami na miasto i jego okolice z Viale
dei Colli? Gdy idąc tą ostatnią, doszedłem do placu Michała
Anioła, a później na wzgórze Monte alle Croci i rzuciłem
okiem na przepiękną panoramę, odslaniającą całe miasto,
i okalające je sine wzgórze, doznawałem ogromnej rozkoszy.
Mianowicie zdawało mi się przez chwilę, iż patrzę na pa-
noramę Lwowa z kopca Unji lubelskiej, tak podobną do
tamtej; złudzenie było tak wielkie, że w niektórych wieży-
cach kościołów oraz innych gmachów florentyńskich upa-
trywałem podobieństwo do sylwetek niektórych budowli

Lwowa. Istotnie panorama z Kopca należy do najpiękniejszych i może z tamtą rywalizować.

Galerje obrazów florenckie chyba nie mają sobie równych na świecie. Widziałem galerje w Dreźnie, Berlinie i Wiedniu, Paryżu, Wenecji, Rzymie, Medjolanie, ale czyż można je postawić w jednym rzędzie z Galleria Pitti, którą pod względem wartości artystycznej uważam za pierwszą w świecie. Być może, że się mylę, nie mam pretensji do jakiegoś szczególnego znawstwa w tej dziedzinie, lecz takie tylko odniosłem tam wrażenie. Galleria degli Uffizzi, Galleria antica e moderne dostarczyły mi również niezapomnianych nigdy wrażeń estetycznych bogactwem swych dzieł sztuki.

Nieraz zastanawiałem się nad tem, jakie też czynniki powodują, iż pewne dzieła dawnych mistrzów wywierają na nas niezwykle potężne wrażenie i wprawiają nas w stan pełen adoracji, inne zaś podobają nam się pod względem rysunku, barw, układu i treści, lecz takiego wrażenia nie wywierają. Otóż sądzę, że działają tu czynniki dwojakiego rodzaju: jedne, od których zależy nastrój, w jaki nas wprawia artysta, drugie, natury czysto estetycznej. Pewna np. postać ludzka namalowana na obrazie, może nawet być brzydka, może przedstawiać pewne zboczenia od przyjętych norm, byle niezbyt daleko idące, a jednak dany utwór sztuki działa na nas wysoce nastrojowo i wprawia nas w pewien szczególny stan, jak gdyby subtelne drgnienia duszy artysty, za pośrednictwem jego dzieła, udzieliły się duszy naszej. Na nasz zmysł estetyczny zaś działa śmiałość linii, piękno rysunku, zespół i harmonja barw. To wszystko razem składa się na siłę wrażenia, wywieranego na nas przez dane dzieło sztuki. Gdy więc ono jednocześnie wywołuje w nas jakiś silny nastrój i zadawalnia nasze uczucia estetyczne, wtedy wprawia nas w stan owej adoracji. Niekiedy, dla wywołania silniejszego nastroju, artysta poświęca samo piękno, przedstawiając np. brzydkie rysy twarzy, karnację ciała odstępującą od tego, co przywykliśmy uważać za piękne, a pomimo to dany utwór wprawia nas w zachwyty, właśnie z powodu siły wywołanego w nas nastroju.

Jednemu i drugiemu warunkowi odpowiadają w najwyższej mierze, według mego zdania, takie np. dzieła, jak śpiąca Wenus *Giorgione'a* w galerji drezdeńskiej, gdzie

niezwykła śmiałość i estetyka linii prawej ręki pod głowę podłożonej oraz wysuniętej nogi lewej, cudowne rysy twarzy, przedziwnie nastrojowy spokój całej postaci i bajeczna karnacja wywierają potężne wrażenie; dalej, np. Wenus i Amor Tycjana w galerji Uffizi, Madonna z Dzieciątkiem Jezus Carlo Dolci w galerji Pitti, Madonna ze szczygłem Rafaela w galerji Uffizi, o słodkiej pełnej wyrazu twarzy Dziewica Święta z różańcem Murilla w galerji Pitti, Leda Tintoretta w galerji Uffizi lub Sybilla Guida Reni w tejże galerji. W silny zaś, swoisty nastrój wprawiają takie np. dzieła sztuki, jak „un concerto“ Giorgione'a w galerji Pitti, na który spoglądając, słyszymy jakby wspomniały akord i odczuwamy wzruszenia malujące się na twarzach obu księży i towarzyszącej im kobiety, albo też „Zdjęcie z krzyża“ Fra Bartolomeo w galerji Pitti, z którego wieje ku nam bezbrzeżny ból i smutek.

Jednej atoli rzeczy nie umiem sobie wytłumaczyć. Dlaczego mianowicie niektórzy wielcy malarze nadają tak nieestetyczne rysy postaciom na 'swych obrazach, skoro ta nieestetyczność, powiem nawet brzydota nie przyczynia się wcale w danym razie do podniosłości nastroju, owszem, często go obniża. Porównajmy np. „Venera detta del Cagnolino“ Tycjana (galerja Uffizi) z Wenus Giorgione'a (galerja drezdeńska); co za estetyka w ruchu ręki prawej, w precyzyjnych rysach twarzy i całej głowy u Giorgione'a, a jakie nieestetyczne przegięcie głowy, za szerokie usta, za mały podbródek u Wenery Tycjana. Albo np. na słynnym obrazie Correggia „La Vergine che adora il divin figlio“ (galerja Uffizi) jak dziwnie brzydkie są rysy twarzy Madonny, o wypukłym czole i wystającym silnie, zbyt grubym podbródkiem; albo na obrazie „La Madonna del Granduca“ Rafaela (galerja Pitti) jak wysoce nieestetyczną jest przesadnie pyzata twarz Dzieciątka Jezus, a coż powiedzieć np. o „La Vergine che adora il divin figlio“ Fra Filippa Lippiego (galerja Uffizi) gdzie brzydko wystająca warga górna i ostre, bardzo przykre rysy twarzy Madonny, nieładna, zgaszona twarzyczka Dzieciątka Jezus i nieładna twarz podtrzymującego je aniołka, o spuchniętym nosku, za szerokich ustach i brzydko wyciętym podbródkiem, rażą niesłychanie nasz zmysł estetyczny!

Opisane wyżej podróże do Włoch lub na Riwierę, a także kilkakrotne wyjazdy do Stacji zoologicznej w Tryjeście; odbywałem zwykle na wiosnę albo też w czasie zimy lub jesieni. Lato zaś spędzałem zwykle na wsi lub w jakimś miejscu kąpielowem, gdzie przez kilka tygodni odpoczywałem, taki zaś odpoczynek letni był dla mnie konieczny, albowiem w końcu każdego roku szkolnego czułem się zawsze bardzo zmęczony pracą. Dzięki tym wywczasom letnim poznałem wiele miejscowości, a mianowicie w Królestwie Nałęczów, Ciechocinek, Ojców, Rudę żyrdowską i różne wsie w okolicach Warszawy; na Litwie — Druskieniki; w Galicji — Zakopane, Krynice, Szczawnicę, Rymanów; dalej Sopoty, Lovranę, Abazję, Salckamergut. Ostatnie kilka lat przed wybuchem wojny spędziłem w cudnych miejscowościach górskich, w Karpatach, w Zelemiance (Stryjskie) i Tartarowie lub Mikuliczynie (Stanisławowskie). Te wywczasy letnie nie były jednak zupełne, gdyż nigdy nie mogłem znieść całkowitej bezczynności, która męczyła mnie i rozstrajała. Wyjazdy moje na wakacje letnie miały na celu zmianę warunków i oderwanie od cięższych zajęć; prócz tego były niezbędne dla rodziny mojej, zwłaszcza dla synów. Dla mnie miały głównie to znaczenie, że samo przebywanie wśród pięknej przyrody górskiej lub nad brzegami morza kojąco bardzo działało na moje przepracowane nerwy i dodawało sił do nowej pracy. Nigdy jednak nie odpoczywałem bezwzględnie, albowiem książki moje popularne lub podręczniki pisałem przeważnie podczas ferji letnich, mając czas wolny od wykładów i zajęć laboratoryjnych. I rzecz dziwna, ta praca piśmiennicza, nieraz bardzo ciężka i wymagająca wielkiego wysiłku umysłowego, nie męczyła mnie, gdyż oddawałem się jej na wsi na łonie umiłowanej przyrody. Np. Zoologję dla młodzieży, wydaną przez Gebethnera i Wolffa w Warszawie, napisałem przeważnie w Dębiniu, w okolicy Skolego (Karpaty stryjskie), gdzie miałem cudne, zaciszne miejsce, stół z ławką pod cieniem rozłożystego, starego dębu, u stóp wielkiej góry Dobrzany, z widokiem na pasmo gór lesistych, leżących po drugiej stronie rzeki Oporu. Tam siadywałem po pięć, sześć godzin dziennie, pracując z rozkoszą wśród woni lasów szpilkowych, znajdując wytchnienie w pięknym widoku górskim i poszumie

wichrów halnych. W prześlicznej miejscowości Zelemiance, koło Hrebenowa, pracowałem na werandzie willi, którą zamieszkiwaliśmy, z cudownym widokiem na aksamitną, jasną zielen bujnej łąki oraz na półkole stromej, wysokiej ściany górskiej, zapadającej niemal pionowo ku szumiącemu u jej stóp Oporowi, latem w ciemno zielone, niemal czarne, strojnej bory, w jesieni przepięknie zdobnej w szkarłatne, bukiety kęp bukowych na tle ponurych świerków. Spędzając w Zelemiance kilka lat z rzędu ferje letnie, wykończyłem podręczniki zoologii na klasy niższe i wyższe, używane w szkołach galicyjskich, niektóre dzieła z serji „Wiedza i życie“ oraz „Embrjologię“ (dwa tomy). Z rozkoszą też pracowałem w prześlicznej Lovranie, koło Abazii, mieszkając w willi „Atlanta“, której cienisty ogród do samego dochodzi morza, gdzie znajduje się piękna terasa na skale, ocieniona ogromnym dębem, który w największe nawet upały daje cień przyjemny; tutaj spędzałem większą część dnia, pieszcząc oko rozległym widokiem na zatokę Quarnero, na sylwetkę odległej wyspy Cherso, mającące wybrzeża Fiume i panoramę ginących we mgle łańcuchów ponurego Karstu; tutaj napisałem książkę „Szlakami wiedzy“, która tak wielkie miała powodzenie. Miałem też romantyczne miejsca do pracy w Mikuliczynie, a zwłaszcza w Tartarowie (Karpaty stanisławowskie), gdzie z obszernej werandy willi roztaczał się bajeczny widok na szczyty Leśniowa, niezmiernie malownicze plamami swych bujnych połonin; tutaj wykończyłem znaczną część mojej „Idei ewolucji w biologji“ i inne książki.

Ile razy, wyjeżdżałem z rodziną na wakacje letnie, czas wolny od zajęć piśmienniczych lub wycieczek, poświęcałem zajęciu które bardzo lubię, stanowiącemu dla mnie pewien rodzaj sportu, a mianowicie malowaniu. Jako przyrodnika, zajmowały mnie zawsze bardzo żywo kształty i barwy w naturze i przelewanie ich na płótno sprawiało mi wielką przyjemność. W każdej miejscowości, gdzie bawiłem podczas lata, podpatrywałem pewne szczególne zakątki, interesujące oryginalnością linji lub barw, a więc jakiś zawrotny skręt rzeki lub drogi górskiej, szczególne ugrupowanie skał o błyszczących w słońcu różem lub błękitem powierzchniach, o ciemno fioletowych zagłębieniach, o kępach jasnej, żywej

zieleni mchów lub ciemnych plamach smereczyny, wychylających się z rozpadlin. Lubilem też bardzo widoki zachodzącego słońca, lubowałem się w purpurach, seledynach, opalach mieniących się na niebie, szczególnie zaś podobały mi się kombinacje groźnych, ciemnych nimbusowych chmur, pomiędzy którymi przezierały purpurowe blaski lub złociste plamy zachodzącego słońca. Z każdej niemal miejscowości, gdzie spędzałem lato, posiadam szkice olejne lub malowane temperą przeróżnych takich widoków przyrody, a niektóre z nich — tak mnie zapewniali znajomi malarze — nie są pozbawione wartości artystycznej. Czułem atoli, że brak mi techniki, nieraz głęboko odczuwałem pewną swoistą barwę lub linię, ale pomimo kilkakrotnych prób nie mogłem odtworzyć tego na płótnie. Przez czas krótki, będąc już profesorem we Lwowie, uczyłem się malarstwa u Winterowskiego i Harasimowicza, lecz nigdy nie miałem czasu na głębsze studia w tym kierunku, traktując malowanie tylko jako rozrywkę.

Wycieczki do Tryjestu

Już po przeniesieniu się do Lwowa wyjeżdżałem także jesienią lub na ferje wielkanocne do stacji biologicznej w Tryjeście, gdzie od r. 1913 byłem członkiem kuratorem, a więc z którą łączyły mnie bliższe stosunki. Najdłużej bawiłem tam na wiosnę r. 1899. Przywoziłem stamtąd obfity materiał zwierząt morskich do badań naukowych dla siebie i uczniów moich, a nadto sprowadzałem ztamtąd do Lwowa żywe okazy, które hodowałem w akwarjach z wodą morską, w swoim instytucie zoologicznym, robiąc na nich różne doświadczenia naukowe. Bardzo lubilem te wycieczki do Tryjestu. Już sama podróż, zwłaszcza nową koleją południową, sprawiała mi wiele przyjemności ze względu na przesłiczne krajobrazy, widziane z okien pociągu, śmiałymi zakrętami zdążającego szybko, poprzez liczne tunele, półtunele i wjadukty, coraz niżej i niżej ku pięknemu portowi tryjesteńskiemu.

Stacja biologiczna mieści się w budynku bardzo starym i stosunkowo ciasnym, nie można jej przeto nawet porównać np. z neapolitańską. Należy ona jednak do najstarszych

w świecie stacyj nadmorskich, w dziejach nauki odegrała rolę wybitną, gdyż wielu znakomitych uczonych, zwłaszcza dawniej odwiedzało ją i pracowali tutaj. Tę właśnie jej starość bardzo lubiłem, te stare mury, mieszczące w różnych czasach tyle znakomitości, były dla mnie nader sympatyczne. Kiedy po raz pierwszy, w rok po przeniesieniu się mojem do Lwowa, bawiłem w tej stacji, dyrektorem jej był zoolog niemiecki Graefe, właściwiej mówiąc, żona jego, baba, jak to mówią, kuta na cztery nogi. Wszystko drżało tam przed nią, a już najwięcej sam małżonek; we wszystkich salach i pracowniach suszyły się owoce pani dyrektorowej, stały jakieś garnki z konserwami, słowem wszędzie znać było jej rządy. Razu pewnego zamówiłem sobie u kilku rybaków tryjeścieńskich jaja ryb-żarłaczy; są to wielkie jaja w twardych, przyplaszczonych skorupach, których nitkowate wyrostki są przymocowane do wodorostów morskich. Po kilku dniach zjawił się rybak, wysoki, przystojny Włoch i przyniósł mi we wiaderku pewną ilość tych jaj. Pani dyrektorowa, która wtrącała się do wszystkiego, wychodzi i pyta rybaka, co niesie; Włoch tłumaczy jej, że jakiś „signore“ ze stacji zamówił te jaja; ona pyta, ile żąda za nie, pomimo, że to ją zupełnie nie powinno było obchodzić, gdyż miałem sam ponieść kosztą odnośne, a usłyszawszy cenę, która jej się wydała zbyt wysoką, uderzyła rybaka dwa razy w twarz, przy zamieszaniu zaś jakie się po tem zrobiło, jaja rozbiły się doszczętnie. Sprawa między głównymi jej bohaterami jakoś została załatwiona, lecz ja straciłem na niej bardzo cenny materiał do badań naukowych. Łatwo tedy zrozumieć, że warunki tych badań były wówczas trudne i nieodpowiednie. Wkrótce atoli pp. Graefowie opuścili stację i dyrektorem jej został Dr. Cori, profesor uniwersytetu w Pradze, człowiek nader sympatyczny, dzielny, rozległej wiedzy. Byłem z nim w serdecznych, przyjacielskich stosunkach. Ile razy bawiłem w Tryjeście, zachodziłem często do państwa Corich i miłe spędzałem tam chwile w towarzystwie ich obojga. Pod kierunkiem nowego dyrektora, naukowe znaczenie stacji podniosło się bardzo znacznie.

Sam Tryjest, jakkolwiek ładnie położony, nader mało-wniczo, amfiteatralnie zbudowany na stokach górskich w półkolu zatoki, nie bardzo mi się podobał, jako wielkie

portowo-handlowe miasto, pełen składów, olbrzymich magazynów i biur handlowych, zwłaszcza w swej dolnej części, leżącej bliżej morza. Niektóre jednak części miasta są bardzo interesujące. Przedewszystkiem sam port z wielkimi, pełnymi ruchu „molo“, zwłaszcza ze słynnym Molo S. Carlo i nowym, wspaniałym dworcem kolejowym; dalej piękny, nad morzem położony Piazza Grande, z prześlicznymi dokoła gmachami pałacu namiestnikowskiego, ratusza i pałacu Lloyd; wreszcie ruchliwy plac giełdy, ze starym budynkiem giełdowym w stylu doryckim i fasadą filarów oraz z olbrzymim gmachem nowej giełdy, tak zw. Tergesteum.

Nadto Tryjest posiada bardzo piękne okolice, do których urządziliśmy częste wycieczki morzem lub lądem. Jedną z nich prowadzi ku wysoko w górach położonej miejscowości Opčina, dokąd w półtora godzin pieszo lub też zębatą kolejką elektryczną albo koleją zwykłą dostać się można i gdzie z wieży obserwacyjnej na szczycie góry przeducudny roztacza się widok. Jest to jedna z najpiękniejszych panoram, zwłaszcza w dniu pogodnym, gdy powietrze jest bez mgły i wówczas widać całe miasto, zatokę tryjesteńską, szarosińską błękitną gór Istrii, zatokę Muggii, miasteczka nadbrzeżne Isola i Pirano, laguny Grado i wreszcie bezbrzeżną błękitną dal Adriatyku. O zachodzie słońca widok ten staje się szczególnie pięknym, gdyż subtelnie kraśniejące w jego promieniach szczyty górskie, ciemna tafla morza i zanurzająca się w nurty Adriatyku ognista kula słońca — tworzą bajeczny zespół, którego wprost zapomnieć nie można. Bardzo też miłe były nasze wycieczki morskie stacyjną barką motorową, w przyjemnym towarzystwie prof. Coriego i młodzieży; dalej wycieczki ku niezwykle malowniczo położonym miejscowościom: Miramare, Grignano, Grado albo też ku pobliskim miasteczkom u brzegów Istrii: Muggia, Capo d' Istria i Pirano, o niemal zupełnie już włoskim charakterze. W wielu starych zabytkach architektonicznych Capo d' Istria i Pirano widać bardzo ciekawe ślady renesansu włoskiego; np. w pierwszym pałacu weneckiego i Loggia. Tuż pod Capo d' Istria znajdują się interesujące saliny rządowe, gdzie wydobywają sól z wody morskiej. Na wielkich przestrzeniach wykopane tu są płytkie jakby sadzawki i rowy, oddzielone od siebie gro-

blami i wciąż napełnione wodą morską; z tej ostatniej, przez parowanie, coraz większe zagęszczenie i końcowe sztuczne warzenie otrzymuje się sól w stanie stałym. Otóż w tych niezwykle słonych sadzawkach żyje bardzo ciekawy skorupiak *Artemia salina*, który nieraz występuje w tak wielkiej ilości, że woda tych salin przybiera od niego czerwona barwę. Żadne inne zwierzę nie wytrzymałoby w tym zagęszczonym roztworze soli morskiej, ten zaś skorupiak żyje tylko w tem niezwykłym środowisku i rozmnaża się doskonale, jakkolwiek sztucznie udało się także przyzwyczaić go do wody słodkiej.

Pirano posiada też bardzo wiele uroku. Lubilem cichę, malowniczą przystań tego miasteczka; zachwyciałem się prześliznym pomnikiem muzyka Tartiniego, jednym z najpiękniejszych pomników, jakie widziałem wogóle, a już prawdziwą rozkosz znajdowałem na cmentarzyku wysoko położonym, skąd z jednego miejsca bogato ubranego w cyprysy rozciąga się bajeczny widok na błękitne morze i łańcuchy Alp w dali siniejące.

Owacja na Uniwersytecie — Praca społeczna — Przejście zupełne na Uniwersytet — Moi uczniowie

Od chwili przyjazdu mojego do Lwowa w r. 1892 do dnia dzisiejszego (1916) — a więc w ciągu lat 24 zetknąłem się, rzecz naturalna, we Lwowie z wielką ilością osób, kolegów zawodowych, przedstawicieli władz, osób czynnych na różnych polach działalności publicznej, a już najwięcej chyba z młodzieżą, bo nietylko przeszły przez moje ręce, że tak powiem, liczne rzesze słuchaczy i słuchaczek nauk przyrodniczych, ale także medycyny i weterynarii. Wielką też dla mnie przyjemnością stanowiło to, że do jakiegokolwiek miasteczka w Galicji przybywałem, spotykałem tam zawsze któregoś z uczniów moich, lekarza, nauczyciela szkół średnich lub weterynarza. Na ogół muszę powiedzieć, że od wszystkich prawie tych ludzi doznawałem zawsze wiele życzliwości i dowodów dużej sympatji i uznania. Raz tylko jeden potkało mnie coś przeciwnego, a na co, jak się okazało, bynajmniej nie zasłużyłem. Oto jakiś słusznie odrzucony od habilitacji na uniwersytecie z dziedziny zoologii,

postanowił zemścić się za to na ówczesnym profesorze tego przedmiotu, Benedyckie Dybowskiem oraz na mnie. Za pośrednictwem godnego siebie kolegi ogłosił w jakimś piśmie lwowskiem artykuł p. t. „Darwinizm na uniwersytecie lwowskim“, gdzie usiłował przekonać czytelników, że profesorowie Dybowski i Nusbaum, stojąc na gruncie teorii ewolucji szerzą bezbożność i dopuszczają się obrazy religii. To ostatnie było prostem kłamstwem i oszczerstwem, nie mającem najmniejszego uzasadnienia i dlatego też owa napaść boleśnie mnie dotknęła. Nie odpowiedziałem jednak nic, bo uważałem, że oszczercy, dopuszczają się niegodziwego kłamstwa, więcej obrażają religię, aniżeli ci, którzy wykładają podniosłą etycznie, piękną ideową teorię ciągłego doskonalenia się i coraz lepszego przystosowywania się organizmów do warunków otoczenia. Lecz szlachetna młodzież akademicka, odczuwając całą niesłusznosc tej napaści, nie dała za wygraną i jak jeden mąż wystąpiła w obronie swoich profesorów. Obrona ta opisana była w „Słowie Polskiem“ z dnia 25 stycznia 1899 r. i przytaczam ją tutaj dosłownie:

„O w a c j a n a U n i w e r s y t e c i e.“

Wczoraj wieczorem o godzinie 7-ej zapowiedziany był wykład prof. Nusbauma na uniwersytecie. Był to jednak wykład nadzwyczajny ze względu na rzeczywiście nadzwyczajną ilość zgromadzonych słuchaczy i słuchaczek, jako też ze względu na cel, który ich zgromadził,

„Z powodu krzywdy wyrządzonej rozmyślnie przez jedno z pism lwowskich profesorom Dybowskiemu i Nusbaumowi artykułem zarzucającym, że ci profesorowie szerzą wśród młodzieży darwinizm, osłabiając w niej uczucia religijne etc. etc. — młodzież postanowiła dać moralną satysfakcję swoim przewodnikom na polu nauki, przytem zaś zaznaczyć, że nie solidaryzuje się z tendencją artykułu i uznaje w swem sumieniu poczynione zarzuty za bezpodstawne, kłamliwe i oszczercze.“

„Pierwszą satysfakcją, daną obu profesorom, były uchwały akademickiego „Kółka przyrodników“, ogłoszone we wczorajszym popołudniowym numerze naszego pisma¹⁾.

¹⁾ Protest ten brzmiał (Słowo Polskie z dnia 24 stycznia 1899 r.): „W jednym z pism tutejszych pojawił się przed kilku dniami artykuł,

Przed przyjściem prof. Nusbauma zaroilo się wczoraj w sali wykładowej. Kilkuset słuchaczy i słuchaczek zapełniło salę. Gdy pojawił się prof. Nusbaum, powitano go długo niemilknącą salwą oklasków. Zabrał nareszcie głos imieniem „Akad. Kółka przyrodników“ akademik Bronisława Duchowicz i zaznaczył w swem przemówieniu, że w obec napaści jednego z pism, skierowanej przeciwko kochanym i cenionym profesorom, młodzież musi zająć pewne stanowisko. Odpowiadać na treść artykułu byłoby zbędne, zwłaszcza, że zawiera on nie tyle może złą wolę, ile niewiadość.“

„Zwrócony do wzruszonego profesora, zakończył temi słowy: Ty stoisz wyżej i nie możesz być obrażony. Dla nas jest zaszczytem, że pod Twoim pozostajemy kierunkiem, a chwila ta niech będzie dla Ciebie rękojmią, że młodzież umie kochać i cenić swoich profesorów“.

„Zgromadzeni salwą oklasków złączyli się z zapewnieniem swojego kolegi, poczem imieniem „Czytelnia akademickiej“ zabrał głos prezes jej, akademik Skalkowski. Przemówienie jego da się streścić w tych słowach: „Młodzież akademicka wyraża pogardę tym, którzy naukę chcą otoczyć jakąkolwiek cenzurą. Żyj nam Czcigodny Profesorze i pracuj nadal na chlubę polskiej nauki.“ Imieniem „Akad. Hromady“ przemówił w języku ruskim akademik Prymak: „W ostatnim stuleciu, dzięki genialnym ludziom, nauka i postęp stały się dla nas dewizą. Młodzież akademicka czuje w sobie odwagę do bronięcia ideałów, głoszonych przez

w którym autor, niejaki p. B. poruszył sprawę wykładania nauk przyrodniczych w uniwersytecie lwowskim i zarzucił między innymi, że profesorowie Dybowski i Nusbaum w wykładach swoich szerzą darwinizm, zabijając w młodzieży uczucia religijne etc. Z powodu tego artykułu zebrało się wczoraj akademickie kółko przyrodników na posiedzenie, na którym powzięto szereg uchwał, protestujących przeciwko twierdzeniu p. B., a mianowicie: „W zasadzie, młodzież akademicka uważa za niestosowne nawet odpowiadać na artykuł p. B., natomiast słuchacze nauk przyrodniczych zebrani na posiedzeniu akad. Kółka przyrodników dnia 22 b. m. powzięli jednomyślną uchwałę, ażeby wyrazić mu serdeczną gratulację z powodu, iż mu wreszcie nadarzyła się sposobność uwiecznienia swoich idjotycznych elukubracji, a razem wyrażają radość, że przyrodnicy, jak p. B. są „odosobnieni“, co zresztą Wny p. B. w swoim artykule sam zaznaczył. Uchwała ta została p. B. zakomunikowana w liście, podpisanym przez zarząd Kółka“.

wielkich mężów a prowadzących do poznania światła oraz prawdy i protestuje przeciwko hasłom, narzucanym jej przez niepowołane do tego żywioty i wkładane w usta profesorów, których oni nigdy nie wypowiedali. Przyjmij Czcigodny Profesorze zapewnienie — temi słowy kończył akademik Prymak przemówienie — że ziarno przez Ciebie rzucone pada na grunt zdrowy“.

„Imieniem słuchaczy medycyny akademik Kiela nowski w następujące przemówił słowa: „My słuchacze medycyny, którzy w znacznej części zawdzięczają Tobie, Czcigodny Profesorze, swoje przyrodnicze wykształcenie, protestujemy przeciwko stanowisku, jakie w ostatnim czasie zajęły pewne niepowołane czasopisma w sprawie wykładów na naszym uniwersytecie. Natomiast oświadczam, że znakomici kierownicy nasi, korzystając z przywileju uniwersyteckiej wolności nauczania, zaznajamiają nas z wynikami najnowszych badań w dziedzinie biologji, bez względu na granice, jakie stawiają poznaniu prawdy wrogowie prawdziwej oświaty“.

„Z tych też powodów wyrażamy Ci, Czcigodny Profesorze, naszą cześć za dotychczasowe przewodnictwo“.

„W imieniu słuchaczek uniwersytetu panna Zielińska przyłączyła się również do owacyj, czynionych przez młodzież szanownemu profesorowi i złożyła wyrazy czci dla jego obywatelskiej pracy około podniesienia poziomu wykształcenia“.

„Wzruszony do głębi dowodem złożonej czci przywiązania ze strony młodzieży, zabrał w końcu głos prof. Nussbaum. Raz jeszcze zaznaczył czem jest nauka i jak ją pojmować należy. Dążeniem jego było zawsze tylko przedstawiać w prawdziwym świetle wielkie zdobycze naukowe, a że nie dotykał przytem dogmatów religji, świadczą o tem najlepiej jego wykłady. Insynuacje pisma, które przeciwko niemu wystąpiło, są zupełnie bezpodstawne. Z naciskiem zaznaczył, że jedynym jego celem jest tylko wpajanie w słuchającą go młodzież zamiłowania do nauki, a dziś cieszy go to niewymownie, iż przez tę młodzież został należycie zrozumiany“.

„Po każdym przemówieniu odzywały się w sali rześiste oklaski, po przemówieniu zaś czcigodnego profesora burza ich długo echem rozlegała się śród murów uniwersytetu“.

Podobne owacje odbywały się w innej sali wykładowej na cześć profesora Dybowskiego.

Wspomniałem już wyżej, że warunki mojej pracy były ciężkie, dopóki byłem profesorem zwyczajnym anatomji w Akademji weterynarji i kierownikiem jej instytutu anatomicznego a jednocześnie docentem, od r. zaś 1902 tytułarnym (czyli nie pobierającym pensji) profesorem anatomji porównawczej i kierownikiem instytutu anatomo-porównawczego na uniwersytecie. Było to w istocie położenie trudne. Zdarza się bowiem często, iż ktoś jest profesorem w jednym z wyższych zakładów naukowych a docentem w innym, lecz wtedy profesura jest głównym zajęciem a docentura niejako tylko dodatkiem, nie przyczyniającym wiele pracy. Trudność zaś mego położenia polegała na tem, że w uniwersytecie miałem instytut, a co ważniejsze, licznych uczniów, oddanych czystej nauce, słowem miałem tutaj to, co nazywamy „szkołą“; w Akademji weterynarji zaś, jako wyłącznie prawie praktycznym, do którego uczęszcza młodzież, nie mogąca wiele oddawać się pracy badawczo-naukowej, nie miałem wprawdzie szerszego pola do tworzenia „szkoły“, lecz za to codzienny wykład i konieczność przygotowania w prosektorjum świeżych do niego preparatów pochłaniały mi ogromnie wiele czasu.

Kilkunastu młodych ludzi pracowało pod moim kierunkiem w instytucie anatomji porównawczej w uniwersytecie nad specjalnymi tematami naukowymi, które im dawałem i któremi, wobec braku asystenta, osobiście kierować musiałem. Pomiędzy r. 1892—1906, to jest do czasu, gdy zupełnie przenieśliem się na uniwersytet, objąwszy katedrę po prof. Dybowskim, następujący uczniowie uniwersyteccy wykonali i ogłosili pod moim kierunkiem prace naukowe: J. Rakowski, T. Prymak, W. Schreiber, S. Stecka, L. Bykowski, K. Reisowa, W. Kulczycki, St. Czerski, Jan Hirschler, J. Tokarski, J. Machowski i inni. Z drugiej strony kierowałem jednocześnie prosektorjum i pracami naukowymi w zakładzie anatomicznym na weterynarji, gdzie także kilku uczniów moich pracowało naukowo, np. Z. Markowski, A. Baczyński, L. Stachurski, S. Sidoriak. Nadto wykłady tu i tam, egzamina, posiedzenia obok osobistej pracy naukowej i piś-

mienniczej. Prócz tego miałem też i inne obowiązki do spełnienia. Mianowicie przez szereg lat pracowałem w Zarządzie Polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika, a przez dwa lata pełniłem obowiązki przewodniczącego tegoż Towarzystwa; wykładałem na „kursach dla kobiet“, istniejących we Lwowie przed dopuszczeniem ich na uniwersytet, w instytucji „Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich“, przyczem wykładałem nietylko we Lwowie, lecz miewałem także odczyty w wielu miastach prowincjonalnych: Stanisławowie, Stryju, Drohobyczu, Żółtkwi, Samborze, Złoczowie, Przemysłu.

Do zajęć podobnych, które zaliczam do kategorii zajęć społecznych, należała także praca w Towarzystwie Szkoły Ludowej; przez dwa lata mianowicie byłem kierownikiem szkoły dla dorosłych analfabetów we Lwowie, utrzymywanej przez T. S. L. im. Jeża, co mi też zabierało nieco czasu, gdyż należało często wizytować tę szkołę, kontrolować stan nauki, urządzać w niej obchody narodowe i uroczysty akt zakończenia roku szkolnego, w czym zresztą dopomagała mi żona moja, która była skarbniczką tej szkoły. Dalej wspólnie z żoną i jej przyjaciółką, p. Kamillą Chołoniewską, założyliśmy, jedno z najpierwszych, prywatne gimnazjum żeńskie we Lwowie, obecnie gimnazjum im. Słowackiego, które początkowo przedstawiało się ubożuchno, a później rozwinęło się w ogromny zakład o wielkiej bardzo liczbie uczenic. Ponieważ stan finansowy tej instytucji był z początku bardzo skromny, przeto chcąc jej dopomóc także materjalnie, uczyłem w niej bezinteresownie w ciągu dwóch lat historii naturalnej, żona zaś moja udzielała matematyki. Dalej za moją głównie inicjatywą powstał we Lwowie „Związek naukowo literacki“, do zarządu którego należałem przez szereg lat; miewałem tam często odczyty i pogadanki a około r. 1897, wspólnie z Janem Gwalbertem Pawlikowskim powzięliśmy myśl, ażeby „Związek“ ten zajął się wydawaniem szeregu dzieł popularno-naukowych z różnych dziedzin wiedzy. Księgarnia Altenberga podjęła się tego wydawnictwa i dotychczas wydała wiele cennych prac, objętych ogólną nazwą „Wiedza i życie“; przez długi szereg lat należałem do komitetu redakcyjnego tego

wydawnictwa. Miewałem też liczne odczyty na rozmaite cele oświatowe lub dobroczynne.

Wobec tylu różnorodnych zajęć, tem więcej! odczuwałem ciężar podwójnych obowiązków, jako profesor jednocześnie w dwóch wyższych zakładach naukowych. Nie dziw tedy, że gorąco pragnąłem przenieść się na stałe do jednego tylko z tych zakładów, by móc więcej skupić się w pracy badawczej i intensywniej wpływać na młodzież w kierunku zachęcania jej do tejsze pracy. Pragnienie to było tak silne, że postanowiłem wreszcie coś działać w tej sprawie. Nie mogło być mowy o tem, ażeby ministerstwo we Wiedniu zgodziło się na utworzenie odrazu zwyczajnej katedry anatomji porównawczej na uniwersytecie, którą mógłbym objąć; wprawdzie fakultet filozoficzny kilkakrotnie o to się ubiegał, lecz bezskutecznie. Postanowiłem przeto zadowolnić się mniejszą znacznie pensją i po porozumieniu z prof. Dybowskim oświadczyłem wydziałowi filozoficznemu uniwersytetu, że gotów jestem przejść zupełnie do tego ostatniego, jako profesor nadzwyczajny. Wydział przedstawił to ministerstwu, ale nie mogło ono pojąć, jak profesor w Vlej randze, którą miałem w Akademji weterynarji, może być zdegradowany do rangi VII-ej (profesor nadzwyczajny) i jak w ogóle urzędnik pobierający wyższą pensję może nagle zacząć pobierać pobory znacznie niższe. Zwlekano tedy z odpowiedzią, a ja musiałem dalej pełnić podwójne obowiązki proferorskie.

Uwzględniając to wszystko, łatwo zrozumieć, jak wiele mi zależało na tem, abym po mającem niebawem nastąpić opuszczeniu katedry przez prof. Dybowskiego, otrzymał tę katedrę. Było to niejako sine qua non dalszej mojej pracy naukowej. Miałem wszelką nadzieję pomyślnego dla mnie przebiegu tej sprawy, gdyż Wydział filozoficzny bardzo gorąco popierał moją kandydaturę i widocznie o nikim innym nie myślał, skoro w r. 1906 zostałem zamianowany zwyczajnym profesorem zoologii i anatomji porównawczej na wszechnicy lwowskiej po prof. Benedykcie Dybowskim.

Odtąd rozpoczęła się nowa dla mojej pracy naukowej i pedagogicznej era. W ciągu czasu od r. 1906 do chwili obecnej (1916) usilnie pracowałem naukowo, z tego okresu

datuje się niektóre najważniejsze prace moje z dziedziny nauki o regeneracji zwierząt, o embriologii owadów, histologii ryb, embriologii wstążnic, anatomji ryb głębinowych z wypraw księcia Monaco i t. d. Ogłosiłem przez ten czas około sześćdziesięciu rozpraw naukowych, w części sam, w części z uczniami moimi, a przez Instytut Zoologiczny przesunął się cały szereg wydoskonalonych, młodych pracowników, którzy pięknie zapisali się już w dziejach nauki, jakoto Wanda Białkowska, Cecylja Beigelówna, Rachela Blochówna, Benedykt Fuliński, Michał Giedroyć, Jan Golański, Jan Grochmalicki, Jan Hirschler, Antoni Jakubski, Jan Kinel, Zofja Kopystyńska, Zofja Kulikowska, Marja Marcinkiewicz, Zofja Małaczyńska, Irena Pogonowska, Stanisław Pietruski, Gustaw Poluszyński, Karolina Reisowa, Edward Schechtel, A. Trawiński, A. Tysowski, Helena Waniczkówna, Rudolf Weigl, Włodzimierz Wietrzykowski i inni. Ci wszyscy ogłosili cenne prace naukowe w języku polskim lub w obcych językach i zwrócili na siebie uwagę świata naukowego. Uczniowie moi, Hirschler, Weigla i Grochmalicki habilitowali się do nauk zoologicznych, jako docenci na uniwersytecie lwowskim, a Hirschler osiągnął już tytuł profesora nadzwyczajnego.

Objęcie katedry zoologii po Benedykcie Dybowskiem zawdzięczam w pewnej mierze serdecznym stosunkom, jakie mnie przez cały czas pobytu mego we Lwowie łączyły z tym Czcigodnym poprzednikiem moim. Czcilem w nim liczne piękne strony jego charakteru niezwykłego i niepospolitą miłość dla nauki. Taki stosunek, jaki istniał pomiędzy nami, zdarza się rzadko u specjalistów w jednej gałęzi wiedzy i profesorów tego samego przedmiotu. Prof. Dybowski zachęcał młodzież, by uczęszczała na moje wykłady; cieszył się bardzo, gdy widział, że ona garnie się u mnie do pracy naukowej samodzielnej, w każdej sprawie wobec Wydziału dopomagał mi zawsze, jak prawdziwy, serdeczny przyjaciel i opiekun mój. Ta niezmierna delikatność Dybowskiego wobec młodszego kolegi pochodziła z wrodzonej mu wielkiej szlachetności ducha oraz z głębo-

kiej czci dla nauki. Kocha on naukę nietylko dla niej samej żywiotowo, lecz także dlatego, że widzi w niej potęgę, prowadzącą ludzkość ku szczęśliwości, w każdym tedy pracowniku naukowym ceni człowieka wyższego, szanuje jego idealizm, współczuje szczerze jego dążeniom i usiłowaniom na polu dociekań naukowych. To też, chociaż sam jest wyłącznie niemal systematykiem, posiada wielkie zrozumienie dla prac w innych także dziedzinach biologji, rozumiejąc dobrze, że do wykrycia prawdy wiodą rozmaite drogi i że każda z nich spełnia doniosłą swą rolę w nauce.

Ta miłość dla nauki i głęboka wiara w dobroczynną jej potęgę, obok tego zaś nadzwyczajna miłość do ludzi w ogóle i chęć czynienia im dobrze, ogromnie przywiązały mnie do prof. Dybowskiego. To też nie było prawie dnia, bym do niego nie zaszedł na krótką pogawedkę, a zawsze słuchałem z żywym zajęciem opowiadań jego o Syberji i Kamczatce, bo on tak silnie żyje wspomnieniam swego tam pobytu, że każdy niemal temat poruszany przez nas ponosił go ku owym wspomnieniom i nastęrczał sposobność do opowiadań o przyrodzie tych krajów, o ludności miejscowej lub o przyjaciołach i znajomych z owych czasów. A że pamięć posiada fenomenalną i dar opowiadania nadzwyczajny, przeto chwile spędzone z nim na owych pogawędkach w instytucie zoologicznym zaliczałem zawsze do najmilszych w mem życiu.

Po objęciu przezemnie katedry zoologji, opróżniła się zajmowana dotychczas katedra anatomji porównawczej i zarząd instytutu tegoż przedmiotu w uniwersytecie lwowskim. Ponieważ chodziło o obsadę natychmiastową tej ostatniej katedry, przeto też zaraz zająłem się tą sprawą. Pragnąłem, ażeby powierzono ten posterunek młodemu mojemu koledze, zoologowi rodem z Warszawy, a zajmującemu docenturę anatomji porównawczej w jednym z włoskich uniwersytetów, Dr. Kazimierzowi Kwietniewskiemu. Projekt ten przedstawiłem prof. Dybowskiemu, który się nań zgodził, a Wydział filozoficzny przyjął też tę kandydaturę. Niebawem Kwietniewski został zamianowany nadzwyczajnym profesorem na uniwersytecie lwowskim. Poznałem się z nim osobiście kiedyś w Warszawie i wiedziałem od niego, że bardzo pragnie powrócić z Włoch do

kraju, ażeby tu móc pracować. Cieszyłem się ogromnie, że nie tylko przysłużyłem się naszej wszechnicy, lecz także koledze, który w liście z dnia 19. grudnia 1905 pisał do mnie z Padwy: „Dziękuję najserdeczniej za wiadomość o wakującej katedrze i za łaskawe ofiarowanie mi Swej tak wpływowej pomocy w sprawie przeniesienia się mego do Lwowa. Istotnie rad byłbym bardzo powrócić do kraju po długim przebywaniu na obczyźnie. Szan. Panu Profesorowi będę niewymownie wdzięczny za łaskawe poparcie sprawy mojej“.

Po objęciu instytutu zoologicznego, musiałem się nieco zająć jego zreformowaniem. Prof. Dybowski pracował w nim, jako systematyk i w tej też dziedzinie zoologii osiągnął światową sławę. Ja zaś pracowałem w dziedzinie badań mikroskopowych, do których też pragnąłem dostosować powierzony mi instytut. Przed zoologią bowiem otworzyły się nowe horyzonty, pojawiły się nowe, niezmiernie doniosłe jej gałęzie: histologia porównawcza czyli nauka o mikroskopowej budowie tkanek, cytologia czyli nauka o komórce, embriologia porównawcza, anatomia porównawcza nowoczesna, oparta na tamtych trzech przedmiotach, nadto zoologia doświadczalna włącznie z genetyką, nauką o dziedziczności, obejmująca nadzwyczaj doniosłe działy biologji. Te nowe kierunki chciałem wprowadzić do naszego instytutu. Należało tedy zaopatrzyć pracownię we wszelkie nowoczesne środki techniczne, służące do tego celu, w konieczne narzędzia, co zajęło mi sporo czasu, lecz w rezultacie cel osiągnąłem i lwowski instytut zoologiczny wkrótce stanął obok pierwszorzędných zakładów tego rodzaju w Europie, czego wytwórczość jego naukowa wymownym była dowodem.

Rozwój ten w bardzo znacznej mierze zawdzięcza dzielnym jednostkom wśród młodzieży, która poświęcała się pracy badawczej. Moją zasługą było to, że, wiedząc jakie olbrzymie znaczenie dla naszego życia narodowego posiada rozwój nauki, z drugiej zaś strony kochając tę młodzież gorącym sercem i pragnąc dać jej źródło wielkiego zadowolenia życiowego, zachęcałem ją usilnie do samodzielnej pracy naukowej. Zawsze bowiem byłem zdania, że pielęgnowanie wiedzy w kraju jest jednym z najważniejszych obowiązków narodowych. Tak pojmowałem pracę naukową

u nas w Polsce i to przekonanie starałem się wpajać w młodzież, ucząc ją, że ta praca jest obywatelską w najszlachetniejszym słowa tego znaczeniu.

Stosunki moje z młodzieżą były „zawsze bardzo przyjacielskie. Kocham ją i czuję, że i ona szczerze jest do mnie przywiązana, mimo to nigdy jej nie pobłażam, przeciwnie potrafię być surowym, gdy to jest potrzebne dla jej dobra. Wiele też objawów nieklamanej sympatji doznałem ze strony młodzieży. Wyżej opisałem już przebieg owacji, zgotowanej mi przez młodzież uniwersytecką z powodu owego niefortunnego artykułu o darwinizmie na uniwersytecie. Gdy później, po jednej z tak częstych niestety, awantur ruskich na uniwersytecie lwowskim, „Diło“ szczególną zapalało złością do profesorów Polaków i wskazywało hajdamakom tych, którzy twardo stali na gruncie polskości naszej wszechnicy, otrzymaliśmy pogróżki anonimowe, gdzie była nawet mowa o kuli rewolwerowej. Wówczas polska młodzież akademicka w ciągu kilku miesięcy urządziła rodzaj warty osobistej dokoła zagrożonych profesorów, do których i ja należałem, strzegąc pilnie, aby podczas wykładów, przejścia przez korytarze uniwersyteckie, a nawet podczas powrotu z uniwersytetu do domu lub na odwrót nie stało się nam nic złego ze strony przyjaciół Siczyńskiego. Tu wszelako muszę dodać, że ci z uczniów moich Rusinów, którzy znali mnie bliżej i wiedzieli, czem jest dla mnie nauka i jej świątynia — uniwersytet, uczniowie Rusini nie wyłącznie rozpolitykowani, ale naprawdę kochający wiedzę, bardzo sympatycznie odnosili się do mnie, podobnie jak i ja żywiłem dla nich najserdeczniejsze uczucia, że wspomnę tu o asystencie moim S i d o r i a k u, o uczniu P r y m a k u, o asystencie w Akademji weterynarji S t a c h u r s k i m, z którym szczerą łączyła mnie zażyłość, o uczniach moich R a k o w s k i m i T y s o w s k i m, którzy wykonali w laboratorium mojem kilka prac naukowych. A już najmilszym dla mnie objawem sympatji i wdzięczności uczniów moich była pamiętna dla mnie uroczystość obchodu 30 lecia pracy naukowej w r. 1911, połączona z wydaniem wspaniałej książki pamiątkowej, do czego jeszcze niżej powrócę.

Mówiąc o stosunku moim do młodzieży, muszę w kilku chociażby słowach scharakteryzować tych najwybitniejszych

uczniów moich, z którymi szczególnie, przyjacielskie łączyły mnie węzły. W Akademji weterynarji trzej byli uczniowie moi pełnili obowiązki asystentów moich: Zygmunt Markowski, obecnie doktor medycyny i profesor tejże Akademji, Szymon Sidoriak, obecnie profesor gimnazjalny i Longin Stachurski, lekarz weterynarji. Z tymi w najserdeczniejszych byłem stosunkach i pracowaliśmy razem; z Markowskim i Sidoriakiem ogłosiliśmy wspólnie kilka prac naukowych. Do dziś dnia łączą nas, sądzę, nici najlepszych i niczem niezamąconych wspomnień. Z uczniów moich uniwersyteckich (do których należał także i Sidoriak, pomimo, że później był asystentem w weterynarji) na pierwszym miejscu muszę postawić Dra Jana Hirschlera, obecnie profesora uniwersytetu lwowskiego, którego bardzo cenię za jego ogromne do nauki zamiłowanie, niezwykłą pracowitość oraz wytrwałość w badaniach naukowych i erudycję. Z tym wybitnym pracownikiem naukowym łączyły mnie zawsze węzły szczerzej przyjaźni, podobnie, jak z dwoma jeszcze innymi, wybitnymi moimi uczniami, docentami naszej wszechnicy i długoletnimi asystentami moimi, Dr. Janem Grochmalickim i Dr. Rudolfem Weiglem. W Grochmalickim, prócz zamiłowania do nauki, cenię nadto gorące przywiązanie do kraju i namiętne pragnienie stania się dlań użytecznym. W doprowadzeniu do skutku myśli o założeniu polskiej stacji biologicznej nad jeziorem Grodeckiem zawdzięczam bardzo wiele jego szlachetnemu i pełnemu poświęcenia współpracownictwu. W Weiglu cenię jego nadzwyczajną miłość dla nauki i żywiołowe poprostu ukochanie badań samych w sobie, dla wykrycia prawdy naukowej, bez żadnego prawie względu osobistego. Jest to u niego cecha nader sympatyczna, ale często bywała powodem, iż dokonawszy jakiegoś ważnego odkrycia, był już z tego zadowolony i nie rychło mu było do ogłoszenia tegoż drukiem; dopiero pod wpływem mojej namowy, a niekiedy i pewnego teroru, zabierał się do opublikowania swej pracy. Bardzo często, dzięki takiemu postępowaniu inni uprzedzali go w pewnych nowych zupełnie spostrzeżeniach naukowych. Ogromnie dla mnie sympatyczni, ze względu na swe wielkie zalety charakteru i umysłu są też uczniowie moi Dr. Antoni Ja-

k u b s k i, który będąc jeszcze tak młodym, wstawił się swą podróżą do Afryki, dalej Dr. B e n e d y k t F u l i ń s k i i Dr. E d w a r d S c h e c h t e l; wszyscy oni zasłużyli się w literaturze naukowej przez szereg cennych prac.

Wspomniawszy tutaj o podróży J a k u b s k i e g o muszę dodać, że odbył ją w r. 1911 własnym kosztem, a była pełna niebezpieczeństw, w nieznanym niemal krajach środkowej Afryki, skąd przywiózł bogate łupy zoologiczne, które podarował instytutowi zoologicznemu uniwersytetu lwowskiego. Do książki jego o tej podróży p. t. „W krainie słońca“ nie trudno mi było napisać w serdecznych słowach przedmowę, bo istotnie brałem duchowy udział w tej wyprawie ukochanego ucznia. Gdy raz przez kilka miesięcy nie było od niego żadnej wieści, udałem się do konsula niemieckiego we Lwowie z prośbą, aby urzędownie dowiedział się o losach podróżnika polskiego, który wówczas znajdował się w granicach kolonij niemieckich. Konsulat wysłał telegram do gubernatora tych prowincyj i wkrótce nadeszła odpowiedź, iż J a k u b s k i zapadł na tyfus powrotny, że w stanie nieprzytomnym sprowadzili go towarzyszący mu murzyni do jednego z miast, gdzie pacjent znajduje się już w szpitalu pod opieką lekarską i powraca do zdrowia. Wiadomość ostatnia ucieszyła mnie bardzo, prócz tego cieszyłem się, że mogłem uspokoić straszaną matkę podróżnika oraz narzeczoną, pannę W a n d ę B i a ł k o w s k ą, która wówczas pracowała w moim laboratorium, jako jedna z najwybitniejszych moich uczenic.

Z niektórymi moimi uczniami spędzałem dłuższy czas w stacji zoologicznej w Tryjeście lub w Neapolu, np. z C z e r s k i m i S c h r e i b e r e m. Z tym ostatnim, obecnie lekarzem praktykującym we Lwowie, byłem w Neapolu, gdzie w nader miłym jego towarzystwie odbywałem wycieczki do prześlicznych okolic tego pełnego uroku miasta. S c h r e i b e r, zanim został lekarzem, pracował nie tylko w zoologii, lecz także w antropologii i to w sposób bardzo wybitny.

Podczas pobytu mojego w Monaco w r. 1911 poznałem tam W ł o d z i m i e r z a W i e t r z y k o w s k i e g o, młodego badacza rodem z Królestwa, który pracował w laboratorium Muzeum Oceanograficznego. Szczerze polubiłem tego nader sympatycznego, ogromnie oddanego nauce młodzieńca, pragnącego gorąco powrócić do kraju, aby tu pracować, do-

tychczas bowiem przebywał za granicą, głównie w Paryżu, w Roscoff i Monaco. To też radowałem się bardzo, gdy wkrótce mogłem mu ułatwić możliwość pracy naukowej wśród swoich. Wietrzykowski przyjechał do Lwowa i zaczął pracować w moim instytucie, gdzie po roku został moim asystentem i ogłosił kilka cennych rozpraw. Rokował on wielkie nadzieje na przyszłość, jako wybitny badacz naukowy, niestety jednak nieubłagana choroba piersiowa, która spotęgowała się wskutek nieprzyjaznych warunków wojennych, przerwała już w r. 1916 nić tego młodego szlachetnego żywota.

Przez instytut mój anatomji porównawczej i zoologii przewinął się także długi poczet kobiet, przeważnie panien, które zwykle oznaczaliśmy mianem „niewiast“, wśród nich było wiele osób o niezwykłych zaletach umysłu i charakteru, a liczne z nich ogłosiły jedną lub kilka cennych prac naukowych. Dziwnie sympatyczny był ten dobór niewiast w pracowni naszej; wszystkie poważnie i szlachetnie myślące oraz pełne czci dla nauki. Dwie z tych pań, mianowicie Dr. Cecylia Klaftenowa i Zofja Małaczyńska zajmują w instytucie zoologicznym stanowiska asystentki i demonstratorki, ku największemu zadowoleniu mojemu oraz młodzieży tu pracującej.

Wykłady

Nawykładałem się w życiu bardzo wiele. W r. 1916 minął pięćdziesiąty semestr nieprzerwanych moich wykładów w uniwersytecie lwowskim, a nadto też równocześnie przez kilkadziesiąt semestrów wykładałem w Akademji weterynarji we Lwowie i przed przybyciem do tego miasta nauczałem też przez długi szereg lat w Warszawie. Otóż pragnę tutaj ująć w krótką całość ogół moich spostrzeżeń osobistych, jako profesora.

W ogóle zawsze bardzo lubiłem nauczanie i to poczytywałem sobie za wielkie plus w moim zawodzie nauczycielskim. Biada tym, którzy muszą pełnić obowiązki nauczycieli, a których wykłady męczą zbytnio, lub co gorsza, nudzą. Niestety takich nieszczęśliwców nie brak ani wśród nauczycieli ludowych, ani też wśród profesorów gimnazjalnych

i uniwersyteckich. Znałem i znam wielu takich osobiście. Są to istni męczennicy swego niefortunnie obranego zawodu, a biada młodzieży, skazanej na nauczanie ze strony takich pedagogów.

Jak wspominałem, los uwolnił mnie od podobnego męczeństwa, gdyż należę do tych, którzy lubią wykładać. Owszem, wykład ożywia mnie zawsze i przyjemnie podnieca. Zdarzało się nieraz, że byłem zmęczony, niedysponowany, ale gdy zaczynałem wykład i pozwoliłem unieść się myślom, głoszonym z katedry, porwać się potokowi prelekcji, czułem się zawsze po skończonym wykładzie bardziej wypoczętym i ożywionym, niż w chwili jego rozpoczęcia. Jedną z głównych tego przyczyn jest to, że entuzjazmuję się głoszonymi z katedry prawdami naukowymi, a nawet gdy mówię o rzeczach elementarnych dla mnie świadomość tego, że przemawiam do ludzi, niezających tych rzeczy, tak mnie zawsze porywa, że mówię z przejęciem się i zapałem. Tu leży dla mnie psychologiczne objaśnienie faktu, że nie lubię, gdy na wykładzie moim spostrzegam słuchaczy lub słuchaczki, które powtórnie słuchają tego samego przedmiotu, co zdarza się często. Mnie zaś wydaje się, iż im nic nowego nie mówię i to mnie zawsze nieco irytuje, pomimo że uznaję w zupełności wielkie korzyści, jakie słuchacze mogą osiągnąć z powtórnego słuchania tego samego wykładu. Zresztą staram się zawsze wykłady swoje o tym samym przedmiocie zmieniać za każdym razem, czy to przez inny sposób ujęcia bardziej zawiłych kwestyj, czy też przez odmienny dobór faktów w zależności od szybko naprzód postępującej wiedzy. Wykładam zawsze z pamięci, posiłkując się krótkimi notatkami i objaśniając możliwie wiele wykład rysunkami, które jednocześnie odręcznie kreślę na tablicy.

Pomimo, że od tylu lat jestem profesorem, wykłady wzruszają mnie zawsze w stopniu niemałym. Kwadrans przed rozpoczęciem wykładu jestem zawsze podniecony, zwykle nie mogę już spokojnie pracować, muszę być sam, chodzę wówczas po pokoju, a po wejściu do sali wykładowej, przez krótką chwilę doznaję tego, co się nazywa tremą. Lecz natychmiast po rozpoczęciu wykładu uspakajam się zupełnie, panuję nad sobą oraz nad przedmiotem wykładowym. Raz zdarzyło się, że tuż przed samym wykładem zaszedł do

mnie jeden z kolegów, z którym prowadziłem ożywioną jakąś rozmowę i niepostrzeżenie minęło 20 minut po godzinie, o której miałem zacząć wykład. Przeprosiłem kolegę i szybko się z nim rozstałem, poruszony rozmową, przebiegłem korytarz i odrazu znalazłem się w sali wykładowej, wobec liczego audytorjum. Ten brak chwili zupełnego spokoju przed wykładem, do której przywykłem, nagłe znalezienie się przed słuchaczami podziało na mnie tak dziwnie, że chwilowo zupełnie straciłem pamięć, nie wiedziałem, od czego mam zacząć, a zdziwione twarze słuchaczy, którzy zauważyli moje zakłopotanie, jeszcze bardziej zbiły mnie z tropu. Zeszedłem tedy z katedry, przeszedłem się kilka razy tam i z powrotem po sali i to powróciło mi odrazu spokój, tak że wykład wygłosiłem najnormalniej. Był to jedyny w mojem życiu wypadek tego rodzaju zakłopotania, o którym nieraz opowiadałem moim uczniom.

Nie mogę, rzecz prosta, wiedzieć, jak moje wykłady podobają się uczniom, ponieważ jednak wkładam w nie zawsze bardzo wiele pracy, myśli i uczucia, przeto sądzę, że muszą one chyba wywierać wrażenie dodatnie. Być może, że wielka ilość uczniów i uczenic, zgłaszających się do pracowni mojej i pragnących się poświęcić ściślejszym studjom zoologicznym, jest poczęści wynikiem dodatniego na nich wpływu wykładów moich.

Z nierównie zato większą pewnością mogę coś powiedzieć o wpływie, wywieranym na mnie przez audytorjum moje. Pod względem ulegania owemu wpływowi rozróżniam dwojakiego rodzaju profesorów.

Jedni z nich nie mają wcale, że tak powiem „czucia“ swego audytorjum, nie widzą go niemal, nie czują go, są jakby nieświadomi jego obecności. Opowiadano mi np. o słynnym matematyku berlińskim prof. Kroneckerze, który rozpoczynał wykład od słów: „że E równa się (— i tu pisał odrazu łokciową, djabelnie trudną do zrozumienia formułę matematyczną na tablicy —) o tem, wie chyba każde dziecko“, a rzecz była tak trudną, że nie tylko dziecko, ale nawet starsi słuchacze uniwersyteccy — matematycy nie wiedzieli na razie, o co chodzi. Kronecker nie dostrzegał wielkiego zakłopotania na twarzach słuchaczy swoich, nie wiedział, iż ci go nie rozumieją, lecz odwrócony plecami do

studentów, ciągnął swój wykład i zapalał się pięknem swego przedmiotu, nie troszcząc się często o audytorjum. Są profesorowie tak zajęci wątkiem swoich myśli — podczas wykładu, iż nie indywidualizują słuchaczy, lecz przemawiają do całości swego audytorjum i nie widzą, co się w sali wykładowej dzieje i jak reagują na wykład oddzielne jednostki. To też opowiadano mi o pewnym profesorze uniwersyteckim którego wykład, w wielkiej odbywający się sali, był rodzajem rendez-vous, młodzieży obojga płci; cicha rozmowa i flirt szły tam w najlepsze a profesor, zajęty i poehłonięty całkowicie wykładem swoim, nie widział i nie słyszał, co w sali się działo. Są to wszelako wyjątki. Większość profesorów ma ogromne czucie swego audytorjum, a ostatnie nie domyśla się nawet, w jak wysokim stopniu działa ono wtedy na profesora.

Przedewszystkiem samo extérieur słuchaczy. Inteligencja prawdziwa przejawia się zwykle w rysach twarzy; zdarza się, że wykładający widzi przed sobą twarze myślące, na których znać doskonale wysiłek poważnej pracy duchowej, kiedy indziej znów ma on przed sobą twarze lalkowate, bezmyślne, nie budzące zaufania, a zależnie od tego, jakie przeważają, audytorjum wydaje mu się mniej lub więcej sympatycznym, co znów pozostaje nie bez oczywistego wpływu na sam wykład i na dobór materiału. Zdarza się nieraz, że profesor na wykładzie dotyka wielu zagadnień, których poruszyć nie zamierzał i naodwrot, iż pomija wiele rzeczy, o których mówić miał zamiar, a fo pod wpływem zachowania się i reakcji audytorjum swego.

Audytorjum słuchające w myślącym skupieniu swego profesora działa nań niezmiernie dodatnio, stanowi podniecie dla wątku jego myśli, naodwrot zaś, gdy pośród słuchaczy lub słuchaczek znajdują się osoby nie umiejące uważać i skupiać myśli gdy profesor dostrzega, że ci lub owi członkowie audytorjum jego są obecni, lecz nieprzytomni naukowo, że wzrok ich przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, jako wyraz myśli odbiegającej daleko od wątku wykładu i leniwie bujającej po manowcach, sprawia mu to niezmierną przykrość i źle oddziaływać może na sam tok prelekcji: wówczas usiłuje on patrzeć na tych, których bezwiedna mimika wskazuje, iż w lot chwytają i przyswajają sobie jego słowa.

Na uniwersytetach panuje zwyczaj „notowania sobie“ wykładów, co jest zwykle złem koniecznym, Niektórzy znakomici profesorowie- pedagogowie niechętnie bardzo widzą u członków swego audytorjum to „zapisywanie“ wykładów. Światowej sławy zoolog szwajcarski, prof. Karol Vogt w Genewie, zanim corocznie rozpoczynał swe piękne wykłady zoologii, miał przemowę do uczniów o tym przedmiocie: „Mesdames et messieurs je vous prie, je vous supplie ne faites pas de notes“ — proszę was, błagam was, nie róbcie notatek i przez cały kwadrans rozводził się nad tem, jak to jest szkodliwe, bo przeszkadza w uważaniu, nie pozwala na oglądanie rysunków lub preparatów itd. Dopóki Vogt te wstępne głosił rady, audytorjum słuchało go ze skupioną uwagą, ale gdy rozpoczynał właściwy wykład o nauce zoologii, w wielkiej sali wykładowej rozlegał się odrazu donośny syk piór z pośpiechem skaczących po białych ćwiartkach zeszytów! Ale „notowanie“ nie zawsze jest złe, a zależy od jego rodzaju. Inteligentni, rozumni członkowie audytorjum wiedzą, co należy zanotować, odróżniając rzeczy główne, istotne, od drugorzędnych, stanowiących tylko wyjaśnienie lub ilustrację podstawowych myśli; osobniki tępe notują wszystko bezmyślnie. Otóż sposób robienia „notatek“ przez słuchaczy lub słuchaczki widzi i odczuwa doskonale uważny profesor, mający „czucie“ swego audytorjum. Doznaje on w związku z tem uczuć często przykrych, gdy widzi bezmyślny, ustawiczny taniec pióra po papierze u wielu członków audytorjum swego, którym nie chodzi o zrozumienie, lecz przedewszystkiem o „zapisanie“ sobie wykładu. Zdarza się często, iż profesor wyłożywszy pewną trudną rzecz, ilustruje ją przykładami, wyjaśnia rysunkiem, pokazuje wreszcie na modelu lub preparacie, lecz ze smutkiem spostrzega, jak nie jedna lub nie jeden ze słuchaczy nie odrywa oczu od zeszytu, lecz wciąż pisze zawzięcie.

Jednem słowem nie tylko profesor działa na audytorjum, porywa je za sobą, kieruje, jak batutą, myślami i nawet uczuciami członków swego audytorjum wsłuchujących się w przedziwnie nieraz ponętą symfonię myśli naukowych, lecz i naodwrot, zachowanie się audytorjum, jakkolwiek naogół bierne i nieme, działa na profesora, wpływając na bieg jego myśli i uczuć. Od wzajemnego więc zespołu profesora

z uczniami zależy istotny wynik wykładu uniwersyteckiego.

Otóż co do mnie, to mam zawsze wielkie czucie swojego audytorjum. Podczas wykładu, pomimo pochłaniającego mnie zajęcia przedmiotem, widzę doskonale wszystkich obecnych w sali, indywidualizuję ich, a najmniejsza nieuwaga ze strony słuchaczy, rozmowa z sąsiadem choćby najcichsza podczas mojego wykładu przeszkadzają mi bardzo. Zdarza się to niekiedy podczas moich wykładów biologii ogólnej, gdy do trzystu nieraz słuchaczy wypełnia po brzegi wielką salę wykładową. Śród nich od czasu do czasu trafiają się osobniki, które nie potrafią uważać i podczas wykładu rozpoczynają szeptać do siebie. Zawsze spostrzegam to natychmiast i wstrzymuję na parę sekund wykład, patrząc uparcie w stronę rozmawiających, którzy, zawstydzeni zachowują się już zwykle do końca wykładu spokojnie. Szczęściem zachowanie się takie jest bardzo wyjątkowe. Młodzież zna moje wymagania co do tego, zna moje dobre oko i na ogół podczas wykładów moich panuje w sali cisza wzorowa i nastrój poważny.

Pisma moje i podręczniki — Moi wydawcy

Nie będę tu wyliczał tytułów dwustu blisko rozpraw i obszerniejszych artykułów naukowych, ogłoszonych przezemnie w różnych czasopismach w kraju i zagranicą a stanowiących nowe przyczynki w najrozmaitszych dziedzinach biologji, przyczynki, które, jak przypuszczam, wzbogaciły wiedzę zoologiczną. W księdze pamiątkowej, wydanej przez uczniów moich w r. 1911 (nakładem Altenberga we Lwowie) przytoczone są tytuły publikacyj moich do r. 1911 i krótki przegląd ważniejszych zdobyczy naukowych w nich zawartych. Nie tu też miejsce na wyliczenie tytułów rozpraw naukowych uczniów moich i uczenie, wykonanych pod moim kierunkiem w liczbie stukilkudziesięciu, które również nie mało wzbogaciły wiedzę biologiczną w różnych jej dziedzinach.

Wiele znajomych moich z pewnem zdziwieniem spoglądało na tę intensywną moją działalność naukową, ja zaś żałowałem mocno, że z różnych powodów nie może ona być jeszcze płodniejszą i intensywniejszą. Trzy głównie warunki składały się na tę moją, wydatną podobno, pracę naukową: 1) wielka moja miłość dla nauki i oddanie się jej

całą prawie duszą; 2) głębokie moje przekonanie, że wiedza naukowa stanowi jedną z najpotężniejszych podwalin naszego bytu narodowego, że przez jej pielęgnowanie spełniam obowiązek obywatelski i najlepiej, jak umiem zasługuję się ojczyźnie mojej; 3) pracowitość połączona z obawą utraty drogiego czasu, który dla działalności mojej mógłby być pożytecznym. Dlatego też odmawiam sobie albo zgoła nie lubię wielu rozrywek, którym ludzie tak wiele się oddają. Nie wiedziałem nigdy, co to są karty lub inne gry, nie bywam w kawiarniach i handelkach, gdzie niestety tylu ludzi traci drogi czas i grosz ciężko zapracowany; — nie pojmuję wyjąwszy jakiejś nieodzwyczajonej wizyty lub posiedzenia — jak można spędzić wieczór poza domem, gdzie przy biurku czekają mnie zawsze niezliczone prace naukowe lub piśmiennicze. O wielkiem znaczeniu umiejętności korzystania z drobnych chwil czasu pisałem w książce mojej „Uczeni i uczniowie“ (wydana u Altenberga w r. 1911), gdzie poruszyłem także wiele innych kwestyj dotyczących pracy naukowej oraz pedagogicznej i stosunku uczonych do ich uczniów.

Wreszcie muszę wspomnieć o jednej jeszcze nader ważnej, szczęśliwej dla mnie okoliczności, która pozwoliła mi w zupełności oddać się pracy naukowej i piśmienniczej. Mianowicie żoną moja, pełna bezgranicznego dla mnie poświęcenia, widząc, jak bardzo pragnę oddać się całkowicie nauce, starała się zawsze w ten sposób urządzić mi życie, ażebym możliwie nie zaprzętał się sprawami życia codziennego, które rozpraszają myśl naukową. Sama zajmowała się i zajmuje w domu wszelkimi podobnymi sprawami, czyniąc to z zadziwiającą skrupulatnością i z podziwienia godnym altruizmem, tak, że przez całe niemal życie jestem wolny od pracy, nie mającej nic wspólnego z pracą naukową i mogę skupiać myśl moją w pożądanym kierunku.

Do tego może być zdolną tylko kobieta, która, podobnie jak żona moja, posiada gruntowną wiedzę, niezwykłą cześć dla nauki i zupełne zrozumienie ideałów pracy naukowej.

Moje prace czysto naukowe są należycie cenione w kraju i zagranicą, o czym mogę sądzić z faktu, że w wielu znakomitych podręcznikach angielskich, francuskich, niemieckich,

rosyjskich i t. p. prace te szeroko są uwzględniane. W słynnym kilkotomowym podręczniku embriologii porównawczej zwierząt bezkręgowych Korschelta i Heidera, w embriologii porównawczej kręgowców O. Hertwiga, w znakomitych podręcznikach anatomji porównawczej zwierząt kręgowych Wiedersheima, Schimkiewicza, w podręczniku mikroskopowej anatomji kręgowców Oppel'a, we wszystkich niemal licznych rocznikach znakomitego wydawnictwa „Ergebnisse der Anatomie und Entwicklungsgeschichte“ wydawanych przez Bonneta i Merkel'a, w dziełach Przibram'a „Experimentelle Zoologie“, Korschelt'a „Regeneration und Transplantation“ oraz w wielu innych jeszcze klasycznych, podstawowych dziełach biologicznych znajdowałem z wielkiem zadowoleniem szeroko uwzględniane prace moje oraz uczniów moich i przytoczone zapatrywania moje na różne kwestje naukowe, któremi się zajmowałem. Sprawiało mi to nietylko przyjemność, lecz dodawało wielkiej otuchy do dalszej pracy.

Lecz jak już wspomniałem wyżej, sądziłem zawsze, że uczony nie powinien ograniczać się tylko do ogłaszania prac specjalnych, czysto naukowych w niedostępnych dla szerszego, wykształconego ogółu wydawnictwach, które zresztą nie mogą być zrozumiane przez ludzi, nie związanych ściśle z nauką. Na uczonego Polaku w dwójnasób, sędzę, ciąży ten obowiązek przemawiania także, o ile to jest możliwe, do szerszego ogółu i zaznajamiania go z postępem wiedzy. Stąd moje zamiłowanie do popularyzacji wiedzy biologicznej śród ogółu naszego. W pierwszych latach mojej działalności piarskiej pomieszczałem tylko „artykuły“ z dziedziny nauk biologicznych w rozmaitych polskich tygodnikach i miesięcznikach („Wszechświat“, „Przyroda i przemysł“, „Prawda“, „Przegląd tygodniowy“, „Ateneum“, „Biblioteka Warszawska“, „Przegląd pedagogiczny“; wszystkie warszawskie). Lecz później, po przeniesieniu się do Lwowa, starałem się, w kilkunastu obszernych tomach różnych dzieł, zapoznać wykształcony ogół oraz uczącą się młodzież gimnazjalną i uniwersytecką z wielkimi zdobyczami biologji współczesnej. Pisma te moje cieszą się niemałym powodzeniem; wiele z nich doczekało się drugiego, trzeciego, a nawet czwartego lub piątego wydania. Jedna z moich czytelniczek, wielka

zwoleńniczka pism moich, p. Józefa Czarnowska, bardzo zasłużona nauczycielka, powiedziała mi razu pewnego: „Czy wie pan profesor, dlaczego dzieła pańskie tak chętnie są czytowane przez szeroki ogół? Oto dlatego, że wieje z nich gorąca miłość dla ludzi i umiłowanie wiedzy“. Przypuszczam, że zdanie to jest trafne, gdyż istotnie w pisma wlewam zawsze dużo uczucia i pisząc, mam bezustannie na myśli dobro czytelnika. A miłość dla ludzi, podobnie, jak miłość do kraju ojczystego można ujawnić nawet w tak suchych, napozór, książkach treści biologicznej. Pisząc, staram się nie zapominać ani na chwilę, że przemawiam do umysłu żadnego wiedzy, pragnącego wznieść się ponad szare troski życia codziennego, oderwać się od nich i przenieść w krainę wyższej myśli. Tworząc dzieło o treści ogólnej lub podręcznik dla studentów uniwersytetu albo młodzieży szkół średnich nie zapominam o tem, do kogo i w jakim celu przemawiam. Byle wszystko było jasne, zrozumiałe i zajmujące, byle istotnie zdołało dać czytelnikom kilka bodaj chwil prawdziwego zadowolenia duchowego, dla którego wiedza jest tak niewyczerpanem źródłem.

Krytyka na ogół była i jest dla mnie bardzo łaskawa, jak o tem przekonać się mogłem z licznych, nader pochlebnych sprawozdań z dzieł moich, pomieszczonych w pismach naszych. Szczególną przyjemność sprawiło mi to, co napisał o mojej działalności pisarskiej wybitny filozof polski, prof. Henryk Struve w swojej pracy p. t. „Filozofja polska w ostatniem dziesięcioleciu“ (1894—1904), a to z następującego powodu. Ze wszystkich popularyzatorów w wielkim stylu cenilem zawsze najwięcej H. T. Huxley'a i marzyłem o tem, by móc przemawiać do wykształconego ogółu polskiego w taki sposób, w jaki znakomity ten zoolog przemawiał do ogółu angielskiego. I przeto niezmiernie się ucieszyłem, gdy pisarz tej miary co Struve upatrzył podobieństwo pomiędzy moim sposobem pisania a metodą Huxley'a i zestawił nas z sobą. Oto słowa Struvego: „Między badaczami przyrody w uniwersytecie lwowskim głównie biolog prof. J. Nusbaum, stara się zadzierzgnąć związek między biologją a filozofją. Świadczy o tem szereg rozpraw i dzieł, traktujących popularnie rozmaite kwestje z zakresu filozofji

przyrody. Obok dążności do spopularyzowania dla szerszych kół wyników przyrodoznawstwa, w pracach tych występuje ogólny pogląd na przyrodę, oparty na teorii ewolucji i rzuca światło na niejedną kwestję naukową ze stanowiska, które ma też znaczenie filozoficzne. W ogólności biorąc, cechuje go owa swobodna obiektywność w rozważaniu, która była też właściwą Huxley'owi i żadnej naprzód powziętej doktrynie nie pozwala się odwieść od możliwie dokładnego badania faktów. Ponieważ jednak fakty dochodzą do naszej świadomości zawsze za pośrednictwem myśli, idei, słusznie więc powiada Huxley, że tak zwany świat materialny jest dla nas przystępny tylko, jako idealny. W tem znaczeniu i Nusbaurm podnosi z naciskiem wartość etyczną poznania przyrody. Głębsze zrozumienie — mówi on — biblii przyrody, jej wielkich i odwiecznych praw podnosi nas i uszlachetnia, a nasze interesy osobiste podporządkowuje interesowi powszechnemu, jako biologicznie wyższej jednostce“.

Bardzo się zawsze cieszyłem, gdy krytycy dzieł moich zaznaczali dobitnie tę moją obiektywność w traktowaniu różnych teorii naukowych oraz ostrożność w wysnuwaniu wniosków, gdyż istotnie staram się zawsze utrzymać te dwie nici przewodnie w pismach moich.

Co do podręczników moich, to wartości ich pedagogicznej dowodzi z jednej strony to, że zostały wprowadzone do szkolnictwa przez radę szkolną krajową w Galicji oraz przez nauczycielstwo polskie w Królestwie a także fakt, że w krótkim czasie zastąpiły wszystkie inne podręczniki zoologiczne szkolne i doczekały się trzech, czterech lub pięciu wydań.

Wreszcie poświęcę jeszcze słów kilka stosunkowi mojemu do wydawców moich dzieł polskich. Do nich należą głównie: Gebethner i Wolff oraz Lindenfeld w Warszawie, Altenberg, Jakubowski i Połoniecki we Lwowie. Często słyszałem o przykrych stosunkach pomiędzy wydawcą a autorem, nawet o kłótniach i sporach niemalych. Niczego podobnego nie doświadczyłem. Zastanawiałem się nieraz nad tem, czyja w tem zasługa, moja czy wydawców? Sądzę, że nasza zobopólna. Co do

mnie, to polega ona na tem, że nigdy nie pisywałem głównie dla zysków materialnych, albowiem dominującą pobudką jest u mnie pragnienie stworzenia czegoś pożytecznego. Dlatego też honorarjum autorskie stoi u mnie na drugim planie i zgadzam się na warunki skromne, tak, że nawet niektórzy znajomi buntują mnie, twierdząc, że pozwalam się wyzyskiwać przez wydawców. Powiem szczerze, że uważam stworzenie i wydanie książki za coś bardzo dostojnego, z czem bynajmniej nie licują targi pieniężne pomiędzy autorem a wydawcą.

Jubileusz 30 letniej mej pracy naukowej

Od chwili gdym został zwyczajnym profesorem uniwersytetu we Lwowie, życie moje upływa tu dość jednostajnie, w ciągłej pracy w dziedzinie umiłowanej przezemnie nauki, w otoczeniu sympatycznych uczniów i uczenic, z których wielu bardzo wybitnie pracuje w nauce. W ogóle dobór pracowników w laboratorium mojem jest niezwykle szczęśliwy, dobór dzielnych, utalentowanych w różnych kierunkach jednostek. Życie moje rodzinne jest także szczęśliwe, przy boku kochającej, poświęcenia pełnej, rozumnej i wysoko wykształconej małżonki oraz dwóch ukochanych, niezmiernie do nas przywiązanych synów naszych, Tadeusza i Henryka, którzy w szkołach pozyskali sobie miłość oraz szacunek kolegów i przełożonych, chlubnie je kończą (starszy Tadeusz na wydziale prawniczym, młodszy Henryk na wydziale lekarskim).

W ciągu tego jednostajnie toczącego się życia zdarzają się oczywiście chwile większej dla mnie emocji, a jedną z nich był uroczysty obchód trzydziestolecia mej pracy naukowej, zgotowany mi przez grono dawniejszych i obecnych uczniów i uczenic moich. Obchód ten będzie mi na całe życie pamiętną chwilą. Odbył się on w święto Piotra i Pawła dnia 29 czerwca 1911 r. o godz. 12-tej w południe w auli uniwersytetu lwowskiego, w obecności wielu znakomych osób, między innymi wiceprezydenta Rady Szkolnej Krajowej Dra Ignacego Dembowskiego, rektora uniwersytetu lwowskiego Prof. B. Jaszowskiego, rektora politechniki lwowskiej Prof. M. Thulliego, przedsta-

wicielei Akademi weterynarji, Akademji rolniczej w Dublanach, Szkoły lasowej we Lwowie, wielu towarzystw naukowych lwowskich, profesorów szkół wyższych i średnich, reprezentacyj polskich towarzystw akademickich, młodzieży i licznej publiczności. W dniu jubileuszu tego ofiarowali mi nadto uczniowie moi księgę pamiątkową — wspaniałe dzieło, które stanowi dla mnie najmiłszą i najdroższą pamiątkę.

Wielką przyjemność sprawił mi adres wręczony mi podczas jubileuszu, w którym wyrażone są zasługi moje naukowe, pedagogiczne i piśmiennicze, adres podpisany przez najwybitniejszych biologów całego świata, bo nietylko Polski, lecz także Anglii, Francji, Niemiec, Austrii, Węgier, Włoch, Szwajcarii, Szwecji, Belgji, Holandji, Rosji, Stanów Zjednoczonych, Japonji. Szczególniejszą sprawiły mi przyjemność podpisy pod tym adresem tak znakomitych badaczy, jak np. prof. Sedgwick z Londynu, prof. L. Graff z Gracu, prof. Grobben, prof. Hatschek, prof. Ebner z Wiednia; prof. Yves Delage, prof. Henneguy, prof. E. Perrier z Paryża; prof. O. Hertwig, prof. Waldeyer, prof. Eilhard Schulze z Berlina; prof. W. Roux z Halle; prof. Semon z Monachjum, prof. Jennigs, prof. H. J. Morgan, prof. Kingsley z Ameryki; prof. Ijima, prof. Watasé z Japonji i wielu, wielu innych. Niektórzy z tych znakomitych badaczy i zacnych kolegów moich nie zadowolnili się podpisem złożonym pod adresem, lecz nadesłali jeszcze listy do komitetu jubileuszowego lub telegramy. Listy te od znakomitych mężów nauki były dla mnie iście wzruszające, np. od prof. E. Holmgrena ze Sztokholmu, który pisał między innymi: „Mit aufrichtigem Danke, dass Sie mir Zufall bereitet haben meinen Hochverehrten Kollegen, dessen wissenschaftliche Leistung ich bewundere und dessen Persönlichkeit ich lieb halte, den Ausdruck meiner tief gefühlten Hochschätzung zu bringen“. Niemniej sympatyczne listy otrzymałem od prof. Semon a z Monachjum, od prof. W. Roux z Halle, prof. Studera z Berna.

Założenie pierwszej polskiej stacji biologicznej

Drugiem pamiętnem dla mnie zdarzeniem we Lwowie było otwarcie na wiosnę r. 1914 Stacji biologicznej

nad jeziorem Drozdowickim pod Gródkiem Jagiellońskim, powołanej przezemnie do życia, niestety nader krótkiego z powodu wojny, która niebawem wybuchła i działalność jej przerwała. Od dawna już nosiłem się z myślą założenia w kraju, nad jakimś większym zbiornikiem wodnym, stacji, która mogłaby służyć do możliwie wszechstronnego badania flory i fauny wód naszych nie tylko pod względem systematycznym, lecz także biologicznym. Zagranicą, we wszystkich krajach cywilizowanych, założono w ostatnich kilkunastu latach podobne stacje, które bardzo wydatnie przyczyniły się do pogłębienia nauki o fizjografii tychże krajów. Ja zaś, prócz tego, miałem jeszcze inne cele na widoku. Pragnąłem mianowicie, ażeby stacja ta, o ile z czasem zostałaby należycie wyposażona, mogła służyć do badań doświadczalno-biologicznych, dla wielu bowiem badań tego rodzaju nie wystarczają akwarja w laboratorjach uniwersyteckich, lecz potrzeba większych basenów wód, w warunkach możliwie naturalnych, np. stawków doświadczalnych, które w dowolnej liczbie można urządzać na terenie stacji biologicznej. A nadto chodziło mi także o to, by przez założenie takiej stacji u nas w kraju rozbudzić większy zapał u młodzieży naszej do badań na łonie przyrody ojczyznej i wzniecić w niej miłość dla tej ostatniej. Wreszcie marzyłem także i o tem, ażeby w stacji, wiosną lub latem, urządzać wykłady hydrobiologiczne i w ogóle odczyty o przyrodzie wód naszych dla nauczycieli gimnazjalnych i ludowych, dla młodzieży szkół wyższych i średnich a nawet dla szerszego ogółu, ażeby w ten sposób stacja krajowa istotnie przyczyniała się do wzbudzenia większego zainteresowania przyrodą ziemi naszej.

Otóż projekt mój założenia w kraju stacji hydrobiologicznej przedstawiłem, jako członek zarządu Polskiego Towarzystwa im. Kopernika, na jednym z posiedzeń tegoż zarządu. Przyjęto go nader przychylnie i zgodzono się co do tego, że gdy budowa stacji dojdzie do skutku, będzie się ona nazywała Stacją biologiczną Polskiego Tow. im. Kopernika. Ponieważ fundusze tego Towarzystwa były wówczas nader szczupłe, przeto ograniczyło się ono na razie tylko do pomocy moralnej, tak, że ja, jako inicjator projektu i członek zarządu mogłem wszędzie działać w jego imieniu i na nie

się powoływać. Wkrótce starania moje i zabiegi w kierunku znalezienia funduszków uwieńczył pomyślny skutek. Wydział krajowy poświęcił z funduszków tak zw. rybackich na cel założenia stacji 11000 koron; uczeń mój, młody przyrodnik, hr. E. Romer ofiarował na tenże cel 2000 kor.; Dr. Wietrzykowski, z otrzymanego z kasy Mianowskiego w Warszawie funduszu na badania naukowo-hydrobiologiczne ofiarował 1500 kor.; pan K o l i s c h e r 100 kor, a inne osoby ofiarowały jeszcze pewne mniejsze kwoty. Prócz tego hrabia Franciszek Zamojcki ofiarował parcelę nad samym brzegiem jeziora Gródeckiego, gdzie za zebrane fundusze stanęła niebawem na wzgórzu stacja, której budowę przeprowadził bezinteresownie architekt z Gródka, pan T. Krzyworączka. W całym urzędzeniu wewnętrznym stacji ogromnie wiele dopomagał mi były uczeń mój i asystent, Dr. Jan Grochmalicki, który w ten sposób nie mało przyczynił się do urzeczywistnienia całego przedsięwzięcia. Interesuje się on nader żywo fauną wód naszych, a że jest przytem gorącym patriotą, przeto zapalił się do myśli założenia polskiej stacji biologicznej.

Stacja ta, był to bardzo miły i estetyczny domek muryrowany jednopiętrowy; na parterze mieściły się dwie obszerne i widne pracownie oraz mieszkanie dozorującego, na piętrze zaś były schludne miłe pokoiki gościnne, całkowicie urządzone, gdzie jednocześnie mogło mieszkać kilka osób, zajętych przez dłuższy czas badaniami naukowymi w stacji. Z okien jej, zwłaszcza z balkonów na piętrze, rozciągał się śliczny widok na gładką taflę jeziora Drozdowieckiego, na liczne kępy sitowia podobne do wysepek rozsianych na zwierciadle wodnym oraz na odległe w dali szarejące wioski i gąszcze. Gdy o zachodzie słońca tafla jeziora skrzyła się szkarłatnymi barwy, opary nad niem poczęły sinieć a w powietrzu rozlegały się dźwięki niezliczonego ptactwa wodnego, rozkosznie było płynąć w łódce stacyjnej, wśród szumiących szuwarów i obserwować bujne życie w tem dziwnie ponętym wód zbiorowisku.

Wkrótce zaczął się żywy ruch naukowy w naszej stacji, zaopatrzonej już w różne sieci do połowu zwierząt, w akwarja, baseny, lupy i mikroskopy, słowem we wszystko, co do badań hydrobiologicznych jest niezbędne. Pod-

czas wiosny r. 1914 przez tę stację przewinął się szereg uczniów moich, a mianowicie pracowali tutaj pp. Jakubski, Wietrzykowski, Fuliński, Grochmalicki, Majewski, Krasuski, Słonimski, Schechtel i inni. Wynikiem tej z entuzjazmem prowadzonej pracy naukowej jest szereg prac bądź już wydrukowanych, (np. Fulińskiego „Materiały do fauny wirków ziem polskich“ w Rozprawach muzeum im. Dzieduszyckich za r. 1914; dalej Wietrzykowskiego „O nowym gatunku wymocзка *Discophrya Coperniciana*“ nazwanym tak na cześć Tow. im. Kopernika, w Kosmosie 1915; wreszcie Schechtla „O oddychaniu wodopójek w Kosmosie 1915), bądź do druku w części przygotowanych (np. obszerny materiał Jakubskiego, dotyczące fauny wirków gródeckich i ogłoszony przezemnie spis wymoczków, znalezionych przez Wietrzykowskiego). Zwiedzając często stację, otoczoną już świeżo założonym ogródkiem i widząc młodych naszych pracowników, z zapałem wielkim badających bogatą faunę wód gródeckich, pochylonych nad mikroskopem lub uwijających się żwawo w łódce z siecią planktonową w rękę, oddanych pracy tak pożytecznej, radowałem się niewymownie, niemal wierzyć nie chciałem, iż udało mi się w tak krótkim stosunkowo czasie powołać do życia tak potrzebną dla nauki naszej instytucję.

Stację naszą odwiedzali niekiedy także i nieprzyrodnicy, osoby interesujące się w ogóle ruchem naukowym w kraju lub miłośnicy przyrody. Pewnego dnia zajechał tu automobil, z którego wysiadły dwie damy: pani namiestnikowa Korytowska z towarzyszką, panią Jeleniową, które przybyły ze Lwowa, ażeby obejrzeć stację. Z żywym zajęciem oglądały one pod mikroskopem liczne drobne ustroje, nad którymi pracowali wówczas dwaj młodzi zoologowie. Pani namiestnikowa zainteresowała się tak bardzo drobnym tym światkiem, że następnie odwiedziła także instytut zoologiczny we Lwowie, uważnie przyglądając się tkankom i komórkom na preparatach mikroskopowych. Z prawdziwą przyjemnością objaśniałem jej te preparaty i odpowiadałem na jej rozumne zapytania, świadczące, iż jest czytelną w biologii oraz że interesuje się wielkimi zagadnieniami tej pięknej nauki. Uradowało mnie bardzo jej oświadczenie, że większą

część odnośnych wiadomości zawdzięcza moim dziełom, które z wielkiem zainteresowaniem, a jak ocenić mogłem z rozmowy, z niemałą dla siebie korzyścią, studjuje.

Stacja nasza niestety była czynną bardzo krótko. Po wiośnie r. 1914 nastąpiła okropna zawierucha wojenna w kraju. Gdy złowrogie odgłosy armat nieprzyjacielskich zaczęły dochodzić do Lwowa, wielu jego mieszkańców opuściło to miasto. Po zajęciu Lwowa przez wojska rosyjskie, rozpoczęła się niebawem pod Gródkiem krwawa bitwa, a stacja nasza znalazła się niemal na jej terenie. Ratując życie, dozorca stacji, p. J a w o r s k i z młodą żoną i małym dzieckiem uciekli w nocy z mieszkania, zmuszeni pozostawić stację, jakoteż cały swój własny dobytek, na pastwę losu. Żołnierze rosyjscy pokradli mikroskopy, sądząc widocznie, że w mahoniowych, pięknie politurowanych skrzynkach znajdują się jakieś cenne dla nich skarby; chłopci okoliczni splądrowali meble, naczynia szklane, pościel, łodzie, siekierami porąbali piękną, krytą przystań nad jeziorem, wyrąbali nawet część schodów na opał, tak, że stacja została prawie doszczętnie zniszczona.

Później, już w czasie inwazji rosyjskiej we Lwowie, pewien lekarz rosyjski, zamiłowany przyrodnik opowiadał mi, że mu doniesiono, iż w pewnym pułku, który właśnie przechodził przez Gródek, lekarze pułkowi znaleźli u żołnierzy cztery mikroskopy, które im odebrano. Radzono mi, ażeby natychmiast podał ogłoszenie do pism, że te mikroskopy są własnością stacji Towarzystwa przyrodników im. Kopernika, którego Zarząd uprasza o zwrócenie ich mnie, jako jej dyrektorowi. Lecz ogłoszenie to nie przydało się na nic, pomimo, że wiele pism rosyjskich przedrukowało je z pism naszych. Owi lekarze nie poczuli się snąc do obowiązku zwrócenia zrabowanych narzędzi ich prawej właścicielce, biednej naszej stacji. Po powrocie armji austriackiej w r. 1915 udało mi się, za pośrednictwem starostwa w Gródku Jagiellońskim, uzyskać przynajmniej tyle, że żandarmerja odebrała okolicznym chłopom skradzione meble stacji, które oddano do przechowania we dworze hrabiego Zamojskiego w Drozdowicach. Może, po skończeniu wojny, stacja znów zostanie odbudowaną i powołaną do życia, jako instytucja tak potrzebna nauce polskiej.

Czasy inwazji rosyjskiej we Lwowie — Ostatnia wizyta w Warszawie

Przechodzę do opisu najsilniejszych może a zarazem i najbardziej przykrych wrażeń, jakich doznałem w życiu, mianowicie do smutnych czasów inwazji rosyjskiej.

Już w ostatnich dniach sierpnia 1914 r. dochodziły nas głuche wieści, że wojskom austro-węgierskim nie powodzi się dobrze we wschodniej Galicji, lecz we Lwowie nie wierzono zupełnie w możliwość zajęcia stolicy. Mimo to bojaźliwsi zaczęli wyjeżdżać z miasta, a w niedzielę 30 sierpnia wyjazdy te stały się masowe, tak, że nabrały charakteru ucieczki panicznej. Od rana do wieczora widać było na ulicach doróżki z uciekinierami, pełne kufrow, walizek i zawiniątek. Doróżkarze kazali sobie płacić bajeczne sumy; niektórzy żądali za kurs do dworca kolejowego po 20 kor., wielu zaś, nie mogąc znaleźć ani doróżki, ani fury bodaj, dzwigali na plecach kufry i kosze naładowane, śpiesząc piechotą na dworzec.

Widok tej masowej, panicznej ucieczki był niesłychanie smutny. Panika trwała jeszcze przez poniedziałek, a nawet wtorek, 1-go września 1914 r. jeszcze podobno niektórym udało się wyjechać. Właśnie tegoż dnia zaczęto opowiadać we Lwowie, że sytuacja się poprawiła i że sztab powrócił do komendy na placu Bernadyńskim. Wyszedłem na miasto przed komendę, by sprawdzić te pogłoski. Istotnie, pusty od kilku dni budynek komendy nagle się ożywił; zobaczyłem przed nim kilkanaście automobilów i ruch wielki przed bramą gmachu. Sądziłem zatem, że pogłoska jest prawdziwa, lecz okazało się, że automobile przybyły po to, by zabrać jeszcze wiele papierów i rzeczy. Nazajutrz miasto już było, jak wymarłe; bramy pozamykane, sklepy również, ruch wszelki na ulicach ustał i czuć było dobrze, że zbliża się chwila niesłychanie smutna i ciężka. Z ulic znikła policja, pojawiła się natomiast straż obywatelska, która z prawdziwym poświęceniem pilnowała dniem i nocą życia i mienia mieszkańców.

Dnia 3-go września, we czwartek, widziałem z okien mojego mieszkania, poprzez lekko uchylone story, które nakazano szczelnie zapuszczać, przechodzące spokojnie woj-

ska rosyjskie, które w ogromnej ilości szły z miasta, przez ulicę Zyblikiewicza i Pełczyńską do koszar, poprzedzani szumną muzyką..... Poczem nastąpiły czasy tak zw. inwazji, trwające dziesięć miesięcy. Z wyjątkiem kilku dni wrześniowych, kiedy Rosjanie urządzili, zwłaszcza w dzielnicy żydowskiej, krwawą strzelaninę oraz kilkunastu ostatnich dni, gdy odchodzili ze Lwowa, było przez cały czas inwazji na ogół spokojnie. Okropnem było zamknięcie wszystkich uczelni wyższych zakładów naukowych, gimnazjów, szkół ludowych, słowem dobrze nam Królewiakom znane tłumienie szkolnictwa polskiego. Kilku zaledwie zakładom prywatnym pozwolono funkcjonować, lecz w sposób ściśle strzeżony przez inspektorów, przeważnie zupełnych nieuków, a oparty głównie na podpatrywaniu i węszeniu. Dzięki usilnym staraniom prezydenta Rutowskiego pozwolono, ażeby do niektórych szkół ludowych przychodziły dzieci, które miano zajmować tu robotami ręcznymi, lecz najsurowiej zabroniono wszelkiego nauczania; nie wolno było mieć w klasach żadnych absolutnie książek, a nawet tablic lub kredy, które wzbudzały wielkie wzburzenie.

Przez cały czas inwazji stale przesiadywałem w gmachu uniwersyteckim, albowiem tam, na II-em piętrze, mieści się moja pracownia i instytut zoologiczny. Oficerowie rosyjscy, zwłaszcza zaś lekarze, przychodzili często na uniwersytet, by go obejrzeć. Między innymi, oglądali muzeum zoologiczne i zdumieni byli jego bogactwem. Następnie jednak wizyty podobne stały się zbyt częste, poprostu wyglądały na zabicie czasu i gdy zbyt często zaczęły mi przeszkadzać w pracy, rozkazałem służbie, ażeby oświadczyła, iż pracownie oraz muzea są zamknięte i że zwiedzać ich nie można. Interesująca była wizyta urzędowa na uniwersytecie generała Czichaczewa, jednego z adjutantów hr. Bobrińskiego. Reprezentował on niby ministra oświaty we Lwowie i załatwiał wszystkie sprawy szkolne, od zakładów wyższych aż do szkół ludowych i miał przydzielonych do pomocy kilku inspektorów z okręgu naukowego kijowskiego. Pragnąc poznać wszystkich profesorów uniwersytetu, obecnych we Lwowie, zapowiedział swą wizytę o pewnej godzinie, na którą zaprosił nas do kancelarji uniwersyteckiej prorektor Beck. Generał Czichaczew szczególnie interesował się tem, ilu po-

między profesorami uniwersytetu, jest Polaków i „ruskich“ (Rusinów nazywał „ruskije“ to znaczy Rosjanie); ilu jest polskich i „ruskich“ studentów i wypytywał szczegółowo za jaką kwotę może wyżyć we Lwowie student uniwersytetu. Domyślałem się, na co jest mu potrzebna ta ostatnia wiadomość; niewątpliwie przypuszczał, że trzeba będzie zapęłnić uniwersytet rosyjski we Lwowie „seminarzystami“, podobnie jak ongi uniwersytet warszawski, a tym seminarzystom rząd rosyjski daje zwykle wysokie stypendja, ażeby mogli utrzymać się należycie. Owi seminarzyści, są to wychowañcy prawosławnych seminarjów, nie mający do czasu zajęcia Królestwa przez wojska niemieckie, wstępu na żaden uniwersytet w Rosji, tylko wyłącznie na warszawski. W głowie Czichacze waświatała zapewne myśl, ażeby i w lwowskim uniwersytecie otworzyć gościnne wrota tej najgorszej pod względem umysłowym i moralnym młodzieży, będącej jednak doskonałym narzędziem rusyfikacji. Czichaczew zapytywał profesorów historii, jakie pamiątki starodawnej kultury rosyjskiej z czasów księstwa Halickiego, zachowały się we Lwowie, może jakieś ruiny zamków lub cerkwi prawosławnych, które należało by coprędzej zabezpieczyć; dowiedziawszy się atoli, że podobnych pamiątek we Lwowie wcale nie ma, zrobił dziwnie rozczarowaną, lecz i niedowierzającą minę.

Smutne czasy inwazji osładzała mi praca intensywna w laboratorium instytutu zoologicznego; opracowywałem wówczas nowe, niezmiernie interesujące materiały z wypraw oceanograficznych księcia Monaco i pochłonięty byłem temi badaniami, zapominając bodaj na krótko o przytłaczającym smutku oraz o kłopotach materialnych, jakie na mnie spadły z powodu utraty pensji i wszelkich zarobków. Z początku pracowałem bez przeszkód, wkrótce atoli mrozy zaczęły dawać się we znaki w sposób wielce dokuczliwy, albowiem władza rosyjska opieczętowała cały zapas drzewa, złożonego w piwnicach uniwersytetu i zakazała używać go. Marzliśmy tedy porządnie w pracowni, ja oraz kilku moich współtowarzyszy niedoli. Gdy mróz wzmagał się, próbowaliśmy ogrzewać pracownię gazem, lecz nie na wiele się to przydało; akwarja poczęły zamarzać, zwierzęta, przeznaczone do doświadczeń, ginęły, a groziło nam to, że przy dalszym

braku opału poczną zamarzać i pękać liczne słoje z cennymi preparatami formalinowymi w muzeum instytutu.

Widząc zagrożony dobytek muzealny i nie mogąc pracować w laboratorium z powodu dokuczliwego zimna, postanowiłem jakoś zaprotestować przeciw powyższemu zarządzeniu władz rosyjskich, przez co mógłbym także pomóc innym kolegom oraz służbie uniwersyteckiej. Dopomógł mi w tem szczęśliwy przypadek. Mianowicie do instytutu zoologicznego zaszedł pewien lekarz rosyjski Radugin, który pełnił dotychczas obowiązki lekarza obwodowego w południowym Kaukazie i żywo zajmował się zoologią, mianowicie fauną zwierząt owadożernych. Pragnął on obejrzeć zbiór ssaków owadożernych w naszym muzeum, a gdy uczyniłem już zadość tej jego prośbie, wyłuszczyłem z kolei moją ważną sprawę, opowiedziałem o opieczętowaniu drzewa opałowego i narażeniu nas wszystkich w uniwersytecie, wspólnie z cennymi preparatami, na zamarznięcie, prosząc go jednocześnie, jako człowieka nauki, o radę i pomoc. Radugin, człowiek bardzo kulturalny, zawstydzony poprostu za swój rząd, wziął sobie tę sprawę do serca i zapewnił mnie, że uczyni wszystko możliwe, by zaradzić złemu. Może w godzinę po jego odejściu przyjechał do mnie do pracowni oficer rosyjski, który przedstawił się jako baron Ropp i oświadczył, że dowiedziawszy się od Radugina o krzywdzie, wyrządzonej naszemu uniwersytetowi, przybywa, ażeby naocznie się o niej przekonać. Kazałem go oprowadzić po wszystkich lodowo zimnych salach laboratorium i muzeum, poczem baron Ropp wyrzekł do mnie słowa, które warto tu przytoczyć: „Rosjanie oskarżają Niemców o brak kultury z tego powodu, że bombardowali katedrę w Reims, a sami też nie postępują kulturalnie, narażając instytucje naukowe we Lwowie na takie straty. Idę natychmiast do generał-gubernatora, by zainterwenjował w tej sprawie.“

Tegoż dnia po południu baron Ropp zjawił się po raz drugi i opowiedział mi, że niestety generał-gubernator wyjechał na kilka dni ze Lwowa, lecz że generał-gubernatorowa, u której Ropp był na obiedzie i której przedstawił powyższą sprawę opałową, uznała krzywdę wyrządzoną uniwersytetowi i miała wezwać zaraz pomocnika swego męża, ge-

nerała Półowcewa, by starał się to naprawić. Zjawił się jednak generał Czichaczew i dowiedziawszy się o co chodzi, zabronił wydawania drzewa pod pozorem, że w szpitalach brak opału, że chorzy giną tam z zimna, że zresztą preparaty zwierząt w muzeum mogą nawet i pomarznąć. Nie było to podobno zgodne z prawdą, gdyż w szpitalach miano podówczas paliwa podostatkiem. Po powrocie hr. Bobrińskiego poradzono mi, ażebym najlepiej udał się do niego osobiście w omawianej sprawie, a że zimno stawało się coraz dokuczliwsze i niebezpieczeństwo, grożące drogim mi zbiorom muzealnym, coraz większe przeto istotnie w najbliższą sobotę wybrałem się na audjencję do generał-gubernatora.

Nizki, szczupły, ruchliwy i nader ugrzecznony gubernator, wysłuchawszy o co chodzi i dowiedziawszy się, że między innymi mam w zakładzie drogocenne materjały z wypraw Księcia Monaco Alberta I-go, które również ulegną zniszczeniu w razie dalszego nieopalania sal, zapytał: „A dlaczego książe Wam powierzył te cenne materjały?” „Widocznie ma wielkie zaufanie do polskiego uniwersytetu oraz polskich uczonych“ odrzekłem. „A czy pan tu dawno jest profesorem“ pytał mnie dalej. „Od lat dwudziestu kilku, przedtem byłem w Warszawie“ odpowiedziałem. „Tak pan już dwadzieścia i kilka ciężkich lat (tiazłych liet) przebywa w Galicji“, litował się nademną gubernator. W odpowiedzi na to rzekłem: „Dla nas Polaków wcale nie ciężkich, bo mieliśmy tu polski uniwersytet, polskie szkolnictwo i szeroką autonomję“. Hrabia Bobriński zagryzł wargi, lecz dodał uprzejmie: „Mam wszelką nadzieję, że wasz polski uniwersytet będzie przeniesiony do Warszawy, warszawski zaś do Lwowa; co zaś do opału, to wydam natychmiast rozkaz, ażeby otworzyć zapieczętowane piwnice uniwersyteckie“. Audjencja moja była skończona. Dwa dni potem przyjechał do uniwersytetu pułkownik Konstantinow, prostak i gbur, otworzył opieczętowane piwnice z drzewem, lecz przytem wymyślał i wściekał się z gniewu. Między innymi, widząc że w suterenach gmachu uniwersyteckiego mieszkają woźni z rodzinami, wołał: „Na czto stolko służby u was, ja wsiech wybroszu (Na co u was tak wiele służby, ja wszystkich powyrzucam“.) Na tem skończyła się epopeja opałowa w uniwersytecie lwowskim

podczas inwazji rosyjskiej,— fakt pozornie niewielki, lecz dla pracy naukowej i całości zbiorów naszych znaczenia pierwszorzędnego.

Jak wyglądały ulice Lwowa podczas inwazji i jaki w ogóle charakter przedstawiało podówczas to miasto, o tem nikt nie może mieć właściwego pojęcia, kto na własne oczy tego nie widział. Przedewszystkiem zdawało się, że przynajmniej połowa Rosji zjechała do Lwowa, by nacieszyć się widokiem świeżo zdobytej stolicy „Czerwonej Rusi“. Nieprzeliczone mnóstwo żołnierzy, kozaków, czerkiesów snuło się po ulicy, nieskończenie długie łańcuchy trenów ciągnęły przez miasto, liczni bardzo oficerowie zapełniali kawiarnie i cukiernie, przed hotelami roito się od samochodów, wciąż zwożących lub odwożących wytwornych gości, wspaniale udekorowanych, pomiędzy którymi widać było wiele pięknych istotnie typów męzkich, zwłaszcza wśród oficerów czerkieskich, wysokich, barczystych, smagłych brunetów. Prócz tego roito się dosłownie po ulicach od „czynowników“ wszelkiego rodzaju, poubieranych w urzędowe czapki, o twarzach po największej części prostackich i wyzywających; mnóstwo też było policjantów, dobrze uzbrojonych. Podobnie jak we właściwej Rosji oraz w Królestwie i na Litwie, ludność najczęściej cierpi od czynownictwa i policji, tak bardzo przekupnych i gnębiących mieszkańców w celu wymuszania od nich łapówek, tak też i w okupowanej chwilowo części Galicji te same ponure strony administracji rosyjskiej dawały się nam najwięcej we znaki.

Mianowicie czynownicy i policja, zwłaszcza tak zw. „pristawy“ i ich pomocnicy po cyrkułach rozpoczęli we Lwowie istną orgję łapowniczą, którą znałem dobrze z czasów pobytu mojego w Warszawie. Gdy rozkazano dostawiać robotników do sypania szanców, policja zatrzymywała na ulicy ludzi starych i schorowanych których prowadzono najprzód do cyrkułu, po drodze zaś za jakie 5—10 rubli puszczano; w samym cyrkułe za wyższą cenę mogli oni uwolnić się od powyższego obowiązku. W dalszych bardziej odległych dzielnicach miasta policja wchodziła do prywatnych mieszkań, często późnym wieczorem lub w nocy, by ściągać z łóżek mężczyzn do „robót“, od których naturalnie można się było również wykupić sutą łapówką. W pewnym znajomym mi domu kazano

w nocy ubierać się staremu ojcu, o wykręconych od reumatyzmu członkach i na domiar choremu na serce; gdy córki zaczęły protestować dowodząc, że ojciec jest zupełnie niezdolny do pracy, policjant zażądał 25 rs. odczepnego i pozostawił starca w spokoju. Podobnych wypadków było w mieście bardzo wiele. Sądzę, że stan urzędniczy, popi i policja stanowią niemałą bolączkę Rosji, przeważnie powstrzymując ją na drodze do istotnego postępu, polegającego wszak między innymi na poszanowaniu w człowieku jego dostojności.

Przykry także widok stanowili podczas inwazji kupcy rosyjscy, żydzi i kacapi, brudni chciwi niepomiernie, a w szachrowaniu niezwykle wyćwiczeni. Zaroziło się w nieszczęśliwym mieście od sklepów rosyjskich, gdzie widać było na wystawach ryby suszone i wędzone, kawior, sery czerwone, herbatę, cukier i obok tych przedmiotów szczotki, podkowy i gwoździe, powrozy, puszki z jakimiś czarnymi smarami (dziegciem) i t. p. Były tu magazyny: Maskowski, Kijewski, Połtawski, Kazanski, Charkowski, słowem przedstawiciele handlu z całej szerokiej Rosji zjechali do stolicy „nowej Rosji“ po złote runo. Prócz tego na placach kacapi pozakładali sobie stragany, uginające się pod ciężarem półci słoniny, wędlin, ryb suszonych, masła, mąki, krup i t. d., co oczywiście wielu mieszkańcom bardzo się podobało.

Na wielu sklepach pojawiły się płócienne lub papierowe, tymczasowe szyldy rosyjskie, pokrywające szyldy polskie. Podobno było to robione z własnej ochoty, gdyż władze rosyjskie jeszcze tego nie nakazywały. Np. polska fabryka tutek cygaretowych nagle stała się fabryką „rosyjskich gilz“. Jak grzyby po deszczu wyrosły na ulicach Lwowa niezliczone herbaciarnie i jadłodajnie z napisami „czaj“, „kofie“, „zawtraki“, „użyny“, które w obec wielkiej liczby oficerów i w ogóle przyjezdnych świetnie zapewne robiły interesy.

Po ulicach, zwłaszcza wieczorem, snuło się mnóstwo kobiet o wyzywających twarzach, jaskrawo i niezwykle wspaniale poubieranych. Były to przeważnie służące, pozostawione w domach przez uchodźców dla pilnowania ich mienia. Ubrane w stroje swych pań, futra i kapelusze, udawały panie z towarzystwa i brały, jak to mówią, „na kawał“ niewybrednych oficerów rosyjskich, z którymi się włóczyły

po rozmaitych cukierniach i kawiarniach. W wielu wypadkach, na usprawiedliwienie owych nieszczęśliwych dziewcząt, można było stwierdzić, że są pozbawione wszelkich środków do życia, gdyż pozostawione im na bardzo krótki czas inwazji (jak się spodziewano) zasoby pieniężne szybko się wyczerpały. W tem tkwił cwał owych kłamliwych artykułów w pismach rosyjskich o kobietach polskich we Lwowie, które jakoby łatwo zawierały znajomości z oficerami rosyjskimi. Tymczasem wiadomo było, że w rzeczywistości kobiety te podczas inwazji we Lwowie z poświęceniem, dochodzącem do bohaterstwa pracowały na wszystkich posterunkach, gdzie tylko można było podtrzymywać życie narodowe i społeczne, pod najrozmaitszemi jego postaciami. Podtrzymywała zaś nas wszystkich nadzieja, że przecież inwazja się rychło skończy, że zamiast obfitości sadła, kiełbas i krup, rozpasania zmysłowego, przy jednoczesnem zamknięciu wszystkich szkół polskich, nastaną znów czasy, kiedy nasze dawniejsze, lepsze życie będzie mogło znów swobodnie się rozwijać.

Jakoż w czerwcu 1915 r. zauważyliśmy pewien niepokój i popłoch wśród wojska rosyjskiego, a uszu naszych coraz wyraźniej zaczęły dochodzić odgłosy armat, zwiastujące zbliżanie się armji austriackiej, mającej nas oswobodzić. Ów popłoch objawił się przedewszystkiem w bardzo pospiesznem wywożeniu rannych i ewakuacji szpitali; następnie poczęły wynosić się urzędy, czynownicy śpieszyli na kolej, a wraz z nimi sunęły ulicami Lwowa liczne wozy, pełne kosztownych mebli, dywanów, pościeli, dzieł sztuki, pochodzących z ograbionych mieszkań, których właściciele wyjechali ze Lwowa przed inwazją. Niebawem zobaczyliśmy na ulicach cofające się olbrzymie treny i wojska rozbite, podążające na wschód, na mieście pojawili się piesi i konni kozacy z czerwonymi przepaskami na ramionach, stanowiący policję polową. Widok tej policji, jej barwa czerwona na ramionach, niby symbol krwi i pożogi, tajemnicze jakieś ruchy i ponure nad wyraz twarze, zdawały się nie wróżyć nam nic dobrego i nasuwały smutne myśli o czekających nas jeszcze ciężkich chwilach. W mieście przebąkiwano o wysadzeniu w powietrze największych gmachów,

namiestnictwa, szkoły przemysłowej, cytadeli, dworca kolejowego i t. p., o pożarach i rabunkach.....

Ostatni tydzień inwazji był poprostu okropny ze względu na niepokój, jaki nas wszystkich ogarnął. Zaczęły się przymusowe wywożenia do Rosji, a wpadano do mieszkań głównie w nocy, gdy spodziewano się znaleźć poszukiwanych mężczyzn w domu. Nadto uporczywie krążyła po mieście pogłoska, że wszyscy mężczyźni, w wieku lat 18—50 mają ze Lwowa wyjechać wraz z ustępującymi Rosjanami, a kto dobrowolnie nie wyjedzie (podawano nawet termin ostateczny), będzie potem musiał iść piechotą pod nahajką. Było to nieprawdą, a jednak wielu uwierzyło w tę bajkę.

W ostatnią niedzielę i poniedziałek przed wkroczeniem do Lwowa armji austriackiej rozpoczęło się w mieście rozbijanie przez żołdactwo sklepów i szynków, nie tylko na ulicach odległych od środka miasta, ale nawet i w śródmieściu, np. na rogu ulicy Batorego i Kamiennej byłem świadkiem podobnego rozbijania. Widać było łuny pożarów, wzniecane przez uchodzące wojska rosyjskie, olbrzymie słupy dymów przesłaniające niebo, słycać było raz wraz silne detonacje wysadzanych w powietrze budynków, lecz na szczęście obraz zniszczenia Lwowa nawet w przybliżeniu nie okazał się tak strasznym, jak się obawiano.

Wreszcie we wtorek, dnia 22 czerwca 1915 r., gdy wyszedłem jeszcze rano około dziesiątej na miasto, zobaczyłem wieżę ratuszową ogołoconą z flagi rosyjskiej, która przez dziesięć blisko miesięcy z niej powiewała.

Jak już wspominałem, przez cały czas trwania we Lwowie inwazji i w ciągu kilku następnych miesięcy, gdy linja bojowa znajdowała się jeszcze dość blisko od stolicy, tak, że słyszeliśmy strzały armatnie, pracowałem bardzo intensywnie a praca ta była mi wielką pociechą w tych ciężkich chwilach. Mogłem wtedy w czyn wprowadzić od dawna powziętą myśl, ażeby napisać dla szerszego ogółu książkę o wybitniejszych polskich biologach, o których ogół ten tak niewiele wie, wykończyłem mianowicie rękopis dzieła p. t. „Szlakami nauki ojczystej“, wydanej w r. 1916 przez kasę im. Mianowskiego w Warszawie, staraniem kolegów moich Jana Tura i Józefa Natanson'a. Dzieje tej książki są istic wojenne. Do napisania jej zabrałem się jesz-

cze podczas wakacyj letnich w r. 1913, mając pierwotnie zamiar powierzyć wydanie jej „Macierzy Polskiej” we Lwowie. Mianowicie przewodniczący tej instytucji, czcigodny kolega mój prof. Ludwik Finkiel zwrócił się do mnie przed rokiem z prośbą, ażebym napisał coś dla wydawnictwa Macierzy. Postanowiłem wtedy rzecz o biologach polskich złożyć w swoim czasie komitetowi, niespodziewanie jednak wybuchła wojna i niedługo potem Lwów został zajęty. Prof. Finkiel oświadczył mi wówczas, że z powodu wywiezienia kapitałów Macierzy oraz trudności wydawniczych pod rządem rosyjskim zmuszony jest zrezygnować na razie ze wszystkich w ogóle wydawnictw i zwalnia mnie od danego przyrzeczenia. Jednocześnie kasa im. Mianowskiego oświadczyła gotowość wydania omawianej książki. Ponieważ jednak podczas inwazji rosyjskiej we Lwowie nie przyjmowano na poczcie listów i rękopisów poleconych, musiałem szukać sposobności, ażeby przez jakąś osobę zaufania godną posłać rękopis do Warszawy, co mi się też szczęśliwie udało. Tymczasem dokoła Warszawy poczęły niebawem grzmieć armaty, wśród huku których zaczął się druk mojej książki, lecz przesyłka korekt do Lwowa stała się niezwykle trudną lub zgoła niemożliwą. Gdy następnie Warszawa przeszła pod panowanie niemieckie, korespondencja pomiędzy nią a Lwowem była niedopuszczalna i znoszenie się bezpośrednie autora z wydawcami za pomocą poczty znów uniemożliwione. Byłem zmuszony pisywać do kolegów moich w Niemczech, np. do prof. Roux w Halle, do prof. Hertwiga w Berlinie z prośbą o pośrednictwo między mną a wydawcą warszawskim, przyczem okazali mi wiele uczynności w tej sprawie. Później można już było korespondować bezpośrednio z Warszawą, lecz, jak wiadomo, wymagano przytem języka niemieckiego. Gdy raz, dzięki grzeczności prof. Kostaneckiego otrzymałem via Kraków czystodruki kilku pierwszych arkuszy drukowanej właśnie książki mojej i znalazłem tam opuszczony przez zecera tytuł zoologii Kluka: „Historja naturalna zwierząt domowych i dzikich” i polski tytuł ten przesłałem dla erratów do Warszawy za pośrednictwem prof. Roux w Halle, w liście pozatem od początku do końca niemieckim, otrzymałem tenże list po pięciu tygodniach z powrotem, z dopiskiem na kopercie:

zurück, unzulässig, weil nicht deutsch. Zensurstelle in Posen“. Musiałem więc po raz drugi list napisać, załączyć obok polskiego tytułu zoologii X. Kluka przekład niemiecki tegoż tytułu, uwierzytelniony przez tutejszy generalny konsulat niemiecki, za co, mówiąc nawiasem, zapłaciłem 10 koron „Gebühr“. Ten list doszedł już do Warszawy, lecz wydawca zapomniał podać w erratach ów tytuł, ku memu zmartwie- niu, tak, że usilne moje starania w tym względzie spełzły ostatecznie na niczem. Takie i liczne inne podobne pery- petje oraz trudności towarzyszyły wyjściu na świat książki mojej p. t. „Szlakami nauki ojczystej“, która obecnie cieszy się wielką popularnością.

Podczas inwazji opracowałem drugi tom wielkiej mojej monografji o anatomji ryb głębinowych i wykończyłem kilka- naście podwójnych tablic barwnych rysunków do tego tomu, lecz do dnia dziejszego (Sierpień 1916), z powodu wojny, nie mogę przesać rękopisu do Monaco, a muszę się zado- wolnić kilkoma mniejszemi rozprawami o tym przedmiocie, ogłoszonymi w czasie inwazji w „Bulletin“ Instytutu Oceano- graficznego w Monaco, a następnie w „Anat. ischer Anzei- ger“ w Jenie.

Prócz mnie, w laboratorium instytutu zoologicznego pracowało podczas inwazji jeszcze parę osób, tak, że w su- mie, razem z rozprawami naukowemi napisanemi przez uczniów moich przed wojną a później uporządkowanemi przezemnie, wyszło w tym czasie z pracowni około 20 obszer- nych rozpraw naukowych. Robiliśmy tedy co było w naszej mocy dla podtrzymania jednego z ognisk nauki polskiej i nie mieliśmy przynajmniej wyrzutów sumienia, że czas ów jest przez nas dla nauki stracony.

Prawie od samego początku wojny miewałem często obcych gości w instytucie zoologicznym, albowiem przez Lwów przesunęło się niemało osób, należących do walczą- cych z sobą armji, osób, które w czasach pokojowych zajmo- wały różne naukowe stanowiska, między innymi profesorów lub docentów zoologii. Interesowała ich kultura naukowa Lwowa i cenne zbiory w rozmaitych jego instytucjach, które też wciąż zwiedzali. Z uczonych rosyjskich odwiedził w czasie inwazji mój instytut dyrektor Muzeum przyrodniczego w Ty- flisie, Kaznakow. Przyszedł w mundurze pułkownika,

ubrany po czerkiesku. Oglądał bardzo szczegółowo instytut i zainteresował się wielu okazami ptaków oraz gadów; z kolei pokazał mi liczne fotografie wypchanych i pięknie ustawionych okazów zoologicznych fauny kaukazkiej w Muzeum tyfliskim. Po tej wizycie znikł mi z oczu i dowiedziałem się niebawem, że podczas bitwy w Karpatach został bardzo ciężko ranny, gdyż kula przeszła mu przez wątrobę, żołądek i lewe płuco. Rannego przywieziono do Lwowa, gdzie było z nim bardzo źle; później na jego życzenie wywieziono go z niezagojonemi ranami do Tyflisu. Po upływie dwóch miesięcy Kaznańko w zjawił się ponownie w Instytucie zoologicznym lwowskim, ku najwyższemu memu zdumieniu; wyglądał znakomicie, utył i cerę miał bardzo zdrową. „Przychodzę do pana, rzekł do mnie, ażeby mu jako biologowi pokazać, co może zrobić z blizkim śmierci człowiekiem słońce i powietrze Kaukazu“. Istotnie byłem przekonany o słuszności tego zdania.

Po oswobodzeniu Lwowa od inwazji miałem w instytucie kilkakrotne wizyty uczonych niemieckich, również w mundurach oficerskich. Byli to docenci nauk biologicznych z rozmaitych uniwersytetów oraz lekarze.

Szczególniej zainteresował mnie Dr. F. Pax, zoolog nadzwyczajny profesor uniwersytetu we Wrocławiu, który, również jak jego asystent, został u nas mianowany członkiem komisji dla fizjograficznego badania ziem polskich i mieszkał w Warszawie od czasu zajęcia tej stolicy przez Niemców. Byłem mocno zdziwiony słysząc, jak ci dwaj przyrodnicy niemieccy znali dokładnie fizjografię Królestwa, Litwy, Wołynia a nawet Galicji; nie znając języka polskiego, a jedynie za pomocą tłumaczeń poznali najważniejszą literaturę fizjograficzno-biologiczną dotyczącą naszego kraju. Prof. Pax przewertował w ten sposób wszystkie tomy warszawskiego Pamiętnika Fizjograficznego, wydawnictwa komisji Fizjograficznej w Krakowie, Kosmosu lwowskiego, Wszechświata itp. notując sobie skrętnie wszystko, w celu wydania dzieł o przyrodzie ziem polskich. Abstrahując od wszystkich, smutnych dla nas niestety okoliczności, towarzyszących tej pracy, musiałem jednak z podziwem patrzeć na tę energję i pracowitość niemiecką.

W grudniu 1916 r. pojechałem wraz z żoną do Warszawy, pragnąc ujrzeć rodzinne moje a tak drogie mi miasto podczas zawieruchy wojennej, gdy cała Polska przeżywa tak ciężkie i tak niezmiernie dla niej doniosłe chwile.

Na granicy Królestwa, zamiast tak dobrze znanych mi dotychczas żandarmów rosyjskich, sprawę paszportów załatwiały władze niemieckie. Następnie, jadąc w noc ciemną kurjerskim pociągami widziałem przez szyby wagonu nawpół zniszczone budynki stacyjne a obok sylwetki ubranych w białe kożuchy i jak mi się zdawało — olbrzymich szyldwachów niemieckich z błyszczącymi w blasku lokomotywy ostrzami bagnetów... Dziwne opadły mnie wówczas myśli nad dziwnymi kolejami losu tej biednej ziemi naszej.

Warszawa, zawsze droga sercu memu, była mi teraz droższa, niż kiedykolwiek. Od czasu przeniesienia się mego do Lwowa w r. 1892 nie bawiłem w niej przez czas dłuższy, najwyżej dni kilka; obecnie zaś spędziłem tam całe trzy tygodnie, to też nigdy jeszcze tak silnie nie odżywały we mnie wspomnienia dzieciństwa i młodości, jak podczas tego ostatniego pobytu w rodzinnym mieście. Tu przypatrywałem się ogrodowi i placowi, gdzie bawiłem się jako dziecko, tam budynkom szkolnym, gdzie spłynęły mi lata nauki gimnazjalnej i uniwersyteckiej; ówdzie spoglądałem na niezmienny od lat trzydziestu dom, w którym na ucztach weselnych siedziałem, jako „pan młody“ u boku ukochanej, świeżo poślubionej małżonki.

A już najwięcej chyba ciągnął mnie ku sobie gmach uniwersytecki, gdzie „górne“ spędziłem lata. Uczuciem niewysłowionej radości napełnił mnie widok orła polskiego na bramie wchodowej uniwersytetu; z wezbranem także radością sercem zwiedzałem pracownie naukowe i audytorja, oprowadzany bądź przez ich kierowników, bądź przez rektora Brudzińskiego, z którym kilka miłych chwil spędziłem na pełnej nadziei i otuchy rozmowie. Z dawnych rosyjskich czasów pamiętałem każdy kąt budynku uniwersyteckiego i ku wielkiej mej radości widziałem, że społeczeństwo polskie odnalazło snąc swą energję do czynu, skoro w tak niedługim okresie czasu potrafiło zasadniczo przekształcić lub zupełnie na nowo urządzić liczne lokale i laboratorja naukowe, znajdując dla nich odpowiedniejsze, ani-

żeli dotychczas, pomieszczenia. Musiałem podziwiać niezwykłą energję młodego profesora anatomji Dra Edwarda Lotha, byłego asystenta instytutu anatomicznego we Lwowie. Urządził on prześlicznie zakład anatomiczny w Warszawie; wyposażył go, o ile tylko pozwolił na to bardzo krótki czas w stare preparaty z czasów b. Szkoły Głównej, które odświeżone, odczyszczone i na nowo pomalowane przedstawiają obecnie nader cenne okazy Muzeum anatomicznego. Instytut botaniczny prof. Wójcickiego i zoologiczny prof. Sosnowskiego, umieszczone w nowych, świeżo odrestaurowanych, obszernych lokalach starego gmachu b. Szkoły Głównej, zapowiadają się również bardzo pięknie.

Wogóle wypowiedzieć nie potrafię, jak bardzo cieszyło mnie całe to naukowe środowisko polskiego uniwersytetu w Warszawie powołanego znów do życia na gruzach uczelni rosyjskiej, jak radował mnie widok tego cudnego orlątka nauki polskiej, śmiało wyprostowującego swe przytłaczane dotychczas skrzydła do szczytnego, wspaniałego lotu, by co najprędzej dorównać dwóm innym prastarym wszechnicom na ziemi polskiej i już raz z nimi wzbijać się ku najwyższym szczytom prawdy, na chwałę narodu polskiego....

Warszawska młodzież uniwersytecka zaprosiła mnie, ażeby na dochód jej towarzystw przyrodniczo-lekarskich (koła przyrodników i koła medyków) wygłosił jakiś odczyt. Bardzo a bardzo było mi przyjemnie móc uczynić zadość temu życzeniu ukochanej przezemnie młodzieży i wygłosić w Warszawie, w języku polskim, odczyt publiczny a zarazem przypomnieć sobie minione dawne czasy, gdy tak często przemawiałem do ogółu w ukochanem mieście rodzinnem. Miałem wygłosić rzecz „O nowszych poglądach na budowę żywej materji“ w pięknej sali Towarzystwa Higienicznego. Żywe oklaski, któremi mnie przy wejściu na salę powitała tłumnie zebrana, doborowa publiczność, do tego w czasach tak dla Polski niezwykłych, podziały na mnie elektryzująco, to też czułem, że przemawiam do niej z ogromną werwą, tembardziej, że dostrzegłem pomiędzy słuchaczami wielu poważnych przedstawicieli naukowego świata, przyrodniczego i lekarskiego.

Podczas ostatniego pobytu w Warszawie udało mi się także zainicjować założenie tamże Polskiego Towarzystwa

przyrodników, prócz tego powołałem do życia kilka poważnych wydawnictw naukowych, zwłaszcza jedno, nader potrzebne: „Zagadnienia biologii współczesnej“, które jako szereg rozpraw i odczytów mają zaznajamiać ogół przyrodników, lekarzy oraz szersze warstwy gruntowniej wykształcone z postępami tak świetnie za naszych czasów rozwijającej się wiedzy biologicznej.

Uwaga.

Bibliografia prac oraz szczegóły jubileuszu śp. prof. Nusbauma znajdują się w następujących wydawnictwach:

Księga pamiątkowa ku uczczeniu trzydziestoletniej działalności naukowej i piśmienniczej prof. dra Józefa Nusbauma-Ililarowicza. Wydana staraniem uczniów. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. 1911. Duża 8. Str. 306 i 16 tablic, rysunków i fotografii, z portretem Jubilata i facsimile.

Pamiętka uroczystego obchodu trzydziestolecia pracy naukowej i piśmienniczej (1881—1911) Józefa Nusbauma-Ililarowicza. Wydana staraniem Komitetu obchodu jubileuszowego. Lwów 1912. Nakładem księgarni H. Altenberga.

Przemówienie wygłoszone na uroczystym posiedzeniu Pol. Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, odbytem ku uczczeniu pamięci prof. J. Nusbauma Ililarowicza we Lwowie w dniu 26 listopada 1917 r. Lwów 1918. Odbitka z czasopisma „Kosmos“.





Polska Akademia Nauk
Biblioteka Instytutu im. M. Nenckiego

Sygnatura **2011826**

